

NINA BOGUSZ

 CZARNE
SERCE



NOVAE RES

NINA BOGUSZ

CZARNE SERCE



NOVAE RES



*Mojej ukochanej córeczce,
dla której bije moje serce.*

*Mojej mamie,
dzięki której bije moje serce.*

*Mojej Pati,
dla której zawsze w moim sercu będzie miejsce.*

Spis treści

[Czarne serce](#)

[Przypisy](#)

*Ten z Was, kto jest bez grzechu zatracenia roztropności, będąc zakochanym,
niech pierwszy rzuci kamień.*

Przygląda się jej od kiedy weszła. Zupełnie zwyczajna dziewczyna... Kobieta właściwie, bo chyba jest już po trzydziestce. Dziwi go trochę, że się nią zainteresował, bo nic jej specjalnie nie wyróżnia ani też nie jest w jego typie. A przynajmniej nie pasuje do typu urody, który zawsze, jak mu się wydawało, preferował. Jest średniego wzrostu, raczej szczupła, ale nie brakuje jej krągłości, do których mężczyźni lubią się przytulić. Ma bardzo szczupłą twarz, która nie pasuje do dość masywnych, choć wciąż atrakcyjnych nóg. Te z kolei pasują do sporych, ale delikatnych zarazem dłoni o paznokciach ozdobionych czerwonym lakierem. Szybko zauważył, że nie ma na palcu obrączki. Ciekawe, czy jest wolna, czy też po prostu nie nosi tego symbolu kobiety nieosiągalnej. Może ma dzisiaj ochotę na flirt, a niczego nieświadomy mąż siedzi w domu? Nie. To niemożliwe. Jej strój nie świadczy o takich planach. Ma na sobie delikatną, bawełnianą sukienkę w niebieskim kolorze, przewiązaną paskiem nieco powyżej bioder. Idealnie pasuje do magnetycznych, niebieskich oczu. Jednak z pewnością ten strój w połączeniu z balerinami w podobnym kolorze, zamiast czerwonych szpilek i małej czarnej, nie nadaje się na tak zwany podryw. Zresztą jej twarz jest nieco nieobecna, tak jakby siedziała teraz w jakimś innym świecie. Świecie bez facetów – zaśmiał się w duchu. – To pewne, że nie ma ochoty na podryw, romans czy cokolwiek w tym stylu, bo jej tu nie ma i nie widzi żadnego z kilkunastu facetów w tej restauracji.

Odwraca od niej głowę, by skupić się na rozmowie z towarzyszami. Jednak żaden temat nie wydaje się na tyle ciekawy, aby o niej zapomnieć. Delikatnie odchyła się do tyłu, żeby zza pleców sąsiada podejrzeć, co ona robi. Uśmiechnęła się. Wow! Do kogo? No tak. Do siebie albo do jakiegoś towarzysza lub towarzyszki ze swojego świata. Ładnie się uśmiecha. Jej twarz, pomimo raczej smutnego wyrazu, w połączeniu z tym uśmiechem promienieje, rozświetlając małą strefę wokół niej. Jej twarz jest równie ciekawa jak ona sama. Niczego nadzwyczajnego w niej nie ma, ale wszystkie

elementy tworzą całkiem ładną całość. Jej centralnym, przyciągającym wzrok punktem, są oczy. Głęboko niebieskie. Podkreślone czarną, cieniutką kreską powyżej linii rzęs, a te z kolei pociągnięte czernią... i to tyle makijażu. Reszta twarzy bez upiększeń. Nie za duże usta, w kształcie serca, bez śladu szminki, z delikatnymi poprzecznymi marszczeniami, zdają się bardzo delikatne, gdy dotykają je inne. Ciekawe, jak często są przez takowe dotykane? Chyba rzadko. Wydaje się taka obojętna. Jak wiele ust ich dotąd dotykało? Zapewne wiele, bo mimo swojej zwyczajności zdaje się być atrakcyjna. Powabu dodają jej długie włosy w kolorze ciemnego brązu, kończące się zaraz za łopatkami. Upięte delikatnie po bokach dwa skręcone kosmyki dodają jej dziewczęcego uroku, a grzywka równo obcięta tuż nad linią brwi nadaje jej charakteru. Wszystko to składa się na tę tajemniczą osobę, która nie daje mu spokoju. Jest jak zagadka niepozwalająca mu się skupić na rozmowie z kolegami. Co ona tu robi? Na kogo czeka? A może spędzi wieczór sama? Nie, nie będzie już zwracał na nią uwagi. Przecież to nie ma sensu. Ona ani razu na niego nie spojrzała. Ich oczy nie spotkały się nawet przez ułamek sekundy. Te pytania i wszystkie inne, które mogłyby się za chwilę urodzić, pozostaną bez odpowiedzi. Przysunął swoje krzesło bliżej stolika i przyłączył się do żywej rozmowy na temat ostatniego festiwalu salsy w Paryżu.

Przyszła na spotkanie dużo wcześniej. Mieszka teraz pod Warszawą. W drodze zazwyczaj trafiała na korki, a nie znosi się spóźniać. Wyjechała wcześniej, a tu niespodzianka – droga bez korków i pół godziny przed czasem zaparkowała samochód w bocznej uliczce przy Nowym Świecie. Postanowiła wejść wcześniej do restauracji, w której umówiła się z przyjaciółką i tam zaczekać.

Znalazła wygodny stolik tuż przy oknie, zamówiła tonik z cytryną bez lodu i zanurzyła się w swoich myślach. Praca. Zakłada właśnie własną działalność. Dom. Jeszcze go urządza. Ulica. Tak różni ludzie przechodzą za oknem: Młodzi, starsi, kobiety, mężczyźni, dzieci, kolorowi i szarzy, mówiący w różnych językach. Przypomniała sobie swoje spotkanie z dwoma starszkami w Nepalu, które nie znały słowa po angielsku, a z którymi

spędziła kilka godzin, porozumiewając się za pomocą dotyku, gestów, spojrzeń, za pomocą języka serca. Uśmiechnęła się na to wspomnienie. To był piękny dzień i w ogóle piękny czas u stóp Himalajów. Tak daleko jest teraz od tego czasu, od tego miejsca. Teraz tylko pielęgnuje je głęboko w sercu i nigdy nie zapomni. Wtedy, po powrocie, ruszyła ścieżką losu dalej i teraz czeka ją to po raz kolejny. Takie jest życie. Nikt go nigdy nie ujarzmi, bo ono, jak wiatr pomiędzy niżem a wyżem, zmienia nagle kierunek i żadna prognoza pogody nie nakaze mu wiać w określoną stronę.

Nawet nie zauważyła, kiedy minęło to pół godziny. Za oknem spostrzegła Alicję, zbliżającą się szybkim, charakterystycznym dla niej krokiem. Przyjaciółka, gdy tylko ją zauważyła, posłała wielkiego buziaka przez szybę, a po kilku zaledwie sekundach stanęła obok. Szybko zamówiły sushi i oddały się swojej celebracji życia oraz niekończącej się pogawędce. Jak to się dzieje, że pomimo iż rozmawiają niemal codziennie przez telefon i wiedzą o sobie absolutnie wszystko, zawsze mają o czym rozmawiać? Nikt tego nie wie. Tak działa miłość dwóch bliskich sobie serc. Serc prawdziwych przyjaciółek, dla których ich wspólne bicie – czy w milczeniu, czy dyskusji – jest zawsze sycące i, jak już obie teraz wiedzą, będzie ono wspólnym biciem na zawsze.

Sushi smakowało jak zwykle... zwyczajnie. Alicja je uwielbia, dlatego tu czasem przychodzą. Ona sama nie przepada za nim. Od surowej ryby miewa bóle brzucha. Zamawia więc zawsze maki z pieczonym łososiem i bardziej towarzyszy przyjaciółce, niż się najada. Jednak dla niej czas spędzony wspólnie z Alicją to uczta, więc kilka maków przegryzionych imbirem i wasabi zdają się ją w pełni nasycać. Gdy czerwone, zdobione japońskimi wzorami talerze opróżniły się, dziewczyny poprosiły o rachunek i zaczęły planować dalszą część wspólnego wieczoru, bo był to dopiero początek. Dziś umówiły się „na tańce”.

Bardzo starał się nie zwracać więcej uwagi na nieznajomą. Nie zdołał. Zauważył, jak rozpromieniła się na widok przyjaciółki. Przyglądał się, jak nieskrępowane i doskonale czujące się w swojej obecności żywo dyskutują, raz poważnie, raz ze śmiechem. Czasem milczą, tak po prostu. On tak nie umie. Ze swoimi znajomymi zawsze musi o czymś rozmawiać. Nie wypada

milczeć. W końcu musi się zawsze dziać i być cool. A one czasem milczą... i zdają się być takie szczęśliwe. Obserwowanie jej tak go wciągnęło, że przestał być w temacie rozmowy przy swoim stoliku. Koledzy dopytują, dlaczego jest nieobecny. Skłamał, że to ból głowy. Oni nie rozumieją jego fascynacji tą kobietą. On sam tego nie rozumie. Czas podczas tych obserwacji rozpedził się i minął niepostrzeżenie. Och! One poprosiły o rachunek! To już? To tyle? Co teraz? Nie. On nie może pozwolić, by tak po prostu odeszła. Ale co może zrobić? Przecież nawet dotąd się nie przedstawił. Zerwał się z krzesła, by do niej podejść, ale po sekundzie opadł na nie z powrotem. Co jej powie? Nie wie co powiedzieć? Koledzy zadziwieni jego zachowaniem przestali dyskutować i dopytują, co się z nim dzieje. Odpowiada, że coś mu się przywidziało. Znow kłamie. Chyba musi się poddać. To bezsensowne. Ona nawet go nie widziała. Zresztą, czego on oczekuje, przecież ona nawet nie jest w jego typie. Tak. Opuści. Niech odejdzie. Kątem oka widzi, że dziewczyny wstają. Przechodzą obok jego stolika w stronę drzwi. Nie wie jaka siła go podrywa i każe mu wstać i podejść. Zrywa się z krzesła ponownie i wybiega za dziewczynami, które są już na zewnątrz.

– Przepraszam! – zawołał w ich kierunku

Dziewczyny zatrzymały się i odwróciły w jego stronę. Jej oczy pierwszy raz spotkały się z jego tego wieczoru. Obezwładniające spojrzenie. Teraz już nic nie powie. Alicja przychodzi mu z pomocą, pytając: – Tak?

– Ja... To pewnie wam się wyda dziwne, ale ja... Nie znacie mnie... Ja tylko... Nie. Nie wiem właściwie, co chcę powiedzieć. Może się przedstawię. Mam na imię Dawid. – sklecił w końcu konkretne zdanie, wyciągając rękę w jej stronę.

– Inga.

– Naprawdę? – jego samego zaskoczyło to pytanie, ale postawił je zupełnie automatycznie. Ta kobieta cała składała się z zaskakujących połączeń, ale spodziewał się raczej imienia w stylu Anna, Julia, Małgorzata czy Katarzyna, ale nie Inga. To imię wcale do niej nie pasuje.

– Naprawdę.

– Przepraszam. Wyobrażałem sobie, że masz na imię inaczej.

- Jak to wyobrażałeś sobie? Nie rozumiem.
- No tak. Wiem. To dziwne. Mam nadzieję, że nie uznasz mnie za wariata, ale chciałbym zapytać, czy się ze mną umówisz?
- Nie – odpaliła w jednej sekundzie i bez mrugnięcia okiem.
- Nie? Tak po prostu: „nie”?
- Nie. Nie umówię się. Przepraszam za tak bezpośrednią odpowiedź, ale nie umawiam się na randki – uśmiechnęła się i dodała: – ale nie bierz tego do siebie. To nie przez ciebie, a przeze mnie. Po prostu teraz tak jest.
- Teraz? Czy jest szansa na spotkanie kiedyś później?
- Nie. Nie sędzę – zaśmiała się.
- Zaczekaj chwilę. Proszę.

Wbiegł z powrotem do restauracji. Inga popatrzyła na wyraźnie zadowoloną Alicję, której oczy niejako nakazywały jej oczekiwanie. Zniecierpliwiona nieco, ale posłuszna, czekała więc. Dawid wrócił po kilku minutach niosąc w ręce maleńką karteczkę z napisem: „DAWID 787 141 36”.

Wręczył jej i poprosił:

– Wiem, że to Ci się wydaje dziwne. Obserwuję cię, od kiedy weszłaś do środka. Nie zauważyłaś mnie, ale ja nie mogłem skupić się na niczym i nikim innym niż ty. Nie jestem wariatem czy zбочeńcem ani nikim takim. Jestem zwykłym facetem i będę bardzo szczęśliwy, jeśli cię jeszcze spotkam. Dlatego, gdy kiedyś będziesz chciała, to po prostu zadzwoń. Jutro, a może za rok. Nieważne. Zadzwoń. Jestem bardzo ciekawy, kim jesteś.

– Wszystko, co mówisz, jest bardzo miłe. Dziękuję ci w sumie za to, ale nie zadzwonię... Do widzenia.

Odwróciła się do niego plecami, złapała koleżankę pod rękę i ruszyły przed siebie.

Posmutniał. Stał tak jeszcze przez chwilę. Ale przynajmniej próbowałem – pomyślał. Najwyraźniej coś mu się przywidziało. Podświadomość nie mogła podpowiadać, że to spotkanie jest ważne. Bo już tego nie ma. Odeszła i więcej jej nie zobaczy. Chyba... Chyba jej nie zobaczy.

Kizomba to taniec emocji. Pochodzi z Angolii. Wyraża zarazem

pragnienie i przywiązanie. Stworzyli go młodzi ludzie, którzy, wychowani w bardzo tanecznych, rdzennych klimatach semby, zapatrzeni w zachodnie wzory, tęsknili za nowoczesnością i zmysłowością. Perkusja i romantyczne, a wręcz zmysłowe brzmienie okazały się całkowicie trafione i dały im to, czego pragnęli. W kizombie rządzi mężczyzna. To on dyktuje, jakie są figury, jakie tempo i jak ma wyglądać każdy następny krok. Kobieta oparta na klatce piersiowej partnera ma za zadanie poczuć, odczytać i ruszyć za nim. Tu nie ma miejsc na podskoki i piruety, każdy krok jest zaznaczony poniżej bioder i mocno wbity w podłogę. Wokół tańczy tajemniczość, zmysłowość, a niejednokrotnie również pożądanie.

Inga pokochała kizombę na długo przedtem, zanim zmieniło się jej życie. Każdą nadarzającą się okazję poświęcała tańcowi. Oddawała się rytmom i bitom, jednocześnie z zamkniętymi oczami wczuwała się w ruchy różnych tanecznych partnerów, najpierw na kursie tańca, później na co wtorkowych i weekendowych wieczorkach tanecznych, podczas których kizomba przeplatana była również zmysłową, ale mniej przez nią lubianą dominikańską bachatą.

Kilka lat temu rozwiodła się. Jej mąż w tańcu umiałby chyba tylko utrzymać sztywną ramę. Pan dyrektor, pod krawatem i w garniturze. Kraina chłodu i procedur. Kochała go, mimo że był zupełnie inny od niej, a może właśnie dlatego. Zdradzał ją. Podejrzewała jego zdrady przez lata, ale nie miała dowodów, a on zaklinał się na wszelkie świętości, że to nie jest prawda. W końcu przejrzała na oczy. Uwierzyła samej sobie, że to, co widzi, oraz to, co się wydarza, to nie złudzenie. To dowody zdrady. Odeszła od niego, zostawiając dom i swoje dotychczasowe życie, by zacząć nowe. Lepsze.

Myśli, że to chyba chęć znalezienia czegoś zgoła innego niż jej małżeństwo i zasady w nim panujące przyprowadziły ją na zajęcia kizomby. Tu mogła czuć i poddawać się uczuciu. Tu nie było zasad. Jedynie taniec. Taki, który pozwalał uwalniać jej gorącą wewnętrzną zmysłowość. Tak wiele w niej było ognia. Palił się przez lata, skrywany z powodu chłodnego ułożenia i zasad.

Dziś już nie tańczy, ale bardzo często wybiera się z Alicją na tańce, by

popatrzeć z boku i poczuć w środku brzucha bity, które wciąż rozpalają jej wnętrzności. Nie umie żyć bez kizomby.

Gdy przyszyły na miejsce, impreza w La Playa nad samym brzegiem Wisły, po praskiej stronie, trwała w najlepsze. Zaraz przy wejściu stał namiot, a w nim bachata i jej ukochana kizomba. Kilkanaście metrów dalej drewniana podłoga na plażowym piasku, na szczycie której zainstalowano coś w rodzaju sceny, na której didżej serwował gorącą, kubańską i nie tylko, salsę. Pomiędzy nimi długi bar w stylu hawajskim oblegany przez spragnionych tancerzy.

Dziewczyny, jak zazwyczaj, udały się od razu do pierwszego namiotu. Przywitała je ściana dusznego powietrza przesyconego potem. Tak. Uwielbiała ten zapach. Chyba między innymi dlatego tu wciąż przychodziła. W jej uszach zadźwięczały ponownie bity mocnej perkusji, które zaczęły się rozchodzić po ciele, zaczynając od klatki piersiowej, mocno wirując w podbrzuszu, znajdując wreszcie uziemienie w podłodze.

Inga uwielbia tutaj jeszcze jedno. Brak klimatu lansu, podrywu i krótkich romansów. To towarzystwo zna się bardzo dobrze. Widują się stale co najmniej raz w tygodniu. Trochę jak znajomi z kółka zainteresowań. Niewiele nowych twarzy, ale nawet te dopasowują się szybko do klimatu, bo tutaj najważniejszy jest taniec. Oczywiście zdarzają się flirty, pojawiają się małżeństwa, ale to pochodna. Tu przychodzi się tańczyć, a nie zdobywać.

Inga poczuła się jak u siebie. Wokół mnóstwo znajomych, ukochana muzyka i taniec. Przywitała się z najbliższymi stojącymi i usiadła w rogu sali. Zamknęła oczy i wsłuchiwała się w muzykę, która dzięki mocnym uderzeniom perkusji wprawiała drewnianą podłogę w drgania. Czy to nie cudowne – czuć taniec, nie tańcząc? Po kilku minutach otworzyła oczy i od razu zauważyła Alicję w objęciach silnego, wysokiego Artura, nazywanego poufale „Sreberkiem”. Jest żonaty, nawet przychodzi tu czasem z żoną, bo obydwójce dzielą się swoją pasją. Czy może być piękniejsze spoiwo dla małżonków niż pasja? I to jaka pasja. Artur tańczy zgodnie z tutejszym zwyczajem z wieloma partnerkami. Ewidentnie ma do tego tańca wielki talent. Alicja to bardzo drobniutka kobietka. W ramionach Artura wygląda

bezbroni i ponętnie, poddana jego delikatnym ruchom i gestom wskazującym kolejne kroki w tańcu. Idealnie. Tak dobrze wyglądają razem zatopieni w rytmach, ruchach i zdecydowanie innym świecie niż ten za płachtą namiotu.

Inga tęskni bardzo za tym zanurzeniem, ale nie jest w stanie się mu oddać. Ogranicza ją ból, związany ze wspomnieniem. Patrzy. Później znów zamyka oczy i czuje. Słucha. Wciąż nie potrafi pokonać bariery, która nie pozwala jej stanąć na parkiecie.

Po kilku drinkach z kolegami w kolejnych barach na Nowym Świecie Dawid dotarł w końcu do miejsca docelowego. Uwielbia gorące rytmy, a jeszcze bardziej piękne dziewczyny, ruszające się w ich takcie. Tutaj jest ich oszalałająco dużo. Jedna piękniejsza od drugiej. Porywane raz po raz do tańca przez przystojnych partnerów, których tu niestety równie wielu. Na parkiecie jest pikantnie i aromatycznie, różnorodnie, swobodnie i generalnie szybko. Wprawne uszy mogą usłyszeć guajirę, mambo, cza-czę, charangę. To tańce wywodzące się z Karaibów i gorące jak tamtejszy klimat. A w salsie ozdobione nutką jazzu. Pary nie potrzebują dużo miejsca, bo wszystkie figury są możliwe do wykonania i chętnie tańczone na maleńkim kawałku parkietu. Nie. Nie tak jak na zwykłym disco. Tego David nawet nie lubi. On lubi przenieść się w inny świat w środku Warszawy, a to mu daje właśnie salsa. W kilka chwil znajduje się w gorącej Hawanie, stolicy Kuby. Bo tak właśnie tu jest. Klimat par roztańczonych wieczorem w małych klubach, na ulicach. Z oddechów, ruchów i uśmiechów tańczących wrywa się słowo „wolność”. I ten taniec to wolność, którą ukochał. Tutaj klimat jest jeszcze bliższy Kubie, bo impreza odbywa się na wolnym powietrzu, tuż nad brzegiem Wisły. Z jednej strony tańczący w cieniu drzew, a z drugiej romantyczne światła jego miasta. Czego chcieć więcej? No, może pięknej kobiety, która z nim zatańczy.

Już dawno zapomniał o intrygującej Indze. Zaciekawiała go śliczna młodziutka blondynka o kręconych włosach, w niezwykle seksownej, czerwonej mini sukience z odkrytym ramieniem, doskonale podkreślającej jej niemal idealne kształty. Tak. Takie kobiety uwielbia. A jeszcze bardziej je

kocha, gdy tańczą salsę. Szybko, tak by nikt jej nie porwał, wyciągnął w jej stronę rękę i zatonęli w tłumie tańczących. Doskonale. Tego mu było trzeba.

Nawet dla najbardziej oddanego salsie tancerza kilkadziesiąt minut tańca to wyzwanie. Zapytał partnerkę, czy zechce z nim usiąść obok i odpocząć. Zgodziła się. Usiedli nieco z dala od głośnej muzyki, by swobodnie porozmawiać i zaczęli prowadzić zwyczajną, nieco kurtuazyjną rozmowę.

Ni stąd, ni zowąd zerwał się nieco silniejszy podmuch wiatru, który smagnął go po uszach jakimś innym rytmem muzyki. Co to? Nie słyszy wyraźnie. Nasłuchuje mocniej. Nic. Tylko salsa. Po chwili znów wiatr zaczepia go jakimś intrygującym dźwiękiem. Co to za dźwięk? Zna go. Zna bardzo dobrze. Ale to nie salsa. Obejrzał się i zobaczył namiot, z którego dobiegały dźwięki. A! To bachata. Nie lubi bachaty. Woli swoją salsę. Skoncentrował się na rozmowie z nową przyjaciółką. Jednak dźwięki z namiotu nie dawały mu spokoju. Zmieniły się. Teraz słychać mocną perkusję. Zaczął się coraz częściej odwracać w stronę namiotu, nie mogąc skoncentrować się na rozmowie.

– Co się dzieje? – zapytała dziewczyna.

– Nic. Nic. Nie wiem. Jakoś rozprasza mnie dziś ta kizomba.

– Lubisz kizombę?

– Nie. Nie bardzo. Tańczyłem kiedyś, ale przegrała sromotnie z salsą. A Ty? Tańczysz kizombę?

– Nie. Niestety, nie.

– Dlaczego: „niestety”? – zapytał, śmiejąc się, Dawid. – Dla mnie najważniejsze, że tańczysz salsę.

– Też się z tego powodu cieszę. Przepraszam cię na chwilę. Podejdę tylko do znajomych, przywitam się i zaraz wrócę. Dobrze?

– Tak. Tak. Nie krępuj się. Tylko wróć do mnie. – Mrugnął do niej figlarnie.

– Wrócę. Tylko na mnie zaczekaj.

Oczywiście, że zaczeka. Jest śliczna i chętnie się z nią jeszcze spotka. Spojrzał w dal na drugi brzeg Wisły, a wiatr znów smagnął jego uszy kizombą. O co chodzi? Dlaczego ona tak go nęci i zagarnia? Tak, jakby go wołała do siebie. Uległ jej. Wstał i ruszył w stronę namiotu, do którego nigdy

tu jeszcze nie zaglądał.

Gdy tylko wszedł uderzyła go ściana dusznego potu, której nie ma tam, gdzie był przed chwilą, bo tam tańczą na wolnym powietrzu. Poczł delikatne drzenie przy każdym bicie i potęgującą ciekawość. Obszedł cały namiot. Popatrzył. Dziwne, bo nawet nie chce mu się zatańczyć, pomimo iż ludzie wewnątrz wydają się czasem jak zahipnotyzowani tańcem. On tego nie czuje. Nic tu dla niego nie ma. Lepiej będzie, jeśli wyjdzie, bo ucieknie mu blondynka, śliczna Ania. Ruszył w stronę wyjścia, przeszedł po raz kolejny przez całą salę z coraz większą chęcią ucieczki, bo dla niego tu zbyt duszno. Gdy wyciągnął rękę, by odciągnąć materiał namiotu, mignął mu jakiś znajomy niebieski kolor. Co to? Zna ten kolor. Ważny kolor. Cofnął się i zobaczył siedzącą z boku z zamkniętymi oczami Inge. A to dobre! Pomyślał. Cofnął się o krok i przyglądał jej się przez kilka minut. Co ma zrobić teraz? Wcześniej powiedziała, że się z nim nie spotka. Czy ma podejść, by znów usłyszeć to samo? Czy może znów zapomnieć i szybko odnaleźć Anię, która ma zaraz do niego wrócić. Nie. To bez sensu. Ona nie chce z nim rozmawiać. Nie ma powodu tracić czasu i marnować szans na nową, dobrą znajomość z młodziutką niebieskooką dziewczyną w czerwonej sukience. Wyszedł. Usiadł tam, gdzie się rozstał z Anią i zaczął na nią. Tak jak mówiła, przyszła. Ale on już nie umiał się na niej skoncentrować. Nie rozumiał, dlaczego musi wrócić do namiotu, gdzie siedziała Inga. Przeprosił nową znajomą. Wymienili się kontaktami i ruszył z dziwnie bijącym sercem w stronę niewiadomej. Bo nie wiedział zupełnie, czego się spodziewać. Co więcej, był przekonany, że znów dostanie po uszach.

Czy ja zwariowałem? Zostawiłem taką śliczną dziewczynę dla kobiety, która nawet nie jest w moim typie. Zwariowałem. Jestem pewien, że oszalałem – powiedział sam do siebie.

Gdy wrócił, Inga siedziała wciąż w tym samym miejscu, teraz jednak przyglądała się tańczącym z jakby rozmarzonym uśmiechem. Zastanawiał się, dlaczego nie tańczy. Może nie umie tańczyć i to przypadek, że jest tutaj. Czy podejść do niej? Czy ją wkurzy? A może się ucieszy?

Podszedł bardzo blisko, nachylił się za jej plecami i szepnął do ucha:

– Zatańczysz?

– Przepraszam, ale ja nie tańczę – odparła, zanim się obejrzała i zobaczyła z kim mówi.

Gdy jednak wzrok nadażył za głosem i zobaczyła Dawida, nie była w stanie ukryć zdziwienia. Uśmiechnęła się jednak po chwili rozluźniona.

– Pan mnie śledzi, Dawidzie?

– Nie. Prawda jest taka, że nawet zapomniałem na trochę i przecierałem oczy ze zdumienia, gdy zobaczyłem panią, Ingo. Chyba jeszcze nie wierzą w to, co widzą.

Zaśmiali się oboje.

Przyglądała mu się przez chwilę. Dotąd nie zwróciła nawet uwagi na to, jakim jest mężczyzną. Zobaczyła teraz, że jest szatynem, z bardzo długą grzywką zaczesaną na bok. Zastanawiała się jak ona się właściwie trzyma, bo nie była założona za ucho, a swobodnie, choć nienaturalnie, spadała na bok. Muszą być jakieś kosmetyki, których to zasługa. Widuje ostatnio bardzo wielu młodych chłopaków z finezyjnymi fryzurami, które nie wiedzieć jak trzymają się późnym popołudniem. A nie jest to z pewnością żel, jaki pamięta ze swojej młodości, czy lakier, bo wciąż dobrze pamięta ich działanie.

Rzeczona grzywka opada mu tuż nad prawym szarozielonym okiem. Hmm... Takim zwyczajnym okiem. Obok bardzo małe i delikatne, niemal dziewczęce uszy, a za jednym z nich, również prawym, tatuaż, imitujący odbite kobiece usta. Zabawne. Chyba jest kobieciarzem. Nawet przystojnym kobieciarzem, musi przyznać. Wysoki, dobrze zbudowany. Inga wie o tym, bo włożył białą, przylegającą do ciała koszulkę. Wyraźnie zarysowuje się pod nią klatka piersiowa. Poszłaby o zakład, że widzi nawet lekko zarysowujący się kaloryfer. Do tego cały czas delikatnie się uśmiecha. Podobałby się jej kiedyś. Choć chyba jest bardzo młody. Dwadzieścia osiem... dziewięć lat. No, maksymalnie trzydzieści.

Zdaje się, że się denerwuje, bo noga porusza mu się w nerwowym tiku, to w dół, to w górę. Dlaczego? Czego on właściwie od niej chce? Co on mówił wcześniej? Że chce ją poznać?! Przecież to jawny flirt. Nie. Naprawdę nie ma na to ochoty. Z drugiej jednak strony, skoro flirt, dlaczego z nią nie

rozmawia. Siedzą już tak dobre pół godziny. Czasem na nią spogląda i się uśmiecha, ale przez większość czasu patrzy na tańczących. Może lubi po prostu kizombę i to przypadek, że tu z nią siedzi. Jakieś to wszystko dziwne. Nawet nie jest pewna, czy ma ochotę na jego towarzystwo. Ale dlaczego pozwoliła mu usiąść obok? Dlaczego go zachęciła uśmiechem? No, miły jest. Taki pełen życia i radosny. Tak. On na pewno tańczy kizombę.

– Tańczysz kizombę? – zapytała. – Wiem. Brzmi jak kurtuazyjne pytanie. Ale ja naprawdę chcę wiedzieć – zaśmiała się.

– Tak i nie – odpowiedział. – To znaczy umiem, bo tańczyłem kiedyś. Ale znudziłem się. Wolę salsę. Pociąga mnie w niej ogień, którego tu mi brakowało.

– Zabawne. Ja tańczyłam kizombę, bo w niej znalazłam ogień, którego mi w życiu brakowało. – Zamyśliła się.

– Tańczyłaś? Jak mam to rozumieć?

– Dosłownie. Kiedyś tańczyłam. Dziś nie tańczę.

– Powiesz, dlaczego?

– Nie.

– Już drugi raz krótko odpowiadasz: „nie” i tyle. Chyba nie spotkałem nikogo, kto robiłby to z taką łatwością.

– Nie zawsze taka byłam. A teraz tego „nie” strzegę jak ognia.

– Wiesz, że jesteś trochę dziwna?

Zaskoczyła ją taka buta i bezpośredniość, a jednocześnie ucieszyła. Dawno nie spotkała kogoś takiego. Wszystko, co robił zdawało się być prawdziwe. A tak cenna w jej życiu jest teraz prawda. Postanowiła odpowiedzieć.

– Wiem. Oboje to wiemy. Mimo to wciąż tu jesteś.

– No właśnie. To chyba był głupi pomysł. Tam dalej, na plaży, zostawiłem śliczną Anię i rozmawiam tu z jakąś wariatką, która siedzi w środku namiotu z kizombą i nie chce tańczyć, chociaż umie, do tego rzuca w moją stronę „nie”, jakby nie wiedziała, że to tworzy barierę.

Uśmiechnęła się w duchu.

– A może ta wariatka robi to celowo, bo nie lubi towarzystwa? I nie chce więcej, a z barierą czuje się bezpiecznie?

– Ty jednak przypadkiem nie flirtujesz ze mną? Mówisz to wszystko serio? Chciałabyś, bym sobie poszedł?

Zastanawiała się dobrych kilka minut, co, i czy w ogóle, odpowiedzieć. On czekał cierpliwie, spoglądając na parkiet.

– Nie – odparła w końcu. Nie wiedziała za bardzo dlaczego, ale nie chciała, aby poszedł. Dobrze jej w jego towarzystwie.

– Widzisz? Znów to robisz – zaśmiał się. – Na szczęście to „nie” jest na moją korzyść. Dodam, że również na twoją, bo właśnie cię stąd zabieram. Chodź bliżej plaży. Porozmawiamy. Tu jest głośno. Jestem bardzo ciekaw historii, którą kryją te smutne oczy.

– A zechcesz spędzić ze mną czas, nawet gdy ci powiem, że to tylko jeden wieczór i nie zobaczymy się nigdy więcej?

– Jeden wieczór może się zamienić w jedyną noc – stwierdził z wielkim uśmiechem, bardzo sugestywnie.

– Tak. Może. Ale tylko spędzona tu, blisko na plaży, na rozmowie, i tylko rozmowie, może być przy *caipirinha*, dopóki się mną nie znudzisz albo nie uciekniesz. Pamiętasz? Jestem wariatką. Weź na to poprawkę.

– No dobra. Masz rację. Zmykam. Miło było cię poznać. – Wstał i udał, że wychodzi. – Żartuję. – Wyciągnął w jej stronę rękę i szepnął: – Chodź.

Inga poprosiła go, by poczekał, bo chce powiedzieć Alicji, że wychodzi, aby się o nią nie martwiła. Alicja była nieco zaskoczona, gdy zobaczyła Dawida, ale jednocześnie bardzo się ucieszyła, że Inga z kimś wychodzi.

– Jasne. Jakby co, to dzwoń i zaraz będę. Koniecznie opowiedz mi jutro wszystko. Baw się bosko! Nawet przystojny ten „Deiuid”.

– Ala, daj spokój, znasz mnie. To nie ma znaczenia. Nie chcę. On wie, że nie zobaczę się z nim więcej. Uprzedziłam go. Ciekawi mnie i dobrze się przy nim czuję. Chyba potrzebuję się oderwać i pobyć trochę w innym świecie niż mój. Tyle...

Stanowczość i surowość w jej słowach sprawiły, że entuzjazm Alicji nieco zmalął. Jednak mimo to żywiła nadzieję, że będą kolejne dni.

– Idź już. Idź. Widzimy się później albo jutro. Pa.

– Pa.

Dawid zastanawiał się, przyglądając się Indze, gdy rozmawiała z swoją przyjaciółką, co dalej. Po co właściwie to robi? Przecież jej zachowanie podpowiada mu, że dla niej to nic nie znaczy. Mówi stanowczo, że nie chce go więcej widzieć. Po co więc teraz z nim rozmawia? Dlaczego właściwie spotkał ją kolejny raz tego wieczoru? Wszystko to jest jakby lekko nasyczone magią. Może ona jest czarownicą i dlatego od pierwszego spojrzenia nie daje mu spokoju? Uśmiechnął się. Na szczęście nie wierzy w czary i inne takie. Fakt, trochę pokręcona historia, ale odpuszcza rozmyślenia. Od teraz nie ma zamiaru zastanawiać się, o co tu chodzi. Zamierza spędzić fajny wieczór, a może i noc, nawet jeżeli faktycznie to będzie jedyna taka noc w jej towarzystwie. Zresztą może to dobrze, że jedna, bo trochę z niej dziwaczka. Hm... A może to właśnie jej inność go przyciąga? Dobra. Nieważne. Już skończyła i ruszyła w jego stronę.

Gdy stanęła przy nim, spojrzeli na siebie i ręką wskazał jej wyjście. Bez słowa podążyła we wskazanym kierunku o krok przed Dawidem. Kiedy tylko wyszli, uderzyła ich fala świeżego, choć ciepłego powietrza. Gdyby było nawet o dziesięć stopni więcej, na zewnątrz byłoby bardziej rześko niż tam, w środku.

– Dobrze, że w końcu lepiej się oddycha – odetchnął z ulgą.

– Faktycznie, teraz poczułam, jak bardzo było w środku duszno – uśmiechnęła się Inga.

– Dobra. To może zaczniemy od jakiegoś drinka? Dużego wyboru tu nie ma, ale jakieś mohito pewnie robią. Chodź, zamówimy.

– Hmm...

– Nie mów, że nie pijesz, bo to by już ostatecznie przesądziło o tym, że jesteś nieco dziwaczna – stwierdził zaczepnie, patrząc jej wyczekująco w oczy.

– Piję... Czasem piję... Ale zastanawiam się, czy chcę ten wieczór psuć alkoholem?

– Psuć? Przecież zadaniem alkoholu jest poprawiać takie wieczory.

– To kwestia perspektywy.

– Perspektywy?

– Tak. Ja się bardzo dobrze potrafię bawić bez alkoholu. Czasem nawet

lepiej. Ale nie wiem jeszcze, jak chcę dzisiaj.

– To co mam zrobić, by pomóc w wyborze?

– Wystarczy, że powiesz jak dużo dziś wypiełeś. A już będę wiedziała, co dalej.

– Ha! Cwaniara! Nie powiem!

– Naprawdę? Dlaczego?

– Bo będziesz miała przewagę nade mną.

– Startujemy w jakichś zawodach?

– Nie. Właściwie, to nie wiem w czym startujemy, bo muszę przyznać, że całe to spotkanie z tobą jest dla mnie bardzo dziwne. Zastanawiam się wciąż, co mnie tak do ciebie ciągnie. Rozważałem nawet opcję, że jesteś czarownicą, więc za wiele wolałbym nie zdradzać.

Roześmiali się oboje.

– No dobrze. To chodźmy po to mohito, bo jestem pewna, że jednak trochę wypiełeś. Choć raczej nie jesteś pijany. Mówię: „raczej”, bo cię po prostu nie znam.

– Nie martw się, nie jestem. Choć coś tam wypiełem.

Zamówili w barze pomiędzy salsowym parkietem i kizombowobachatowym namiotem po mohito i znaleźli ciche miejsce na plaży, z dala od mocnych dźwięków. W miejscu, gdzie doskonale słyszeli swoje słowa. Z dala od ludzi, ale z bezpiecznym dla niej poczuciem ich obecności za plecami oraz z dość romantycznym widokiem oświetlonej kolorowymi światłami lewobrzeżnej Warszawy. Siedzieli przez chwilę wpatrzeni w światła miasta. Sącząc mohito i celebrując chwilę. Zarówno w jej, jak i w jego życiu nie zdarzają się takie momenty często. Piękny widok, w środku nocy, na łonie natury, z nieznaną osobą u boku. I ciekawością, jak piękna jest dusza siedząca obok.

W końcu Dawid przerywa ciszę. Ciszę, która ani przez chwilę nie była niezręczna. A ponoć tak może być tylko z kimś bliskim. Milczeć bez presji, że trzeba czymś zapełnić pustkę. Nie byli sobie bliscy. Poznali się zaledwie chwilę temu. Ale jakoś im do siebie bardzo blisko.

– To jak? Powiesz mi, dlaczego nie tańczysz już kizomby?

– Nie da się o tym krótko opowiedzieć. To bardzo długa historia.
– Ważna jest dla ciebie ta historia?
– Bardzo ważna. Chyba wciąż najważniejsza.
– To bardzo chcę ją usłyszeć.
– Jesteś pewien? Bo to dość smutna bajka i opowiadanie jej może potrwać.

– Mamy czas do rana. Mów!

Inga milczy przez chwilę, rozważając, czy może o tym rozmawiać. Czy chce nieznajomemu opowiadać o tym, co dla niej tak ważne. Czy w ogóle będzie potrafiła? No tak. Wie, że będzie. Od początku, to znaczy od drugiego spotkania w namiocie, wie, że przy nim może mówić o wszystkim. Da radę. To pierwszy raz, gdy spróbuje tę historię poskładać w całość. Ale przy nim to nie może być trudne. A fakt, że już więcej go nie spotka, sprawia, że zdaje się być jej jeszcze łatwiej. Tak. Spróbuje.

– Chcę cię tylko uprzedzić, że nie umiem opowiadać o sobie. Jestem raczej skryta. I to będzie pierwszy raz, gdy będę o tym mówić, więc momentami może to być dla mnie trudne.

– Brzmi bardzo serio.

– Bo to, co chcę opowiedzieć, jest bardzo serio.

– Inga, jeżeli nie chcesz, nie musisz... Możemy po prostu posiedzieć...
Albo pogadać o pierdołach...

– Chcę – przerwała mu.

Dawid poczuł, jak rośnie jego ciekawość. Chyba nie chciałby zrezygnować z tej opowieści. Jest bardzo ciekaw, co kryje się za tym smutnym spojrzeniem. Nie podtrzymał rozmowy. Oparł się na łokciach na piasku i spokojnie czekał, aż Inga będzie gotowa zacząć swoją historię.

– Zastanawiam się, kiedy to się właściwe zaczęło. Kilka lat temu rozwiodłam się. To było dziwne małżeństwo. Kochałam go. Na początku na pewno. Siadywałam z nim na jednym krześle, nawet, gdy wokół było pełno wolnych. Lubiłam jego bliskość. Jak się później okazało – toksyczną. W jego zamkniętych ramionach zapomniałam, kim jestem. Czego pragnę. Nie byłam nawet pewna tego, co lubię, bo on decydował za mnie. Do tego mnie

zdradzał. Banalne, co? Po dziewięciu latach zebrałam się w sobie, zapakowałam rzeczy w kilka kartonów i wyprowadziłam się do wynajętego mieszkania. Zostawiłam niemal wszystko za drzwiami i ruszyłam w nowe. To wtedy trafiłam najpierw na zajęcia bachaty, a później poznałam kizombę. Taniec dał mi wolność. A właściwie – oddał, bo zawsze w środku byłam wolnym ptakiem, tańczącym na ulicy i uciekającym od konwenansów. Wiążące ręce zasady społeczne nie istniały dla mnie, dopóki nie wyszłam za mąż. Gdy sędzina orzekła rozwód, pomimo niezwykle trudnych emocji, wywołujących łzy, poczułam pukającą delikatnie w okno wewnętrzną wolność, wracającą z dalekiej, dziewięcioletniej podróży. Wiesz... ciekawe jest to uczucie, gdy odzyskujesz to, co upragnione, a nie możesz się powstrzymać od łez smutku i żalu za tym, co zakończone. Naprawdę płakałam z bólu, choć stało się to, czego pragnęłam całym sercem.

Kizomba była ucieczką od codzienności i powoli pomogła mi odzyskać własne uczucia i emocje. Bo kizomba to uczucia i zdolność odczuwania. Dwa słowa, które mogłyby scharakteryzować tamten okres po, to praca i taniec. Chyba nie miałam innego życia. Jednak gdy już nauczyłam się żyć na nowo, poczułam, jak bardzo mi ciasno w mojej egzystencji pomiędzy starym i nie wiadomo jeszcze jak wyglądającym nowym. Zwolniłam się z pracy i ruszyłam w świat. Zawsze chciałam zobaczyć Indie. Pojechałam. Zwiedziłam ich północną część. Fascynujący kraj i niesamowity czas. Z Indii na chwilę trafiłam do Nepalu i zakochałam się w tym kraju. Byłam pewna, że tam wrócę. Wróciłam po kilku tygodniach. Spędziłam tam kilka miesięcy. Żyłam jak w filmie z Bollywood, zachowywałam się i myślałam często jak bajkowe postaci z tych filmów. Dziś myślę, że byłam nieco infantylna, ale wtedy dokładnie taka byłam. Zatopiona w Nepalu. W miłości do tego kraju i nie tylko.

Zamyśliła się na chwilę, po czym podjęła znów wątek:

– Jednak nie o tym będę opowiadać. Po powrocie zwiedzałam Europę. Bawiąc się, odpoczywając, poznając ludzi, kochając życie i zapominając bardzo wolno o Nepalu. Aż trafiłam po raz kolejny na Fuerteventurę. Byłeś na Wyspach Kanaryjskich? To jedna z nich. Najmniej oblegana i chyba najpiękniejsza.

Dawid pokręcił przecząco głową.

– Koniecznie kiedyś tam pojedź. Ja wrócę. Wrócę na pewno. Wtedy zdecydowałyśmy się na wyjazd we trzy. Ja, Ala, którą poznałeś, i jeszcze Monika. Z Alą podróżowałam już wcześniej, a z Moniką pierwszy raz. Początek był raczej klasyczny – drinki, imprezka, wieczorem nowo poznani towarzysze z Włoch i Francji. Wyprawa nocą nad ocean i spacer po plaży. Spacer we czwórkę, bo Monika była już dawno w łóżeczku. Zakochana w swoim wieloletnim partnerze śniła, jak na grzeczną dziewczynkę przystało, o wspólnych planach. W ciągu dnia uczestniczyła w naszych wędrówkach czy leżakowaniu na plaży, nosząc przy sobie robótki ręczne i dziergając serwety, które miały ozdobić ich nowe mieszkanie. A wieczorem znów łóżeczko.

Jednak ten wyjazd nie mógł się skończyć tak banalnie. Każdy, kto raz choć pojechał na zorganizowaną wycieczkę – ja wtedy byłam już drugi raz – wie, że codziennie na basenie odbywają się zajęcia aktywacyjne. Były też u nas. Z niewielkiej altany wyłoniła się trójka animatorów. Niskiego wzrostu, mocno opalony, młody chłopak o bardzo egzotycznych rysach i żywym spojrzeniu z cudownym, zawadiackim uśmiechem, śliczna, młoda dziewczyna w stroju flamenco i czarnoskóry mężczyzna z lekko rozczochranymi włosami, zbudowany dość masywnie, choć nieprzesadnie.

Skutecznie zapraszali wczasowiczów do wspólnych ćwiczeń i zabawy. Ku naszemu zaskoczeniu Monika odłożyła swoje robótki i pobiegła wtopić się w nowo tworzącą się grupę basenowych aktywistów. Ubawiłyśmy się przednio, patrząc zachwycone, jak Monia – niemal jak mała dziewczynka – próbuje nadażyć za ćwiczącymi. Śliczna i słodka jak nastolatka. Chyba nie byłyśmy zbyt dyskretne, bo naszym śmiechom towarzyszyły coraz częstsze spojrzenia otaczających nas ludzi. Dodam, że Moni to wcale nie przeszkadzało, wprost przeciwnie – śmiała się razem z nami. Nasze radosne chichoty nie umknęły również uwadze młodszego animatora. Spoglądał co rusz na nas i na Monię, sam ledwie powstrzymując się od uśmiechu. Niezłą zabawę rozkręciła dziewczyna.

Po jej zakończeniu Monia padła na leżak z wielkim uśmiechem i zawołała:

– Tego mi było trzeba!

Po czym wróciła do swoich robótek. Ja zamknęłam oczy i oddałam się słonecznej kąpeli. Po kilku zaledwie minutach usłyszałam obok bardzo interesujący, jakby lekko dziewczęcy, ale jednak zdecydowanie męski głos: – *Hola. Cómo estás?*^[1]

Nie znam hiszpańskiego, ale po kilku pobytach w tym kraju już wiedziałam o co pytał.

– *Muy bien*^[2] – odpowiedziała mu Ala, która wzięła kilka lekcji hiszpańskiego i już naprawdę nieźle władała tym językiem.

Przysłuchiwałam się przez chwilę, jak rozmawiają. Bardzo podoba mi się ten język, ale nie mam talentu do języków obcych i wystarcza mi wieczna nauka angielskiego. Hiszpański pozostaje dla mnie tylko czymś ładnym. Wyłapałam kilka znajomych słów, uśmiechając się do siebie i wyobrażając sobie na ich podstawie o czym rozmawiają. Chyba kompletnie mylnie, bo chłopak odwrócił się w moją stronę i rzucił jakieś pytanie, którego znaczenia kompletnie nie byłam w stanie odgadnąć. Ala przetłumaczyła bardzo chętnie, że pyta, co się stało z moim nosem, który po pierwszym słonecznym dniu wciąż był czerwony, po czym wytłumaczyła mu, że nie mówię po hiszpańsku.

– *Oh! How do you do?*^[3] – padło standardowe pytanie.

– *Fine*^[4] – odpowiedziałam równie książkowo.

Na szczęście rozmowa się rozkręciła. Okazało się, że facet jest Kolumbijczykiem, co wyjaśniało jego egzotyczną urodę. Od zawsze chciałam zobaczyć Kubę, Amerykę Łacińską i Południową, dlatego od razu mnie kupił swoim pochodzeniem. Wszystkiego dopełniły jego imię i nazwisko: Diego Manuel Hernandez Hidalgo! Jak z argentyńskiego serialu. Ukradł natychmiast moje serce. Spędziliśmy godzinę nad basenem dyskutując o Polsce, Kolumbii i... bachacie oczywiście. Bo bachata jest z Dominikany, więc w niedalekiej Kolumbii jest również znana. zaproponował, że zabierze nas na lokalną dyskotekę, gdzie grają wyłącznie bachatę. Zgodziłyśmy się bardzo chętnie. Zapytał jeszcze, czy może przyprowadzić dwóch towarzyszy dla Ali i Moni.

– Czemu nie! – odpowiedziały dziewczyny. I tak znalazłyśmy się wieczorem w małej dyskotekce, pełnej egzotycznych tancerzy, w tym

może kilku osób z Europy, w towarzystwie Diego i dwóch jego czarnoskórych przyjaciół. Jednym z nich okazał się atletycznie zbudowany mężczyzna znad basenu.

To był początek znajomości, która rozwijała się do końca pobytu i która całkowicie zmieniła Monię. Polubiła bardzo Roberto, bo tak miał na imię czarnoskóry animator. Odłożyła robótki, myśli o swoim partnerze odsunęła na plan znacznie dalszy, a dzień zaczynała od rozmów o Roberto. Na śniadaniu poszukiwała Roberto, po śniadaniu biegła na basen, by spotkać Roberto, obiad też gorzej smakował bez perspektywy ujrzenia go, popołudnie ciągnęło się jak twarda guma, bo dopiero za kilka godzin znów zobaczy Roberto na wieczornych animacjach czy podczas hotelowego disco.

Roberto, wprawiony w zalotach i romansach, zauważył zauroczenie Moni i je podsycił. Rozbudził uczucie w spokojnej dotąd dziewczynie. Wywołał w końcu jakieś drzemające na dnie serca, nieznane nam emocje, bo Monia wpadła po uszy. W kilka dni zakochała się w nim bardzo mocno. A on korzystał, zaspokajając swoje ego i dając się zapraszać do lokalnych kawiarni czy restauracji. Momentem krytycznym była ostatnia noc, gdy rozpalona dziewczyna chciała spędzić ostatnie chwile z wybrankiem, a ten po prostu nie miał czasu. W szalejącym deszczu i wicherze poszukiwała Roberto, ale bezskutecznie. Nieprzespana noc, a rano, jakby nigdy nic: „Zaspałem” z jego ust wytłumaczyło i usprawiedliwiło w jej sercu wszystko. Odprowadził ją do autobusu, tuląc w ramionach i obiecując, że będzie pisał i że nie zapomni.

Nie pisał. Nie dzwonił. Po tygodniu jeden mail, a w nim nic ciepłego. Pewnie bardzo bolało. Monia przyzwyczajała się do jego braku, ale nic już dla niej nie było jak wcześniej. Nigdy nie dokończyła robótki, zamykając ją na dzień wielkiego pudła, którego wieko obciążyla tęskniącym sercem.

Po kilku tygodniach udało się nam wyciągnąć ją na dyskotekę. Śliczna, seksowna, uśmiechnięta stanęła przed nami w Karmie, w której umówiliśmy się na „beforek”. Zamówiliśmy soczek, bo to był marzec, okres wielkiego postu, gdy nie piję. Zdawało się, że wszystko już za nią. Cieszyliśmy się bardzo.

Ostatecznie trafiłyśmy do Enklawy, miejsca, gdzie w Warszawie bawi się międzynarodowe towarzystwo. Ci, którzy tu zamieszkali, ale i turyści, coraz

częściej przyjeżdżający tu na weekend. Hindusi, Pakistańczycy, Włosi, Hiszpanie, Francuzi i Holendrzy, często Skandynawowie i wielu, wielu innych.

Szybko zapoznałam się z jednym Cypryjczykiem, który do końca imprezy wracał do mnie jak bumerang, za każdym razem coraz bardziej chwiejnym krokiem, aż zaczęłam się w końcu chować przed niechcianym adoratorem. Zatańczyłam kilka kawałków z Hindusem – chyba zawsze będę miała sentyment do tej nacji. Pogadałam z bardzo wesołym, niższym nieco ode mnie i wspinającym się wciąż na palce Polakiem, bawiąc się naprawdę przednio i spoglądając raz po raz, gdzie są dziewczyny, bo taką miałyśmy umowę, że dbamy o siebie i zawsze się wzajemnie pilnujemy. Ala żywo dyskutowała z jakimś przystojniakiem, a Monia z bardzo smutną miną spoglądała gdzieś daleko ponad głowami obecnych. Chyba poleciała charterem do małej dyskoteki z bachatą... Szkoda mi się jej bardzo zrobiło, przeprosiłam kolegę i podeszłam do niej.

– Co jest, Monia? Czemu się nie bawisz?

– Jakoś tu tak pusto...

– Jak to: „pusto”? Popatrz, ile ludzi! Uśmiechnij się i chodź, pobawimy się razem. Zaraz kogoś fajnego poznamy.

– Ale... ale... tu nie ma żadnego Murzyna...

Wiedziałam, o co jej chodziło, żartobliwie mówiłyśmy tak na Roberto, nawet próbował kilka razy powiedzieć: „M-u-rz-y-n” i prawie mu to wychodziło. Chciałam jednak zbawiać świat i na siłę pomóc jej zapomnieć. A ponieważ najlepszym lekarstwem na nieszczęśliwe zakochanie jest ponoć nowa miłość, wymyśliłam, że znajdziemy dla niej jakiegoś czarnoskórego następcę Roberto.

– Jak to nie ma? Na pewno jakiś się znajdzie! Chodź.

Złapałam ją za rękę i pociągnęłam w kierunku roztańczonego tłumu. Pomyślałam, że rozejrzemy się wokół i jeśli spotkamy kogoś, kto przynajmniej kolorem skóry przypomina ukochanego, to spróbujemy nawiązać znajomość – może to nieco złagodzi smutek Moni. Ledwo zrobiłyśmy kilka kroków, zobaczyłam w samym rogu baru czarnoskórego, dość przystojnego mężczyznę. Nie pamiętam zbyt wielu szczegółów tego, jak

wtedy wyglądał. Zapamiętałam jedynie długi różaniec z wielkim krzyżem, wiszący na jego szyi, oraz bardzo ostre spojrzenie. Gdy podeszłyśmy bliżej, spojrzałam mu w oczy, on również odpowiedział na moje spojrzenie. Trwało to pewnie kilka sekund, a mi wydawało się, że przeszywa mnie wzrokiem na wylot. Odwróciłam się w stronę Moni i jakoś z głębi duszy rzuciłam: – Ten nie. To jakiś zły człowiek.

Ruszyłyśmy dalej, ale jego spojrzenie nie dawało mi spokoju. Zerknęłam i zauważyłam, że wciąż na mnie patrzy. Miałam ochotę uciec, ale jednocześnie poczułam olbrzymią ciekawość. Dziwny. Kim jest ten człowiek o tak ostrym spojrzeniu? – zastanawiałam się. Uciekłam jednak. Obeszłyśmy kilkakrotnie salę i nie znalazłyśmy nikogo, kto zastąpiłby Roberto. Monia postanowiła zamówić drinka i usiąść nieco z boku, a mnie do tańca poprosił znajomy Hindus. Zatańczyłam z nim, bo rozpierał mnie wyjątkowo dobry humor, a ciało pragnęło popłynąć w rytm muzyki. Niestety, daleko jej było do kizomby, mimo to dźwięki wyzwalały wewnętrzną dzikość.

Gdy znalazłam się na parkiecie, po kilku sekundach tańca zauważyłam znów mężczyznę z różańcem na szyi. Nie widział mnie, mogłam mu się spokojnie przyjrzeć. Był niezbyt wysoki. Raczej szczupły, ale dobrze zbudowany. Nie pamiętam, co miał wtedy na sobie, oprócz czarnej, krótkiej marynarki i chyba jakichś ciemnych, wąskich spodni. Zapamiętałam jeszcze jeden szczegół – był marzec, dość zimno, a on miał wsuwane buty i nie nosił skarpetek. Wtedy wydało mi się to bardzo dziwaczne. Był chyba z parą przyjaciół. Z czarnoskórym chłopakiem i białutką jak mleko blondyneczką. Śmiali się i żywo dyskutowali, a on stał nieco z boku, rzadko się uśmiechając. Rzucał czasem białe, jakby diamentowe, spojrzenie gdzieś w tłum ludzi, jak gdyby nie był zachwycony ich towarzystwem lub czegoś albo kogoś szukając. Król lodu. Niczym w bajce mroził to, co napotkał spojrzeniem. A potem kruszył ostrym mieczem. Ciekawy człowiek.

Gdy mu się tak przyglądałam z daleka, dostrzegł moje spojrzenie. Przestraszyłam się. Uciekłam wzrokiem, obiecując sobie, że już więcej nie spojrzę. I nie patrzyłam całe dwie minuty, po upływie których wzrok znów uciekł, by zobaczyć, co się dzieje w rogu baru. Stał tam spokojnie i czekał aż na niego znów popatrzę. Pewny siebie i spokojny. Gdy tylko zauważył, że

spoglądałam uśmiechnął się całą buzią, odsłaniając dwa rzędy białych zębów z lekką przerwą na środku. Zaskakujący widok. Całkiem sympatyczny. Tak jakby przeistoczył się w ciągu jednej sekundy w zupełnie innego człowieka. A może wcześniej coś mi się tylko wydawało? To bardzo miły i sympatyczny facet. Odwzajemniłam uśmiech. I zaczęliśmy jakąś tajemną grę. Spojrzenie. Ucieczka. Spojrzenie. Obrót. Spojrzenie i przykucie uwagi. Spojrzenie i schłodzenie zawiązującej się relacji. Pomimo iż tańczyłam z zupełnie kimś innym, po kilkunastu minutach na sali były już tylko dwie osoby. Ja i on oraz jego różaniec, który nie dawał mi spokoju. Nie lubię takich ozdób. Dla mnie różaniec jest na tyle ważnym przedmiotem, że nie powinno się go kłaść noszeniem na szyi niczym korale indyka. Jedynym wytłumaczeniem mogła być mocna wiara, ale byłam pewna, że nie ona była przyczyną. Mimo to nasza gra posuwała się dalej. Znudził mnie taniec z sympatycznym Hindusem, który stał się dla mnie pozbawiony twarzy. Podziękowałam i stanęłam z boku. Zaledwie po kilku sekundach poczułam ciepłą rękę, która chytyła moją, zawsze zimną, i z delikatną stanowczością ciągnie mnie w stronę baru. Tak. To była jego dłoń. Jakby właściciel albo stary znajomy chwycił mnie i przyciągnął do siebie.

– Cześć. Napij się ze mną – rozpoczął po angielsku, ale z dziwnym akcentem.

– Dziękuję. Nie piję.

– Nie? Dlaczego?

– Po prostu. – Nie byłam gotowa, by mu tłumaczyć, że trwa post i czym jest, choć może byłby to na początek dobry test dotyczący różańca.

– Boisz się, że ci czegoś dosypię?

Nawet o tym nie pomyślałam, ale dziwne, że o tym mówi. Od razu pomyślałam, że muszę na to zwrócić uwagę.

– Nie. Nie dlatego. Po prostu nie piję alkoholu.

– To napij się wody.

– Poproszę.

Odwrócił się ode mnie, by zamówić dwie szklanki wody, nie puszczając jednocześnie mojej ręki, tak jakby się bał, że ucieknę, ale ja nie próbowałam jej odsunąć. Czekałam z ciekawością, co dalej. Barman podał wodę.

Dostałam swoją szklanę, szybko wypiałam kilka łyków, zapominając zupełnie, że miałam sprawdzić, czy czegoś nie wsypał. Nie wsypał. Spędziliśmy kilka pierwszych minut w dziwnej atmosferze, bo nic nie mówił, po prostu pił i trzymał mnie za rękę, patrząc w stronę tańczących.

Po chwili podeszli do nas jacyś jego znajomi. Zamienił z nimi kilka zdań i nawet mnie nie przedstawił. Zaczęłam się czuć nieswojo. Pomyślałam, że ucieknę. Odwróciłam się w jego stronę i chciałam powiedzieć, że idę poszukać dziewczyn, ale uprzedził mnie pytaniem: – Wiesz kto to Oryema?

– Oryema? To chyba piłkarz. Tak? Wydaje mi się, że już nie gra.

– Tak! – przytaknął zaskoczony, że wiem. – Siedzi właśnie na górze.

Chodź, pójdziemy się przywitać. To mój dobry znajomy.

– Nie. Nie pójdę. Ty idź, a ja poszukam dziewczyn.

– I co? Tylko tyle? Chcę więcej.

– Ale czego więcej?

– Poznać cię. Porozmawiać.

– Ha, ha. Przecież ze mną nie rozmawiasz. Nawet nie zapytałeś, jak mam na imię.

– Mamy na to mnóstwo czasu.

Zaskoczył mnie bardzo tym pewnym siebie stwierdzeniem. Jakiego czasu mamy wiele? To jakiś sposób na podryw? Afrykańskie zaloty? Nauczona jednak podczas swoich podróży akceptacji inności i coraz bardziej ciekawa tego człowieka zdecydowałam: – To ty idź na górę, a ja poszukam koleżanek. Gdy porozmawiacie i będziesz miał wciąż ochotę na rozmowę ze mną, poszukaj mnie na dole.

– Okej.

– Odsunęłam się od niego, by odejść. On jednak nie puszczał mojej ręki.

Odwróciłam więc twarz w jego stronę raz jeszcze i spotkałam znów to świdrujące spojrzenie, jakby sprawdzał gdzieś tam w środku mnie, czy wrócę. Nie był tym razem ostry. Jego oczy mówiły jakby prosząco: „Przyjdę, nie uciekaj”. Uśmiechnęłam się, a on wypuścił moją dłoń. Ruszyłam na poszukiwanie dziewczyn, nie odwracając się za siebie.

Ala wciąż dyskutowała z tym samym mężczyzną, a Monia spotkała towarzysza do drinka, który chyba był w podobnym do niej nastroju.

Wszystko pod kontrolą, pomyślałam. Potrzebowałam chwili, by przemyśleć ostatnich kilkanaście minut, może pół godziny. Nieco dziwne spotkanie. Dziwny mężczyzna. Jakby składający się z dwóch natur. Jedna dobra, ciepła i życzliwa, a druga jakby zła i ostra. Coś mi podpowiadało, by z nim już nie rozmawiać, tymczasem część mnie była bardzo ciekawa, kim jest i coś mnie do niego bardzo ciągnęło. Lgnęłam do tej dobrej natury, której jeszcze nie dane mi było poznać. „Mamy czas” – stwierdził. Co to znaczy? Ech. Nic nie znaczy – pomyślałam. Zwykły tekst podrywacza. Niepotrzebnie o tym myślę – zdecydowałam i ruszyłam na parkiet. Tam zamknęłam oczy i poddałam się muzyce. Po kilkunastu minutach poczułam duszący zapach męskiej wody toaletowej. Znałam już ten zapach. O nie! Gdy otworzyłam oczy, zobaczyłam znajomego Cypryjczyka, który stanął przede mną i już wyciągał ręce by mnie objąć. Odwróciłam się na pięcie, jednocześnie lekko przykucając, po czym uciekłam. Nie znoszę pijanych adoratorów. Trochę zdezorientowany mężczyzna ruszył za mną. Przyspieszyłam kroku i wpadłam wprost na czarnoskórego, zagadkowego mężczyznę z różańcem na szyi, który, jak się okazało, szybko zszedł, by mnie poszukać.

– Już porozmawiałeś z kolegą?

– Kto to? – zapytał, ignorując moje dociekania i wskazując na podążającego za mną mężczyznę.

– Ktoś, kogo poznałam na początku imprezy. Wtedy wydawał się sympatyczny, ale znacznie zmienił go teraz alkohol. Dlatego wolę z nim nie tańczyć, chociaż on chyba tego nie rozumie, więc mimo że to niegrzeczne, po prostu uciekam.

Zaśmialiśmy się oboje. Ja z tak śmiałego wyznania, a on chyba z mojej skruszonej miny.

– Chodź. Uratuję cię.

Przyciągnął mnie znów do siebie, objął jakby nigdy nic, a swoim wyrazistym spojrzeniem wyznaczył swój teren wokół na tyle skutecznie, że zaskoczony Cypryjczyk oddał mu pola.

– Jak masz na imię? – zapytał, nie wypuszczając mnie z objęć.

– Inga.

– Jak?

- Inga.
- Kinga?
- Nie. Inga. I-n-g-a – przeliterowałam.
- Inga – powtórzył.
- Tak. A Ty?
- Martin. Skąd jesteś?
- Z Warszawy. A ty?
- Ja właśnie wróciłem do Polski.
- A skąd wróciłeś?
- Ze swojego kraju w Afryce.

Rozmowa zaczęła się banalnie i toczyła podobnie już do końca. Banalnie, bo o niczym konkretnym. O otaczających ludziach, o muzyce, o moich przyjaciółkach, o Warszawie, wiosnie, minionej zimie. On nie prawił komplementów, nie służył, nie był natarczywy ani nachalny, nie robił nic, co mogłoby zdradzać jakiegokolwiek jego zamiary względem mnie, a ja czułam się tak, jakbym była jego. Nie umiem wyjaśnić bliżej tego uczucia, ale sprawiał swoją postawą, gestami, zachowaniem, że miałam wrażenie, jakbyśmy nie spotkali się po raz pierwszy tego dnia, i gdyby nie rozmowa – dokładnie taka jak u nowo poznanych – to czułabym się tak, jakbyśmy się znali już wcześniej. Może dlatego, że pozwalał sobie na bliskość, dotyk, objęcie, a wszystko tak swobodnie, jakby tak miało być, po prostu albo było już wcześniej lub miało być już zawsze. Bardzo dziwne uczucie. Dziwne spotkanie, ale bardzo przyjemne zarazem.

Jednak czas tego wieczoru nie był z gumy i zmęczenie fizyczne dopadło mnie znienacka. Chciałam wracać do domu. Porozumiałam się z dziewczynami i ustaliłyśmy, że wychodzimy za jakieś piętnaście minut.

- Zmykam do domu. Jestem bardzo zmęczona.
- Jesteś pewna?
- Tak. Jestem.
- Dasz mi swój telefon?

Zastanawiałam się przez krótką chwilę, czy chcę tego. Nie byłam pewna co dalej, ale zgodziłam się.

- A odbierzesz jutro, gdy zadzwonię?

– Nie wiem.

– Odbierz. Nie baw się ze mną – dodał ze stanowczością.

Popatrzyłam zaskoczona tym zdaniem prosto w te jego ostre znów oczy.

– Nie będę.

Odprowadził mnie do szatni. Poczekał aż wezmę kurtkę. Pomógł ją włożyć. A gdy odchodziłam, nachylił się ku moim ustom, aby mnie pocałować. Odchyliłam jednak głowę i pocałunek trafił w policzek. Zaskoczyło go to, ale próbował nie dać tego po sobie poznać.

Następnego ranka spałam dość długo, a gdy się obudziłam pierwsza myśl pobiegła do niego. Do słów: „Nie baw się ze mną”. Dziwne, ale nie mogłabym się z nim bawić. I to nie ze strachu, ale z jakiegoś obowiązku traktowania go na serio. Jak on to robi do cholery – pomyślałam. Przypominałam sobie cały wieczór i targały mną wciąż mieszane uczucia. Dwa rodzaje uczuć jak jego dwie natury. Krzyk: „Już więcej się z nim nie spotkasz” i myśl: „Chcę go jeszcze zobaczyć”. Walczyłam wewnętrznie kilka godzin i w końcu napisałam mu esemesa, choć wcale nie byłam pewna, czy on się odezwie: „Obiecałam wczoraj, że będę traktować cię serio. Tak też robię. Zdecydowałam, że się z tobą nie spotkam. Nie pisz i nie dzwoń do mnie zatem. Przepraszam. Inga”.

Gdy odłożyłam telefon poczułam ulgę. Tak. Dobrze zrobiłam. To dziwne spotkanie i dziwny człowiek. Dobrze, że się już z nim nie spotkam. Co ja właściwie sobie wczoraj myślałam? Po co mi to było? Co mnie w nim tak pociągało? Czego oczekiwałam po tej relacji? Dlaczego miałoby się udać coś takiego? On nie jest przecież z mojego świata! I to jego ostre spojrzenie... A do tego ten różaniec na szyi. Nie! To się nie może udać. W tym momencie dotarło do mnie, że bardzo serio myślę o tej znajomości. Jak można myśleć poważnie o związku z kimś, kogo się poznało zaledwie wczoraj? Jak on to robi? – zapytałam siebie po raz kolejny. Nie znam go, a czuję się przy nim, jakbym była jego. O nie. To wszystko jest jakieś dziwne. Odpuszczam.

Tak zrobiłam. Wskoczyłam pod prysznic, włożyłam sukienkę, choć na dworze wciąż była zima, na wierzch kurtkę. Na nogi założyłam kozaki i ruszyłam na spotkanie z Alą, która w międzyczasie zadzwoniła, że ma ochotę na kawę i spacer.

Gdy zamykałam drzwi, zadzwonił telefon. To był on. Odebrać? Nie. Miał nie dzwonić. Nie. Postanowiłam już z nim nie rozmawiać. Choć wstyd się przyznać, to nie był pierwszy raz, gdy nie odbierałam telefonów od mężczyzn. Wyciszyłam komórkę i wrzuciłam ją do torebki, po czym wskoczyłam do windy. Gdy dotarłam na miejsce spotkania i wyjęłam telefon, by zapytać Alę, gdzie jest, okazało się, że miałam od niego kilkanaście nieodebranych połączeń i dwie wiadomości. Pierwsza krótka: „Dlaczego?”. Druga: „Odbierz. Chcę porozmawiać. Niedobrze tak to skończyć”. Poczulałam się nieswojo z powodu tych esemesów. Trochę winna, ale zarazem pewna, że nie chcę rozmawiać.

Spotkanie z Alą przebiegło, jak zawsze zresztą, cudnie i ani się nie spostrzegłam, a już przyszedł wieczór. Gdy wróciłam do domu, wskoczyłam pod kołdrę i postanowiłam poczytać. Chyba byłam bardzo zmęczona po poprzedniej nocy, bo zasnęłam nad książką. Nie spałam jednak zbyt długo, bo ze snu wyrwał mnie dźwięk telefonu. Zerwałam się lekko przestraszona i odruchowo odebrałam.

– Halo?

– To ja.

– Kto? – zapytałam, nie poznając głosu.

– Martin.

– Aha. Przepraszam. Spałam. Nie sprawdziłam, kto dzwoni.

– A gdybyś sprawdziła, to byś nie odebrała?

– Nie. Chyba nie.

– To dobrze, że nie sprawdziłaś.

Chwila ciszy.

– Dlaczego nie chcesz ze mną rozmawiać? Co się stało? Koleżanki ci odradziły?

– Co? Koleżanki? Moje? Słaby żart.

– Co się więc stało? Dlaczego nie chcesz się ze mną spotkać?

– Nie wiem – odpowiedziałam zgodnie z prawdą, bo nie miałam właściwie żadnych racjonalnych przesłanek, by tak postępować.

– Bo jestem czarny?

– Nie. Skądże. To nie ma znaczenia.

- A co? Powiedz.
- Naprawdę nie wiem.
- Spotkaj się więc ze mną i poznaj mnie lepiej, a później zdecydujesz – powiedział z charakterystyczną dla siebie pewnością.
- Nie. Nie chcę.
- Wciąż nie rozumiem dlaczego?
- Martin, jesteś przystojnym mężczyzną. Na pewno spotkasz szybko kogoś, kto się z tobą umówi. Ja jestem trochę pokręcona i lepiej, byś omijał mnie z daleka. Sam widzisz. Nie wiem nawet, dlaczego nie chcę się z tobą spotkać. Umów się z kimś innym. To nie będzie dla ciebie problemem.
- Wiem, ale ja chcę ciebie.

Trochę dziwnie się poczułam, gdy to usłyszałam. Powinien powiedzieć: „Chcę spotkać się z tobą”, a nie: „Chcę ciebie”. Znów mam być jego? Jak wczoraj. Skąd u niego taka buta? Obezwładniająca, bo zabrakło mi języka w gębie.

- Halo? Jesteś tam?
- Jestem.
- Powiedz coś. Spotkasz się ze mną? Nie martw się, nic ci nie zrobię. Spotkamy się w miejscu, gdzie będzie dużo innych, białych – podkreślił – ludzi.

Trochę mnie zezłościło to, że podkreśla słowo: „białych”. Nie jestem rasistką. Nigdy nie byłam i nie będę. Przeciwnie. Kocham poznawać odmienne kultury, ludzi, którzy myślą i żyją inaczej niż my. To chyba ta miłość była sensem moich podróży.

– Dlaczego tak podkreślasz to, że jesteś czarny? Czyżbym dała ci do zrozumienia, że mi to przeszkadza?

– Myślę, że to jest powód, dla którego nie chcesz się ze mną spotkać.

Nie było tak. To on sam był powodem – człowiek, który niezależnie od jego koloru skóry sprawiał, że bałam się z nim spotkać, choć jednocześnie coś ciągnęło mnie do niego. Sprowokował mnie jednak. Postanowiłam mu udowodnić, że nie ma we mnie rasistowskich barier, więc odpowiedziałam: – Nie, to nie jest powód. Ale okej. Udowodnij mi, że się pomyliłam. Gdzie się chcesz ze mną spotkać?

– Hard Rock Cafe. Złote Tarasy. Czy to dla ciebie dobre miejsce?

Dla mnie miejsce nie miało znaczenia. Fakt, wołałam by byli tam ludzie. Sama nie wiem dlaczego. Po prostu tak było. Może to ostrość jego spojrzenia, która wryła się w moją pamięć.

– Dobrze. Może być. O dziewiętnastej?

– Świetnie. To śpij sobie teraz smacznie. Do jutra.

– Do jutra.

Nie mogłam zasnąć. Targała mną ekscytacja jak u dziewiętnastolatki przed randką, a jednocześnie jakiś, już stały, niepokój, szepczący: „Czy ja dobrze robię?”. Jednak słowo się rzekło, a u mnie jak u Pawlaka „słowo droższe pieniędzy”^[5].

Kilkanaście minut przed czasem weszłam do Hard Rock Cafe. Byłam pewna, że Martin będzie, bo dzwonił do mnie godzinę wcześniej, by zapytać, czy się nie rozmyśliłam. Spóźnił się jednak nieznacznie i wytłumaczył, że oglądał spodnie. Słabe wytłumaczenie, ale okej, zobaczymy, co będzie dalej. Zaproponował, abyśmy usiedli na dole, ponieważ było tam ciszej. Nie podobało mi się tam jednak i weszliśmy z powrotem na górę. Zanim usiedliśmy przy stoliku, odebrał dwie rozmowy telefoniczne. Zapytał, czego się napiję, i zamówił wodę dla nas obojga. Znow zaczęliśmy dyskusję o niczym. Nie kleiła się za bardzo. Denerwowały mnie ciągłe telefony, które jemu z kolei wydawały się w ogóle nie przeszkadzać. Ledwie odłożył jeden aparat, a już drugi go wzywał. Nie mogłam się skupić.

– Jesteś jakaś roztargniona...

– Nie. Po prostu denerwują mnie twoje ciągłe rozmowy przez telefon – wypaliłam zupełnie szczerze.

– Wow! Jaka bezpośrednia. Mówiłem ci, że właśnie wróciłem do Polski i wszyscy starzy znajomi dzwonią, żeby mnie przywitać. U nas tak jest. Trzymamy się razem. Ale jeśli ci to przeszkadza, to mogę je schować.

– Tak. Tak bym wolała, jeżeli to nie problem.

– Nie. Nie problem – odpowiedział, chowając telefony do kieszeni w kurtce. – Wiesz co? Mam pomysł. Chodź, pojedziemy do afrykańskiej restauracji. Poznasz moją rodzinę i znajomych. Nie będą musieli dzwonić –

zaśmiał się.

– Rodzinę?

– Tak. Moją ciocię i kuzyna. Są właścicielami restauracji.

– No nie wiem. Chyba nie chcę.

– Znów zaczynasz? Chodź, zobaczysz, jak będzie fajnie. Nie będzie nam nudno.

– To teraz jest ci ze mną nudno?

– Nie. Ty się ze mną nudzisz. Chodź. To niedaleko stąd, w centrum.

Złapał mnie za rękę i lekko pociągnął w swoją stronę. Wstałam od stolika, posłusznie włożyłam kurtkę i wyszliśmy. Tuż za drzwiami znów chciał mnie złapać za rękę, którą jednak wyjęłam z uścisku i włożyłam do kieszeni.

– Dlaczego? – po raz kolejny padło z jego ust pytanie.

I po raz kolejny usłyszał tę samą odpowiedź:

– Nie wiem.

African Bar był umieszczony na parterze starej kamienicy. Na zewnątrz nic nadzwyczajnego: duże okna, niewielkie drzwi, małe szyld nad drzwiami. Nic nie zapowiadało przyjemnego spędzenia czasu. Martin otworzył drzwi i wpuścił mnie przodem do środka, a gdy tylko weszliśmy, złapał mnie mocno za rękę. I dobrze, bo nie wiedzieć czemu poczułam się tak bezpieczniej. Za drzwiami świat nagle się zmienił. W ułamku sekundy znalazłam się na innym kontynencie. Egzotyczne, nieznane mi dotąd zapachy, jakieś słodkie i przyprawy mieszały się z dźwiękami muzyki. Nie, nie etnicznej, której można by się tam spodziewać. Nowoczesnej, ale na wskroś afrykańskiej. Coś w stylu naszego disco polo. Jednak nie takie samo, zdecydowanie bardziej blaszane i gorące. Gdy dźwięki te wpadają do ucha, nogi same zaczynają się poruszać – delikatnie, tuż nad podłogą, rytmicznie, ale jakoś przeciągle zarazem, a biodra samoczynnie wykonują powolne, okrężne ruchy. Gdy tylko weszliśmy, wszystkie oczy skierowały się na nas. Bez żadnego zażenowania i absolutnie wolne przeświectliły mnie z góry na dół, co sprawiło, że poczułam się dość przedmiotowo, po czym ich właściciele wrócili leniwie do swoich poprzednich zajęć. Niemal wszyscy tu obecni to byli czarnoskórzy mężczyźni, większość z nich ubrana była

właściwie zwyczajnie – jak przeciętni Polacy. „Zwyczajnie” ma tutaj jednak nieco odmienne znaczenie, bo niby zwykłe džinsy, zwykły T-shirt, ale żadna część garderoby nie była pospolita. Ozdobione to łątką, to koralikami lub przynajmniej jakimś osobliwym nadrukiem, przy czym dobór poszczególnych elementów ewidentnie miał znaczenie. Tak jakby prześcigali się w tym, kto z nich jest przystojniejszy i modniej ubrany. W oczy rzucała się wszechobecna biżuteria. Sygnety na wielu palcach niejednej ręki, całe sznury koralikowych bransoletek, na szyjach grube srebrne, bądź złote łańcuchy, a w uszach błyszczące kolczyki. Szybko zauważyłam, że w środku jest wielu mężczyzn, a żadnej afrykańskiej kobiety. Jedynie dwie białe. Pierwsza była chyba żoną jednego z obecnych, a druga według mnie poszukiwała egzotycznego towarzystwa. I takie z pewnością tu znalazła, bo, jak się później okazało, aż czterech panów nieustannie ją adorowało.

Nie zdążyłam się jeszcze dobrze rozejrzeć, gdy wyszedł, by nas przywitać, najczarniejszy człowiek, jakiego widziałam w życiu. Gdyby nie białutkie gałki oczne i jeszcze bielsze zęby trudno by było rozpoznać w delikatnie przyciemnionym świetle w restauracji jego rysy. Ciemne jak heban włosy uplecione w dziesiątki warkoczyków, związane w dość długi kucyk, dodawały mu atrakcyjności w wyglądzie, a trzeba przyznać, że był przystojny. Byłam pewna, że podoba się kobietom. Później okazało się, że i on jest o tym przekonany, bo wciąż epatował męskością i seksualnością, rozmawiając ze mną, ale nie tylko – również z każdą z niewielu obecnych tam kobiet.

– Kogo nam tu przyprowadziłeś? – zapytał, rozpościerając szeroko ramiona w moim kierunku.

– To Inga – odpowiedział Martin, przyciągając mnie do siebie za rękę, którą ścisnął coraz mocniej w swojej dłoni.

– A kim jest Inga? – ciągnął dalej mężczyzna.

– To moja znajoma. Mówiłem ci o niej.

– Aaaa Inga! – potwierdził, że już sobie przypomina. – Ja mam na imię Uche – przedstawił mi się, próbując ponownie mnie objąć, ale Martin skutecznie mu to uniemożliwił.

Szybko zrozumiałam, co znaczył ten mocny uchwyt mojej dłoni tuż po

wejściu. Nawet mnie to ucieszyło, bo nie byłam gotowa na jakąkolwiek bliskość z żadnym nieznanym. Początkowo wywoływało u mnie dyskomfort to samcze znaczenie terytorium przez Martina, ale ostatecznie wolałam to. Z dłonią zakotwiczoną w jego dłoni, na zupełnie obcym dla siebie ładzie, czułam się bezpieczniej. On jest u siebie i z pewnością wie, co robi i co jest dla mnie dobre. Sama nie wiem, kiedy mu zaufałam na tyle, by pozwolić mu tu być facetem, przez duże „F”, a ja stałam się delikatną, bezbronną kobietą. Zresztą, wciąż dostrzegałam skierowane na mnie spojrzenia obecnych tam mężczyzn i bliskość Martina była mi bardzo potrzebna.

Uche był właścicielem tego miejsca i wspomnianym wcześniej przez Martina kuzynem. Jako gospodarz doskonale się sprawdzał. Dbał o każdego z obecnych. Podchodził, poklepywał po plecach, pytał czy smakuje, czy przynieść coś jeszcze, czego brakuje. Niwelował barierę pomiędzy klientami a sobą. A może właściwie tej bariery nie było, bo miałam wrażenie, że wszyscy znają się tu od zawsze. Byli trochę jak rodzina. Afrykańska rodzina w środku stolicy Polski. Rodzinnego klimatu dopełniała starsza kobieta o mocno zaokrąglonych biodrach i uśmiechu, który nie kończył się na twarzy, a poza jej granicami. Ubrana w biały T-shirt, kolorową, etniczną spódnicę i wielki turban na głowie w kolorze spódnicy od czasu do czasu pojawiała się na sali, by skontrolować, czy wszystko w porządku. Wszyscy zebrani mówili do niej: „Mama”.

Mimo natłoku zajęć Uche przychodził do mnie, by porozmawiać, gdy tylko znajdował chwilę czasu.

– Jak wy się właściwie poznaliście? – zapytał mnie.

– Mówiłem ci, na ulicy, gdy szła na pocztę – nie pozwolił mi odpowiedzieć Martin. Po czym spojrzał mi w oczy tak głęboko, że nie śmiałam mu się sprzeciwić.

– Tak. Na pocztę – przytaknęłam.

Uche spojrzał na mnie badawczo, jakby rozpoznał kłamstwo.

– I co? On tak po prostu do ciebie podszedł?

– Tak. Tak po prostu.

– Nie przestraszyłaś się takiego czarnego faceta?

Uśmiechnęłam się tylko w odpowiedzi. Byłam jednak bardzo ciekawa dlaczego Martin skłamał. Nie musiałam długo czekać na wyjaśnienie, bo gdy tylko Uche się oddalił do wzywających go klientów, mój towarzysz wytłumaczył mi, że nie chce, by myśleli tam o mnie jak o jakiejś lasce, którą poznał na dyskotecie. Wyjaśnił, że jego rodzina i znajomi nie mają dobrego zdania o takich dziewczynach. Trochę mnie to zaskoczyło. Niby co w tym złego? Ja nie czuję się, jakbym robiła cokolwiek niestosownego. Jednak nauczona podczas moich podróży pokory względem różnych zwyczajów i poglądów, szybko o tym zapomniałam. Przez chwilę wydało mi się nawet miłe, że mnie tak chroni.

Wieczór rozkręcał się na dobre i coraz głębiej zatapiałam się w Afryce, która sprawiła, że zapomniałam, iż tuż za oknem jest inny świat. Nawet czułam wpadający do środka upał, mimo że na zewnątrz wciąż urzędował zimny marzec. Magia. Tak, tak właśnie mogę nazwać ten wieczór. Wszystko było magiczne. A najbardziej – on. Martin. Całkowicie zapomniałam o jego ostrym wyrazie twarzy, bo tego wieczoru widziałam tylko tą dobrą i ciepłą. Przyglądałam mu się, jak rozmawia ze swoimi kumplami, modulując głos i żywo gestykulując. Miałam wrażenie, że żadna ich rozmowa nie jest na pół gwizdka, od niechcenia, bo w każdej były emocje. Bardzo mnie poruszało, jak ci ludzie angażowali się we wszystko co robią. Nawet jedzenie w ich wykonaniu nie było zwykłe. To była za każdym razem nowa celebracja spożywania. Każde rzucone przez jednego ze zgromadzonych zdanie było żywo komentowane, to po angielsku, to w jakimś nieznanym dla mnie dialekcie, który brzmiał w moich uszach tamtego wieczoru jak muzyka. Martin również nie tracił żadnej okazji do dyskusji, spoglądając co chwilę na mnie, czy przypadkiem się nie nudzę i właściwie przez prawie cały wieczór nie wypuszczając mojej dłoni. Chętnie wciągał mnie w rozmowę, ja jednak jej unikałam, nie chcąc nikogo urazić, wciąż mając poczucie, że nie z jestem z ich świata i nie znam ich preferencji i zwyczajów. A wiem jak łatwo jest strzelić gafę w takiej sytuacji. Rozkręciłam się tylko nieco, gdy zagadnęli mnie o podróżę. Widziałam trochę świata i zawsze lubiłam opowiadać o jego różnorodności. Martin wykorzystywał każdą chwilę, by mnie poznawać bliżej. Zadawał wiele pytań: co robię? Co robię? Gdzie pracuję? Skąd

pochoǳę? Co lubię? Co jest dla mnie ważne? Czułam całą sobą, że jestem dla niego tego wieczoru bardzo ważna. Nawet w swoich pytaniach starał się być uważny i nie przekroczyć granicy intymności. Zatrzymywał się, gdy tylko poczuł, że mogę się czuć niezręcznie. Jego zainteresowanie mną sprawiało, że i on był mi coraz bliższy. Stawałam się z każdą minutą coraz bardziej go ciekawa. Opowiedział o kraju, z którego pochodzi, o swoich czterech siostrach, o ojcu, który umarł kilka lat temu, o matce, za którą zawsze tęskni i która choruje na nogi. Uśmiechał się i zaglądał mi w oczy coraz głębiej, a ja coraz bardziej zatapiałam się w jego ramionach, bo z każdą minutą malał dystans między nami, a Martin obejmował mnie mocniej i mocniej.

Wieczór szybko mijał godzina po godzinie. Minuty upływały jak sekundy. Restauracja wolno opustoszała. Zostaliśmy tylko my dwoje i oczywiście Uche, który chyba wcale nie miał zamiaru wracać do domu podekscytowany naszą obecnością. Ja również nie chciałam wracać do chłodnej Polski, jednak byłam już bardzo zmęczona. Zdecydowałam, że wracam. Martin podał mi kurtkę, a następnie zaproponował, że odprowadzi mnie do samochodu. Zgodziłam się bez wahania, bo właśnie z tym dziwnym mężczyzną najtrudniej było mi się rozstać. Gdy stanęliśmy tuż przed moim pojazdem, zapytał czy może wsiąść na chwilę, bo chłodno, a on chciałby ze mną o czymś porozmawiać. Nie miałam ochoty na bliższe przytulanie czy pocałunki, a tego się spodziewałam, więc go przeprosiłam, tłumacząc się zmęczeniem.

On potrafił sobie radzić z takimi odmowami, bo uruchomił swoje ostre spojrzenie, o którym zdążyłam zapomnieć przez cały wieczór, oraz rzucił krótko i bardzo stanowczo: – Tylko na kilka minut. To ważne. Proszę.

Nie umiałam odmówić. Wsiadliśmy i włączyłam silnik, by ogrzać nieco wnętrze, ponieważ ta marcowa noc na zewnątrz gorącego afrykańskiego baru okazała się być naprawdę mroźna.

– O czym chciałeś porozmawiać?

– Lubię z tobą przebywać i dlatego zanim wydarzy się coś między nami, chcę ci coś powiedzieć o sobie.

– Brzmi poważnie. Słucham.

Kilka sekund milczał, po czym na jednym oddechu wyrzucił z siebie:

– Mam żonę i dziecko.

Wraz z tym zdaniem poczułam, jak napinają mi się wszystkie mięśnie. A z samego środka wyrywa się krzyk: „Co? Żonę? Dziecko? Co ja tu robię? Z żonatym facetem? Co, do cholery?”.

Zanim jednak skomentowałam, on dodał:

– Przyjechałem do Polski na sprawę rozwodową. Nie jesteśmy od dawna razem, ale teraz dopiero zdecydowaliśmy się na rozwód.

– A kiedy rozprawa?

– Za trzy tygodnie.

Całe napięcie ze mnie zeszło. Sama jestem po rozwodzie. Rozumiem to. Takie są koleje życia.

– Rozmawiacie ze sobą? Przyjaźnicie się?

– Tak. To znaczy ona chce, bym do niej wrócił, ale ja już nigdy z nią nie będę.

– Aż tak? Dlaczego?

– To nie jest dobra kobieta. Wiesz... trochę się tego wstydzę, ale ona pracuje w Night Clubie jako striptizerka. Dowiedziałem się, że mnie zdradza. Nigdy nie będę z kobietą, którą dotyka inny mężczyzna.

Dziwnie się poczułam, gdy to powiedział. Może zadziałał w mojej głowie stereotyp, bo spokój zmaciła myśl: „Striptizerka? Kim ty jesteś, chłopie? Jakieś to nieczyste”. Pomyślałam, że kłamie, by podkreślić dramatyzm sytuacji i podkreślić słuszność swojej decyzji, ale zaraz po tym poczułam, że to może być prawda. Jak mógł się na to godzić?

– I ty się zgadzałeś na to, by tak pracowała?

– Na początku nie wiedziałem. W ciągu dnia pracowała w dużym sklepie w centrum, a nie wiedziałem, co robi w nocy. Dopiero po jakimś czasie, gdy już byliśmy razem, dowiedziałem się, co robi po nocach, ale już było za późno na zmiany, bo moja śliczna Sara była w drodze.

– Sara? Tak ma na imię twoja córka?

– Tak. Sara.

– Ładnie. A ile ma lat?

– Jedenaście.

– Wow! To jest już bardzo duża.

– Tak. Duża i piękna. Jest moim jedynym szczęściem. Kocham ją jak nikogo na całym świecie.

– A często ją widzisz?

– Tak. Często. Gdy tylko mogę. Daję jej pieniądze i często zabieram na cały dzień na wspólne wypadki.

– Chyba jest jej trudno w tej sytuacji. Mówię o rozwodzie.

– Nie. Ona wie, jaka jest jej matka. To ona zadzwoniła do mnie i powiedziała, że mama się z kimś umówiła, bo się umalowała, wystroiła i wychodzi na noc. Widziała wcześniej, jak jej mama rozmawiała czule z mężczyzną.

– Trochę to dziwne, że zdecydowałeś się na dziecko z kobietą, której nie znałeś. Myślę o tym, że nie wiedziałeś o tym, co robi nocami. Nie zastanawiało cię, dlaczego nie wraca w nocy do domu? Nie pytałeś jej o to?

– Myślałem, że pracuje na nocną zmianę w tym sklepie. A dużo nie rozmawialiśmy, bo ona nie znała angielskiego, a ja po polsku na początku też bardzo słabo mówiłem.

– Żartujesz?

– Nie. Mówię zupełnie serio. Taka jest miłość. Nigdy nie kochałaś?

Kochałam. Ale to jakaś dziwna miłość – pomyślałam.

Nie spodziewałam się takiej rozmowy. Czułam się całkiem zmieszana w swoich odczuciach. Znów dwa uczucia – jak jego dwie twarze. Radość ze spotkania, pięknego wieczoru i części nocy na innym kontynencie z jednej strony, a z drugiej przytłaczająca nieczystość wyznania. Chciałam to zakończyć, by ułożyć znów swoje myśli.

– To tylko o tym chciałeś rozmawiać?

– Tak. Chcę być z tobą od pierwszej chwili szczerzy i nie chcę mieć przed tobą żadnych tajemnic. Wiem, że ryzykuję, ale odsłaniam przed tobą prawdziwego siebie – dokładnie takiego, jakim jestem – mając nadzieję, że mnie zaakceptujesz. Czy to dla ciebie problem?

– Co? To, że masz, a właściwie miałaś, żonę? Nie. Zdecydowanie nie.

– A Sara? Czy Sara to problem? Wiesz... Zawsze będzie dla mnie bardzo ważna i zawsze część mnie będzie dla niej. Mam tylko ją na całym świecie.

– Nie. Skądże.

– Wspaniale – ucieszył się. – A ty byłaś mężatką?

– Tak – odpowiedziałam bez wahania

– Tak? Wow... – skomentował ze smutkiem.

Dziwne. Ja mam zaakceptować, że on miał żonę, ale w drugą stronę to już nie działa?

– Zasmuciło cię to? – zapytałam.

– Trochę tak, bo w moim kraju rozwód jest niedopuszczalny. Źle się myśli o kobietach po rozwodzie.

– Ty już od dawna jesteś w Polsce, w dodatku sam się rozwodzisz, więc chyba inaczej o tym myślisz?

– Tak. Ja inaczej. To nawet lepiej, że oboje jesteśmy po rozwodzie – uśmiechnął się, ale wcale mnie to nie przekonało. Widziałam, że to ewidentnie stanowi dla niego problem. – A dzieci też masz? – dodał szybko.

– Nie. Nie mam.

– Na pewno?

– Tak. Na pewno. Potrzebujesz dowodów? Musisz mi uwierzyć na słowo, bo ich nie dostaniesz.

– Nie potrzebuję. Nie złość się. Wierzę ci.

– Dobrze, Martin, jest bardzo późno. Wracam do domu. Życz mi dobrej nocy – rzuciłam bardzo stanowczo, sama zaskoczona ostrością mojego tonu.

– Dobrej nocy – nachylił się, by mnie pocałować, a ja ponownie nastawiłam policzek, na który ostatecznie opadły jego usta. Chyba się do tego przyzwyczaił, bo tylko się uśmiechnął, otworzył drzwi i dopytał: – Zobaczymy się jeszcze po tym, co ci powiedziałem?

– Nie wiem.

– Często tak mówisz.

– Tak, ale to dlatego, że przy tobie czuje się tak zakręcona, że sama nie wiem, co czuje.

– To się zmieni. Zaufaj mi. Widzisz chyba, że możesz mi ufać. Od początku mówię ci o sobie całą prawdę, bo boję się, że mi uciekniesz. Udowodnię ci, że jestem wart samych dobrych myśli. Jestem bardzo dobrym człowiekiem. Wszyscy ci to powiedzą. Tylko obiecaj mi, że się ze mną

jeszcze spotkasz.

– Spotkam – obiecałam, choć wcale nie wiedziałam, czy tak będzie. Chciałam zakończyć tę rozmowę, a bałam się, że jeśli powiem: „nie”, to ta rozmowa będzie się ciągnęła w nieskończoność, a bardzo potrzebowałam wrócić już do domu.

– Okej. To słodkich snów – pożegnał się ze mną i zamknął za sobą drzwi samochodu. Gdy odjeżdżałam, stał jeszcze chwilę, patrząc za mną i rozgrzewając się, masując sobie ramiona. Nie wiem jak długo, bo szybko zniknął mi z pola widzenia.

Nazajutrz, gdy tylko otworzyłam oczy, wkroczyłam na pole bitwy, na którym moje myśli, podzielone na dwie armie, toczyły regularną wojnę. Wysyłając kolejne szarże i na przemian zamieniając się przewagą bitewną, zagarnęły wszystko wokół. Nic nie było ważniejsze tego dnia niż Martin. Nie umiałam zdecydować co czuję, myśląc o nim. Każda ciepła myśl była wypierana przez chłodną, każda smutna przez wesołą, każda dobra opinia była równoważona złą, a każda słaba ocena – uśredniana wysoką.

Wewnętrzny głos, mówiący o tym, że to nie jest człowiek dla mnie, wyciszony był przez tęsknotę za ciepłem w jego objęciach. Czyżby chodziło mi tylko o fizyczność? Nie. Nie tylko. To on, Martin, mnie fascynował. Przyciągał jak magnes. Nie mogłam ukrywać przed samą sobą, że bardzo chciałam więcej, ale bałam się. Bałam jak cholera. To wszystko, co mówił, co czułam, co podpowiadało serce było jakieś dziwne.

Przecież można oszaleć od tych myśli. Po co mi to? Po co to wszystko? – myślałam. Przecież nie chcę nawet faceta! Nie szukam faceta! Nie potrzebuję faceta! Zdecydowałam wcześniej, że najbliższe miesiące, a może i lata, spędzę sama. Czemu zatem, na litość boską, wciąż o nim myślę? Muszę odgonić te myśli. Muszę, bo oszaleję! Dzięki Bogu dziś wtorek. Kizomba. Moja miłość. Mój ratunek. Gdy wieczorem potańczę i wyrzucę swoje emocje, zaraz będę wszystko wiedzieć – mówiłam sobie.

Odłożyłam myślenie o Martinie na bok. Nie było łatwo, ale każda pojawiająca się myśl była skutecznie przeze mnie odpędzana albo przynajmniej zamieniana na inną. I tak dobrnęłam do wieczora. Gdy wybiła godzina „T”, włożyłam obcisłe džinsy i biały podkoszulek na ramiączkach,

do plecaka wrzuciłam moje ukochane złote buty do tańczenia i ruszyłam w stronę wyczekanego tańca.

Gdy zaparkowałam samochód pod Salsa Libre, usłyszałam dźwięk telefonu. Nie mogłam jednak znaleźć go szybko w plecaku, a upływający czas wzmagał bicie serca, bo bałam się, że to dzwoni Martin. Nie chciałam tego. Nie. Nie teraz. Potrzebuję czasu. Gdy w końcu znalazłam komórkę, na wyświetlaczu przeczytałam wiadomość, że mam nieodebrane połączenie od Ali. Uff. Oddzwonię, kiedy tylko zamknę samochód. Zanim jednak to zrobiłam, telefon zadzwonił jeszcze raz. To na pewno Ala się niecierpliwi. Odebrałam odruchowo.

– Już jestem pod. Zaraz wchodzę – rzuciłam w pośpiechu.

– Gdzie będziesz? – usłyszałam męski głos.

Teraz dopiero spojrzałam na wyświetlacz. Martin. Cholera!

– Idę na tańce.

– Na dyskotekę?

– Coś w stylu dyskoteki, ale tu tańczymy tylko salsę, bachatę i moją ukochaną kizombę.

– To jakieś lekcje?

– Nie. To miejsce, gdzie spotykają się ci, którzy lubią tańczyć te tańce, bo na zwykłej imprezie nie ma na to szans.

– A czy ja też mogę przyjść?

Zamurowało mnie. On tańczy kizombę? Możliwe, jest przecież z Afryki. Drżącym głosem, bo wiedziałam, jakie znaczenie będzie miała dla mnie odpowiedź, zapytałam: – A tańczysz kizombę?

– Nie. Ale chcę zobaczyć, jak ty tańczysz.

Poczułam wielką ulgę. Jak dobrze, że nie tańczy, bo byłabym już ugotowana. Niemal widziałam, jak schodzi ze mnie ciśnienie, które sama wytworzyłam, a jego miejsce zajmują wolność i rosnąca pewność siebie. Nie wtargnie na to podwórko, tu jest moja *free zone*.

– Mogę zobaczyć?

Silna już teraz, bo pewna, że nie posiada obezwładniającego mnie oręża, zgodziłam się.

– Przyjedź. Wiesz, gdzie jest Salsa Libre?

- Nie.
- Na Solcu, tuż obok mostu. Znajdziesz.
- Znajdę.
- Teraz już pędzę. Do zobaczenia później – przerwałam rozmowę, bo zobaczyłam machającą do mnie z wnętrza klubu, czekającą już chyba dość długo, Alę.

Przyjechał, jak obiecał. Ubrany w dzinsy, biały obcisły T-shirt i granatową bluzę z kapturem. Wszystko ozdobione różańcem, zegarkiem w złotym kolorze, o średnicy znacznie większej niż szerokość nadgarstka, i szeregiem drewnianych koralików na drugiej ręce.

Od razu go zobaczyłam, bo tego dnia było mało ludzi w Salsa. On też od razu odnalazł mnie wzrokiem. Zanim podszedł, zaczepiła go jakaś dziewczyna. Chwilę szeptali coś do siebie, w końcu odeszła. Bardzo byłam ciekawa, czego chciała, ale udałam, że mnie to nie interesuje. Podszedł do mnie w końcu, pocałował w policzek, nawet nie próbując w usta. Nic nie mówiąc, oparł się o parapet, przyciągnął do siebie, odwrócił plecami w swoją stronę i objął ramionami tak, że wtuliłam się w niego. Poczułam mocny zapach perfum, otulających mnie męskością i miałam wrażenie, jakbym znalazła się na swoim miejscu. Jednak rozum nie pozwolił się tym cieszyć i podszeptował: „Co za buta i pewność siebie! Nie jestem jego kobietą. Nawet nie zapytał, czy może mnie tak przytulić”. Tymczasem ciało cieszyło się z takiej bliskości. Staliśmy tak kilkanaście dobrych minut. Gdy zaczęłam wychodzić z transu fizycznej przyjemności, zauważyłam, że przygląda mi się kilku znajomych partnerów do tańca. Och. Boją się podejść! Ja chcę tańczyć! Muszę się uwolnić, bo woła mnie kizomba. Odsunęłam jego ramiona i stanęłam z boku, celowo spoglądając na niewysokiego Chińczyka, którego imienia nie znam, ale z którym uwielbiam tańczyć, tak, by domyślił się, że bardzo chcę z nim zatańczyć. Od razu się domyślił. Podszedł, wyciągnął rękę, a ja nie spoglądając nawet na Martina, ruszyłam na parkiet. Boska kizomba pochłonęła mnie tak, że zapomniałam o obserwujących mnie oczach czarnoskórego mężczyzny. Po kilku kawałkach zatańczyłam z kolejnym partnerem, później z kolejnym i, Bóg mi świadkiem, że nawet nie

wiedziałam, czy Martin mi się przygląda. Jednak gdy didżej zagrał bachatę, przypomniałam sobie o nim i spojrzałam w stronę, gdzie go zostawiłam. Wciąż tam stał. Patrzył prosto na mnie. Nie uśmiechał się, ale miał dobry i ciepły wyraz twarzy. Gdy podeszłam, powiedział tylko: – Wow.

Nie skomentowałam, a on zaraz dodał:

– Wiesz... żałuję teraz, że nigdy tego nie tańczyłem. Gdybym umiał, byłbym teraz w siódmym niebie. Tańczyć ten taniec z tobą to tak, jakby się z tobą kochać. Wow! Bardzo tego pragnę... zatańczyć – dodał, jakby spodziewając się riposty z mojej strony. – Gdybym umiał tak zatańczyć, mógłbym poczuć, że jesteś cała moja. Byłabyś moja...

Nawet nie wiedział, jak bardzo miał rację. Jednak nigdy mu nie zdradzę, że gdyby ze mną zatańczył, bitwa w mojej głowie momentalnie przechyliłaby się na jego korzyść. Wojnę wygrałoby wielkie działo zwane kizombą – myślałam.

Wieczór upłynął naprawdę miło. Przyglądałam mu się, gdy tylko miałam okazję, i zastanawiałam się, dlaczego właściwie tak się go boję. Jest naprawdę miłym facetem, męskim, opiekuńczym, do tego seksownym, podoba się kobietom – widziałam nieustanne spojrzenia kobiet skierowane w jego stronę – a on jest skoncentrowany tylko na mnie. Czy kobieta może pragnąć czegoś więcej? – pytałam siebie. Gdyby nie ta ostrość, która pamiętam z pierwszego spotkania i dziwna, nieczysta jakby przeszłość, która choć nie do końca mi jeszcze znana, sprawiała, że rozum wołał: „Dość! Wystarczy! Zabieraj zabawki i zmykaj na swoje podwórko, to nie towarzystwo dla ciebie!”. Przekonywałam siebie, że to odzywają się nie moje nawet, a społeczne stereotypy i mówią mi, że czarny facet nie jest dobrym partnerem. Ale to ja! Dla mnie nigdy kolor skóry nie miał znaczenia. Tuż za mną jest nieudana, ale wciąż mocno obecna w sercu relacja z kimś o innym kolorze skóry, z innego zupełnie świata. Nie. To nie może chodzić o kolor skóry, a o coś innego. To chodzi o człowieka – myślałam. Mam wątpliwości co do samego Martina. Nie wiem, czy poznawać go bliżej czy uciekać. No właśnie: „poznawać”. Eureka! Dlaczego odmawiam sobie tego, by go poznać, przecież nie muszę już dziś decydować, że to na zawsze. Najpierw chcę go lepiej poznać!

Poznawałam.

Kolejne dni wyglądały niestety tak samo. Nieustanna bitwa. Krótkie spotkania, a po nich decyzja, że więcej się z nim nie spotkam. Niekończący się rollercoaster i dla mnie, i dla niego. Miłe spotkania, a po nich esemesy bądź ustne decyzje, że to koniec. Raz nawet zdecydowałam tak podczas spotkania. Gdy w restauracji rozejrzałam się dookoła, dostrzegłam uśmiech siedzącego obok młodego mężczyzny, Martin nieco podenerwowany, rzucił do mnie z wyrzutem wzmocnionym jego ostrym spojrzeniem: – Dlaczego na niego patrzysz?

– Słucham? – zapytałam zdziwiona.

– Dlaczego na niego patrzysz? Jesteś ze mną. Nie wystarczam ci?

– To śmieszne. Nie mam zamiaru się z tego tłumaczyć.

Zrobiło mi się bardzo nieprzyjemnie. Wstałam, założyłam płaszcz na ramiona i powiedziałam, że wracam. Odwróciłam się na pięcie i ruszyłam do wyjścia. On natychmiast zerwał się z krzesła i pobiegł za mną.

– Przepraszam. Przepraszam – złapał mnie za rękę. – Mówiłem ci, że moja żona mnie zdradzała. Jestem bardzo zraniony i wiem, że czasem nieracjonalnie się w takich sytuacjach zachowuję.

– Rozumiem. – Naprawdę rozumiałam. Ja też byłam niezwykle wrażliwa pod tym względem po zdradach męża. – Mimo wszystko chcę już wracać.

– Inga, zależy mi bardzo na tobie. To dlatego.

– Rozumiem. Nie martw się. Jednak chcę wracać.

– Straciłem cię?

– Nie wiem, Martin. Czas pokaże.

Oczywiście znów napisałam, że więcej się z nim nie spotkam. Nie odpisywałam na esemesy, nie odbierałam żadnych połączeń od nieznanymi numerów, bo kilka razy wcześniej dodzwonił się do mnie w ten sposób. Pisał lub telefonował początkowo kilka razy dziennie, później z mniejszą częstotliwością, do tygodnia już tylko raz na dzień, a w drugim tygodniu tylko trzy razy. Nie ukrywam, że było mi smutno, ale czułam, że tak jest lepiej.

Moje życie wróciło na znane tory. Dni stały się przewidywalnie. Zbliżała się Wielkanoc, drugie pod względem rodzinnego klimatu święta.

Postanowiłam spędzić je wśród bliskich, bo obudziły we mnie poczucie samotności. Jestem samotnikiem. Lubię spędzać czas z książką, filmem lub po prostu z samą sobą na filozoficznych rozważaniach o życiu, ale od czasu do czasu uwierała mnie ta samotność, rzadko na szczęście, jednak tym razem przybyła, by uczynić mnie w przededniu tych świąt bardziej wrażliwą.

Wsiadłam w samochód i ruszyłam w moje rodzinne strony. Mój ojciec już od kilku lat nie żył, ale wciąż mieszkała tam moja matka. Tęskniłam do niej. Wraz z mamą mieszkał brat z rodziną; żoną i dwójką dzieci. Bardzo mi było trzeba ich towarzystwa. Cieszyłam się po drodze na pobudki wczesnie rano z dwójką dzieci u boku, na spacer, plotki o sąsiadach, wspomnienia z dzieciństwa i wspólne oglądanie telewizji.

Za oknem samochodu już dawno zapanował zmrok, jego wnętrze wypełniała radiowa muzyka, a mi było jakoś nostalgicznie i dobrze zarazem. Nuciałam, odliczając kilometry do celu, gdy zadzwonił telefon. Zastrzeżony numer. Wiedziałam, że to Martin. Zastanawiałam się przez chwilę czy odebrać. Ostatecznie chyba to aura samotności poniosła moją rękę, by sięgnąć po telefon.

- Halo.
- Cześć. To ja.
- Wiem.
- Nie odbierałaś.
- Nie chciałam.
- Tęsknię.
- Co mam powiedzieć?
- Spotkaj się ze mną.
- Nie mogę. Jestem właśnie w drodze do domu.
- Do domu? Na wieś. Trzysta kilometrów od Warszawy?
- Tak. Tam.
- Och. Chyba się cieszysz?
- Tak. Bardzo. Tęsknię za nimi.
- Rozumiem. Ja też tęsknię za moją rodziną. Za mamą i siostrami.
- Gdzie spędzasz Świąta? Widzisz się z Sarą?
- Nie. Jej mama też wyjeżdża z Warszawy i zabiera ją ze sobą.

- To co będziesz robił?
- Zostanę w domu. W Warszawie. Pooglądam telewizję.
- Może spotkaj się ze znajomymi? Chyba ktoś zostaje w Warszawie?
- Zostają, ale wszyscy mają rodziny, a ja nie chcę przeszkadzać.

Czułam, jak rośnie we mnie współczucie. Ale jest dorosły, to tylko kilka dni – poradzi sobie.

– Nie martw się o mnie. Nie przeszkadza mi to. Jeżeli spotkasz się ze mną zaraz po świętach, to mi wszystko wynagrodzi.

– Ha, ha. Sprytnie.

– Dlaczego? Ja naprawdę tęsknię. Sam tego nie rozumiem, ale wciąż myślę o tobie. Chyba się zakochuję...

– Przestań. Nie chcę tego słuchać, bo nie wiem jak się zachować.

– Ale to prawda. Zakochuję się w tobie. Potrzebuję cię. Nie odmawiaj mi. Przyjedź szybko i spotkaj się ze mną. Wiem, że popełniam wiele błędów, to moja niezdarność. To trudna przeszłość i złe doświadczenia. Chcę to wszystko naprawić. Sprawić, byś była przy mnie szczęśliwa. Chcę dać ci uśmiech każdego dnia. Wiem, że potrafię. Daj mi szansę!

Takie słowa są jak młyn na wodę dla każdej kobiety, zwłaszcza samotnej. Czułam jak miękną mi mięśnie i jak zwalnia się uścisk dłoni na telefonie. Wątpliwości ustępowały. Poczułam, że jest mi bliższy i że chcę go natychmiast zobaczyć. Na szczęście, byłam niedaleko celu i trudno by było wracać tych kilkaset kilometrów po nocy. Pomyślałam, że dobrze mi zrobi pobyt w domu. Pomyślę co dalej.

– Może. Zastanowię się.

– Nad czym?

– Czy się z tobą spotkam.

– Wspaniale. Mam nadzieję, że znów nie znikniesz.

– Nie zniknę. Obiecuję. Powiem co zdecydowałam.

– Dobrze. Powiedz czy mogę czasem do ciebie pisać i zadzwonić w te najbliższe dni?

– Możesz. Zadzwon.

– No, w ten sposób będę miał bardzo miłe święta.

– Cieszę się.

- Mam nadzieję, że masz tryb głośnomówiący?
- No właśnie. Niestety nie mam.
- Niegrzeczna dziewczyna – zaśmiał się. – W takim razie kończę. Napisz, gdy będziesz na miejscu, czy zajęłaś bezpiecznie.
- Dobrze. Napiszę. Pa.
- Pa. Całuję.

Uśmiechnęłam się do siebie i rozłączyłam. Uśmiech nie zniknął już przez resztę drogi do domu. Czułam, że Martin staje się dla mnie coraz ważniejszy. I mimo strachu ta relacja zaczynała być dla mnie coraz cenniejsza.

W święta, jak się mogłam spodziewać, czas ciągnął się w nieskończoność. Nie, nie dla tego, że było nudno. Spędzałam czas na rozmowach z nieodstępującymi mnie dziećmi. Pojechałam na wycieczkę do Zamościa z mamą, próbując po raz kolejny zbliżyć się do niej. Odwiedzałam kilkakrotnie dziadków, ciesząc się ich obecnością ze świadomością, że to może nie być mi dane już długo. To był dobry czas, ale przegrywał z ciekawością co w mojej relacji z Martinem będzie się działo dalej. On rano pisał: „Dzień dobry”. Później: „Co u Ciebie? Tęsknię”. Wieczorem dzwonił i malował moje sny na kolorowo, bo po naszych słodkich rozmowach nie mogły być szare ani czarno-białe. I śniłam nawet raz o nim – że jak magik, jednym ruchem ręki, zmienił mój świat. Wzięłam to za dobrą wróżbę, bo myślę, że mimo iż na zewnątrz nie szukałam bliskości, moje serce jej potrzebowało. Jestem człowiekiem, a każde człowiecze serce potrzebuje drugiego, które zrozumie jego bicie i będzie mu towarzyszyć, nucąc pieśń życia.

Pierwszego dnia po świętach ruszyłam w drogę powrotną. Martin chyba był tego pewien, bo zadzwonił około pół godziny po moim starcie z pasującym do jego buty pytaniem: – Gdzie już jesteś?

- Skąd wiesz, że dziś już jadę?
- Wiem.
- Tak łatwo mnie przejrzeć?
- Nie. Po prostu wiedziałem, że nie pozwolisz mi długo czekać. Myślę, że też trochę tęsknisz...

– Nie schlebiaj sobie – zagrałam. – Mam jutro spotkanie w Warszawie i muszę się do niego jeszcze przygotować.

– Dzisiaj?

– Tak. Dzisiaj.

– To się dziś nie zobaczymy?

– Raczej nie – zdecydowałam wbrew sobie tylko po to, by zadziornie przeciwstawić się jego pewności siebie.

– A tańce? Dziś wtorek. Nie pójdziesz na tańce?

– Jeszcze nie wiem. Zobaczę czy się wyrobię z pracą – znów skłamałam, bo nie miałam najmniejszego zamiaru pracować. A jednocześnie uznałam, że perspektywa tańców wieczorem wynagrodzi mi to, że nie zobaczę się z Martinem.

– To tak dużo masz pracy przed tym spotkaniem?

– Tak, bardzo dużo.

– Tyle, że nie zdążysz na tańce?

– Mówię ci przecież, że nie wiem – odparłam zdziwiona jego troską i powtórnym pytaniem.

– Dobrze, dobrze! Nie denerwuj się tylko! – zaśmiał się. – Nie chcę, byś zaraz znów mi napisała, że się ze mną nie spotkasz.

– To się postaraj, bym tak nie robiła – odparłam zaczepnie.

– Staram się... staram. Jeszcze zobaczysz. A teraz jedź bezpiecznie i napisz, gdy zajedziesz. Muah.

– Cmok.

Zastanawiałam się przez pierwsze minuty, dlaczego nie należał na spotkanie, to do niego niepodobne i trochę odmienne od tego, co mówił w czasie świąt, że tęskni i liczy godziny do spotkania. Jednak w końcu wytłumaczyłam sobie, że to dlatego, że nie chce mnie znów zrazić do siebie jakimś niedelikatnym zachowaniem. Chyba wyczuł, że dla mnie ważna jest wolność. Mnie samej tymczasem było nieco smutno, że go tego dnia nie zobaczę, ale uznałam, iż to tylko jeden dzień, a zamiast tego czeka mnie to, co w moim życiu najpiękniejsze – „Kizomba Night”. Oczami wyobraźni już czułam, jak płynę, wciskając w podłogę każdy bit zmysłowej perkusji. Nic nie może być piękniejsze tego wieczoru!

Gdy zapadał zmierzch, poczułam – jeden Pan Bóg wie, dlaczego – że chcę wyglądać wyjątkowo zmysłowo. Nie pasowały mi dzinsy ani leginsy. Nie udało się z czarną mini. Nie udało się ze złotą, połyskującą przy każdym ruchu bluzką. Uśmiech pojawił się dopiero, gdy założyłam krwistoczerwoną, obcisłą sukienkę z odsłoniętą sporą częścią pleców, do niej założyłam długie, ale delikatne, złote kolczyki, spięłam u dołu włosy w nieregularny kok, który odsłaniał szyję, a całości dopełniły moje złote buty do tańca. Sam widok w lustrze wprawiał mnie w jakiś romantyczny nastrój, a może odwrotnie. Może wcześniej był nastrój i dlatego lustro pokazało taki widok. Nie wiem. Jednak subiektywnie powiem, że wyglądałam naprawdę bosko. Kogo chciałam oczarować? Martinowi powiedziałam, że pracuję i pewnie nie zdążę, a był jedynym mężczyzną w moim życiu, z którym coś mnie w tamtej chwili łączyło. Czyżby obudził jakąś nieznaną żądzę, którą chciałam wypróbować tam, na bardzo dobrze znanym mi gruncie, tańcząc?

Jak zwykle zrobiłam kilka kółek dookoła, zanim znalazłam miejsce do zaparkowania. Otuliłam się płaszczem, nałożyłam cienki szal na szyję i pobiegłam do wejścia. Gdy tylko zobaczyłam je z daleka, stanęłam jak wryta. Na schodach, w cienkiej marynarce i bez skarpetek, stał walczący z chłodem Martin. Szybko zamknęłam oczy i otworzyłam ponownie, by sprawdzić, czy wciąż tam będzie. Był! Stał szalenie przystojny i delikatnie się do mnie uśmiechał. Stałam bez ruchu, wlepiając w niego oczy. Nie mogłam zrobić kroku dalej. Byłam szczerze zaskoczona. Ja przecież miałam inny plan na ten wieczór. Moje serce jednak było bardzo szczęśliwe i nasłuchiwało z dala, czy słyszy już bity jego serca. Martin, widząc moje zmieszanie, skinął ręką, bym podeszła. Po tym wezwaniu już bez wahania ruszyłam w jego kierunku, by uchwycić wyciągniętą w moim kierunku dłoń. Gdy tylko poczułam jej ciepło, pomimo kwietniowego chłodu na dworze, moje ciało delikatnie zadrżało. Nie mogłam nic powiedzieć. Chyba wciąż działało zaskoczenie. A może nie. Może to była reakcja na jego widok. Tego dnia był cholernie przystojny. Cholernie, cholernie przystojny! Przyciągnął mnie do siebie i szepnął do ucha: – Wiedziałem, że zdążysz.

Po czym objął mnie tak, że poczułam się jak śliczna dziewczyna przed pierwszym pocałunkiem w jakimś romantycznym filmie. On jednak

dawkował przyjemność, bo rozluźnił objęcie i pociągnął mnie do pomieszczenia.

- Zimno! – skomentował w środku.
- Dość chłodno.
- Dla mnie zimno. Pamiętaj, że jestem z Afryki.
- Trzeba było ubrać skarpetki – zażartowałam.
- Ech, ty złośliwa. Mówiłem ci już, że ich nie lubię.
- Mówiłeś.
- Idziesz do szatni? Czy mam gdzieś odłożyć twoje rzeczy?
- Zostawię w szatni. Chodź ze mną.

Gdy tylko sięgnęłam do pierwszego zapiętego guzika, przypomniałam sobie mój strój na dzisiejszy wieczór i poczułam zażenowanie. Nie byłam pewna, czy jestem gotowa na to, by odsłonić się przed nim w takim entourage'u. Nie. Nie bałam się oceny. Skądże! Byłam pewna, że taka na niego mocniej zadziałałam, ale czy tego chcę, już nie byłam pewna. Wolałabym wolniejsze tempo. Teraz jednak było już za późno. Delikatnie onieśmielona, rozpinałam płaszcz, podczas gdy Martin nie spuszczał ze mnie wzroku. Widziałam, jak rozszerzyły mu się źrenice, gdy zdjęłam okrycie. Musiałam się odwrócić, by nie oblać się pąsem. Chwila bez kontaktu wzrokowego dodała mi siłę i odwagi. Spojrzałam w jego stronę i, już z większą pewnością siebie, podałam Martinowi dłoń, po czym pociągnęłam go w kierunku właściwej sali.

– Nigdy nie widziałem piękniejszej kobiety – szepnął mi do ucha, gdy wchodziliśmy do środka. Na szczęście było na tyle ciemno, że nikt nie zauważył, jak po tym wyznaniu rozlewające się w środku ciepło zaznacza się czerwienią na mojej twarzy.

Poczułam, że bardzo potrzebuję uwolnić się od jego obecności na kilka minut. Dlaczego? Bo czułam, jak mięknę... Wiedziałam, że niewiele mi tego wieczoru potrzeba, by stracić grunt pod nogami, wpaść w jego ramiona i nie chcieć się z nich wydostać. Mimo to jakaś coraz cieńsza, a wtedy nawet bardzo cienka lina racjonalności wciąż mnie od niego oddzielała.

Nakazywała zwolnić. Odsunąć się na odległość, gdzie będę bezpieczna. To chyba zdrowy rozsądek popychał mnie kilka kroków naprzód w kierunku

parkietu, gdzie stał Rafał, mój taneczny znajomy. Wyciągnęłam do niego rękę i, nie odwracając się za siebie, ruszyłam z nim w taneczną ucieczkę. Poczucie, że Martin patrzy na mnie, odebrało mi znaczną część przyjemności z tańca. Nie byłam w stanie wyczuć ruchów i zamiarów partnera. Ewidentnie mi nie szło, choć zazwyczaj tańczyło mi się z Rafałem wyśmienicie. Cholera! Po co Martin tu przyszedł? Odebrać mi tę przyjemność, którą daje mi zapomnienie się w tańcu. Będzie stał i patrzył? O mamo! Ja nie chcę! Co ja opowiadam? Bardzo się cieszę, że tu jest. O nie! Znów to samo. Emocje i myśli wymieszane jak poplątany kłębek wełny. Ratunku! Niechże ktoś mnie uratuje! Niech coś się stanie! Niech ktoś w końcu zrobi w mojej głowie porządek!

Podziękowałam Rafałowi i stanęłam obok Martina. Cóż innego mogłam zrobić, skoro nie szedł mi taniec. Nic nie mówiąc, i nie patrząc nawet w jego kierunku, po prostu stałam sparaliżowana strachem, podczas gdy on, spokojny i pewny siebie, czekał na jakąś reakcję. Tymczasem ja czułam się tak, jakbym zamieniała się w kamień, czekając na jakiś gest Martina, który magiczną mocą znów mnie odczaruje, bym mogła być człowiekiem z krwi i kości. Okropne uczucie...

W kamienne członki wlały nagle nieco życia wolne rytmiczne bity ukochanej piosenki. Od razu rozpoznałam Moça Louca graną przez Yudiego Foxa. Zamknęłam oczy, by się ratować, by znów zacząć czuć. I poczułam... Delikatny, ale mocny zarazem uścisk bardzo ciepłej i z pewnością męskiej dłoni. Bardzo przyjemny dotyk. Nie chciałam otwierać oczu, by niczego nie zepsuć. Właściciel dłoni pociągnął mnie gdzieś, jakby na środek parkietu. Tak, to był parkiet, czułam wibrację par rozpoczynających obok taniec. Mężczyzna zbliżył się do mnie, otulając zapachem dość mocnych perfum. Znałam ten zapach, ale niestety w tamtym momencie nie pamiętałam, skąd. Dwie, zdaje się, mocne dłonie położył na moich plecach, tuż ponad linią bioder i przyciągnął do siebie tak, bym mogła poczuć każdy ruch jego dobrze zbudowanego ciała. Staliśmy tak przez kilka sekund, a ja delectowałam się cudownym napięciem, zanim nastąpi pierwszy gest ze strony partnera, oznajmiający rozpoczęcie tańca. Poczułam. Delikatne muśnięcie dłonią moich pleców, a zaraz po nim spokojny ruch bioder połączony z powolnym

oderwaniem nogi od podłogi, tuż potem całe ciało tancerza przesunęło się do przodu. Moje ruszyło za nim, wolno zatapiając się w rytmach coraz głębiej. Dobrze... Bardzo dobrze mi było w tych ramionach. Po krótkim czasie zorientowałam się, że mój partner nie tańczy kizomby od dawna, ale zupełnie mi to nie przeszkadzało, bo radził sobie doskonale, a jego ciało idealnie pasowało mojemu. Uwielbiam w tańcu taką miękkość i męskość zarazem. Wolno. Nieco szybciej. I znów bardzo wolno. Bosko mi! Bosko w tym rytmie. Nawet zapomniałam na chwilę o Martinie. O strachu. Tego mi było trzeba! Tylko jedna rzecz mąciła błogość. Zapach. Skąd ja go znam? Bo znam go na pewno. Nie tak dawno jeszcze go czułam... Gdzie? O mamo! To nie jest możliwe! Przypomniałam sobie... Natychmiast otworzyłam oczy. Tak. To ten zapach. To przecież perfumy Martina! Czułam się tak doskonale w ramionach mężczyzny, do którego od jakiegoś czasu czułam coś w rodzaju zauroczenia. On tańczył moją kizombę! Ze mną! Tutaj! Teraz! Stało się to, czego bardzo się bałam. Wytoczył najcięższe z dział. Mój taniec. Moją miłość.

– Jak to? Mówiłeś, że nie umiesz – wyszeptałam, zaskoczona.

– Tak, ale to było kilka tygodni temu. – Poczułam, jak drży. Tak jakby się bał mojej reakcji.

– Dlaczego?

– Dla ciebie. Jesteś dla mnie bardzo ważna.

– Ech, ty! Już nic nie mów. Tańczmy... – wtuliłam się na chwilę w niego, czując jak wszystkie dotychczasowe wątpliwości stały się dalekim, ledwie pamiętanym wspomnieniem. Zakochiwałam się. Było tak może i wcześniej, ale dopiero teraz pozwoliłam sobie na to. Tego dnia Martin był idealny. Taki, jakiego zawsze pragnęłam. A do tego naprawdę dobrze tańczył i był niezwykle seksowny.

Cały wieczór był już namalowany jego imieniem. Nie tylko wieczór, ale i noc oraz kolejne dni i noce. Kizombę tańczyliśmy rano w moim mieszkaniu na śniadanie, po lub przed kąpielą, w trakcie gotowania obiadu, wieczorem przed snem, a czasem nawet w nocy. Spędziliśmy dwa tygodnie, nie pokazując się światu prawie wcale. Trzymając się wciąż za ręce, cieszyliśmy się sobą bez przerwy. Czasem wpadaliśmy na chwilę do afrykańskiego baru,

by zasmakować gorącego kontynentu, kilka razy wyszliśmy na tańce, ale równie dobrze mogliśmy tańczyć w domu, bo na zewnątrz widzieliśmy i tak tylko siebie. Na wiadomości Ali odpisywałam, że jestem w raju. Byłam w raju. Byłam w niebie.

– Pokochałaś go? Pokochałaś go tak mocno jak kizombę? – zapytał Dawid.

– Tak. Pokochałam.

– A co ze strachem? Z wątpliwościami? – dopytywał dalej, zaglądając jej głęboko w oczy jakby chciał poczuć to, co ona czuje.

– Wszystkie wątpliwości odeszły w te cztery minuty, gdy zatańczyliśmy do Moça Louca. Może to ci się wydaje dziwne, ale dla mnie tak mocna jest kizomba. Nie wiem, co by było, gdyby się nie nauczył jej tańczyć.

– Byłaś z nim szczęśliwa?

– Hmm... Tak. Bardzo. Pierwsze wspólne dni były jak marzenie.

– Nie przeszkadzało ci to, że jest czarny?

– Skądże! Dlaczego miałoby tak być?

– Wiesz dlaczego. W Polsce jest bardzo dużo nietolerancyjnych osób. Pewnie było mnóstwo osób, które nie były wam przychylnie.

– A Ty? Nie lubisz czarnoskórych? Zresztą nieważne... Nie odpowiadaj. Nie chcę wiedzieć.

– Chcę odpowiedzieć. Nie mam nic przeciwko Czarnym, ale z jakiegoś powodu denerwuje mnie to, że on taki był. Że Ty z nim byłaś.

– Ha, ha. Zabawne. Dlaczego?

– Sam nie wiem. Nie rozumiem dlaczego. Ty nie miałaś ani jednego momentu, gdy ci to przeszkadzało?

– Ja nawet nie zauważałam na co dzień, gdy byliśmy tylko we dwoje, że on jest czarny. Gdy wychodziliśmy między ludzi, wciąż widziałam na nas wzrok obcych. Nie przeszkadzał mi. Akceptowałam go. Uznałam, że okej – takiego dokonałam wyboru i tak moje życie będzie teraz wyglądać. Jednak nie spodziewałam się tego, co mnie czekało. Pierwszy raz, gdy zabołało, przytrafił się dość szybko. Może po dwóch tygodniach Martin spotkał się z kolegami. Z racji tego, że byliśmy wtedy nierozłączni, poprosił bym poszła z nim. Chętnie się zgodziłam. Spotkaliśmy się w African Barze, a później – już nie pamiętam po co – pojechaliśmy na chwilę do Złotych Tarasów. Zaparkowaliśmy samochody pod Dworcem Centralnym i ruszyliśmy stamtąd na piechotę. Pod Centralnym stała grupka taksówkarzy, którzy, gdy tylko nas

zobaczyli, nie omieszkali skomentować: „Patrzcie, jedna biała, a trzech Czarnych. Ciekawe, czy wszyscy jej dogadzają”. Udałam, że nie słyszę, ale było im mało. Jeden z nich złapał mnie za rękę i tak, by inni słyszeli, zawołał „Mała zostaw tych brudasów, ja ci też dogodzę”. Martin i koledzy doskoczyli do mnie i zapytali, czego on chciał, bo żaden z nich nie zrozumiał, co mówią. Nie chciałam rozróbny, więc skłamałam, że nic ważnego i się zaśmiałam. Martin mi nie uwierzył, ale nie miał innego wyjścia, jak odpuścić.

Innym razem, podczas spaceru, grupka młodzików wołała za nami, a właściwie za Martinem: „Czarny do domu”. Nie omijały nas komentarze: „Black and white” podczas zwykłych zakupów albo na przykład znaczące gesty ochroniarzy, wskazujące na duży rozmiar członka Martina w kontekście mojego wyboru. Spotykaliśmy ludzi bez jakiegokolwiek zażenowania śmiejących się ze mnie, że zadaję się z czarnuchami czy brudasami. Kilka razy nawet spluwali za nami, nie siląc się na choć odrobinę dyskrecji. Wiesz... Polska to bardzo trudny kraj dla Czarnych. To bardzo smutne. Kiedyś pewien starszy, czarnoskóry mężczyzna opowiadał mi, jak go obrzucono błotem i skomentowano, że nie powinien się oburzać, bo i tak nikt nie zobaczy różnicy. Innemu na ścianie domu namalowano szubienicę, a jeszcze innemu wybito okna, tylko dlatego, że wygląda trochę inaczej. A przecież, do cholery, wszyscy jesteśmy różni. Kolor skóry nie może mieć znaczenia. Znaczenie ma serce. Jedynie jego dobro lub zło może stanowić o wartości człowieka. Nic więcej!

– A może nie chodzi o kolor skóry? Może to nie jest dobre, że emigranci z Afryki tu przyjeżdżają, zabierając nam pracę i nasze kobiety?

– Naprawdę tak uważasz?

– Nie – zaśmiał się Dawid – prowokuję cię. My też jeździmy przecież za granicę. Kim właściwie był ten Martin? Skąd się wziął w Polsce? Co tu robił?

– Nie rozumiem czemu ma służyć ta prowokacja? Chcesz, bym ci przytaknęła albo powiedziała, że nie lubię Czarnych? Nic z tego. Nie ma dla mnie znaczenia kolor skóry, a jedynie serce, skryte wewnątrz osłoniętego nią ciała.

– Wierzę. Przepraszam. Sam nie wiem skąd we mnie ta zadziorność. Może myślę stereotypowo. Powiedz coś więcej o Martinie. Kim był ten

mężczyzna, w którym się tak zakochałaś tamtego wieczoru?

– Dobrze pytanie. Kim był? Nawet nie wiesz, jak dobre. – Zamyśliła się. – Od czego zacząć... Może od początku. Zakochałam się w mężczyźnie, który wychował się w środkowej Afryce. W niewielkim mieście, a dokładnie na jego przedmieściach, wychowywali go dziadkowie. Jego rodzice żyli, ale matka prowadziła coś w rodzaju sklepu, a ojciec pełnił poważną funkcję, przez którą nie miał czasu na zajmowanie się dziećmi. Była ich piątka. Martin i cztery siostry. Do tego miał drugą żonę, a i z nią dwójkę dzieci.

– Jak to: „drugą żonę”?

– Według relacji Martina tam to możliwe. Możesz mieć tyle żon, na ile cię stać.

– Nie bałaś się, że Martin też zechce mieć kilka żon?

– Oczywiście! Od razu go o to zapytałam. Ale wytłumaczył mi, że to było zanim pojawiło się w jego miasteczku chrześcijaństwo. Ci, którzy przyjęli chrzest, a zrobili tak on i cała jego rodzina, nie mogą mieć więcej niż jednego małżonka.

– Uwierzyłaś mu?

– Tak. Bez wahania, bo kilka razy wcześniej przyłapałam go na czytaniu podręcznej i mocno sfatygowanej Biblii.

– No tak. Wiarygodne. A jaka była ta wyjątkowa funkcja jego ojca?

– Niebanalna! – zaśmiała się Inga. – Był w miasteczku kimś w rodzaju księcia. Każda miejscowość ma tam swojego burmistrza z ramienia urzędu i księcia z nadania tradycji. Obaj są jednakowo ważni. Ludzie przychodzą do nich, by rozwiązywać spory, prosić o radę lub o pomoc. To oni decydują, kto z kim może prowadzić interesy i zezwalają na małżeństwa. Mnóstwo roboty, więc nie było czasu na wychowywanie dzieci. Zajęli się tym zatem surowi dziadkowie. Ogrom obowiązków w ich domu sprawił, że Martin miał niewiele czasu na naukę. Każdą wolną chwilę poświęcał swojej pasji, którą była piłka nożna. Gdy podrósł, jakiś bogaty wujek załatwił mu spotkanie z łowcą talentów. I tak w wieku dwudziestu, może dwudziestu jeden lat, przyjechał do Polski na kontrakt. W związku z tym, że dwadzieścia parę lat to trochę za dużo jak na początkującego piłkarza, jego manager załatwił mu dokumenty z późniejszą o około pięć lat datą urodzenia. W jego kraju, jak się

później przekonałam i jak Martin wiele razy powtarzał, wszystko dosłownie da się załatwić za pieniądze. Tak odmłodzony grał w Polsce w kilku klubach. Nigdy nie trafił do ekstraklasy, ale gra w piłkę dała mu start w lepsze życie w Europie.

Na samym początku, gdy był na fali, poznał Elizę, swoją byłą żonę. Zabawna historia, bo poznał ją w KFC, ona nie знаła angielskiego, on polskiego, ale udało im się umówić. Jak się później okazało, nie miała ukończonych osiemnastu lat, gdy zaszła w ciążę. Jako obcokrajowiec na kontrakcie bez karty stałego pobytu nie mógł ożenić się z nieletnią, ale był z nią i ze swoją ukochaną córeczką, Sarą. Dziewczynka była jego jedynym szczęściem i oczkiem w głowie. Wciąż powtarzał, że dużo dzieci to błogosławieństwo, a on ma tylko jedno, więc kocha ją po tysiącokroć mocniej. Widziałam w nim tę miłość, popartą łzami wzruszenia, telefonami do niej i pełnymi rozczulenia gestami, gdy tylko o niej wspominał. Nikt nie podważyłby tej miłości do jego jedynego dziecka.

Jednak, jak to w życiu bywa, sielanka nie może trwać długo. Okazało się, że Eliza za jego plecami zarabia na striptizie. Musiał to zaakceptować, bo jej na tym zależało, a później z racji wieku coraz trudniej było o kontrakty dla niego. Potrzebowali pieniędzy. Gdy skończył grać, zajął się handlem między jego krajem a Polską, to samochodami, to częściami samochodowymi. Często jeździł do ojczyzny. Podczas jego nieobecności Eliza go zdradziła, o czym dowiedział się od Sary. Nie mógł być z nią dłużej i odszedł.

Zagubiony, poznał czarnoskórą modelkę mieszkającą w Warszawie. Zamieszkał z nią. Po kilku miesiącach wyjechali razem do Francji, ale tam im nie wyszło, bo nie miał pracy, a nie umiał zgodzić się na to, by kobieta go utrzymywała. Znajomy załatwił mu zatrudnienie w Szwajcarii, dokąd wyjechał. Praca niezbyt ambitna, bo tylko pakowanie kanapek, ale wystarczało, by pomóc rodzinie.

Był to jego obowiązek, bo w międzyczasie zmarł jego ojciec, a wcześniej przyrodni brat. Martin jako jedyny mężczyzna został głową rodziny. Pomagał matce i młodszej siostrze, która wciąż chodziła do szkoły. On też decydował o losach pozostałych, starszych sióstr, pomimo iż miały mężów. Do tego wszystkiego doszedł „spadek” po ojcu, funkcja księcia, od której Martin

uciekał, zobowiązująca go do tego, by jego rodzina żyła na dość wysokim poziomie. Co więcej, musiał płacić coś w rodzaju kaucji za nieobecność tam, na miejscu, bo miejscowość musiała radzić sobie bez księcia. Gdy z racji słabej kondycji firmy stracił pracę, zmuszony był wrócić do Afryki. Pozostawał tam przez około rok. Do czasu, gdy Eliza wniosła pozew o rozwód, a on przyjechał do Polski na rozprawę. Zebrał trochę pieniędzy i postanowił uruchomić swoje kontakty, aby spróbować jeszcze raz szczęścia w Europie.

– Ciekawa historia. Trochę, przyznam, dziwna momentami, ale nie znam jego świata. Pewnie jest taki, jak mówisz. No więc takiego Martina pokochałaś?

Inga zamyśliła się na chwilę. Odplynęła w myślach gdzieś bardzo daleko, a gdy wróciła, uśmiechnęła się sama do siebie i po dłuższej chwili odpowiedziała: – Tak. Takiego Martina pokochałam. Innego pewnie nie byłabym w stanie zaakceptować.

Dawid spojrzał jej głęboko w oczy. Były teraz bardzo smutne. Kusiło go, by zapytać, co właściwie ma na myśli, ponieważ nie zrozumiał intencji ostatniego zdania. Odpuścił jednak. Uznał, że dowie się tego, gdy przyjdzie odpowiedni moment. Poprosił więc spokojnie: – Powiedz, co wydarzyło się dalej?

– Z Martinem?

– Nie. Z wami. Co działo się po dwóch tygodniach, gdy już wyszliście do ludzi...?

– Po około dwóch tygodniach Martin zapytał, czy może przywieźć swoje rzeczy. Zgodziłam się, w końcu i tak przywoził je po trochu. Nawet wygospodarowałam mu na nie kilka dni wcześniej jedną półkę. Ponieważ i tak cały czas był u mnie, nie było sensu, aby płacił za inne lokum. Było mi go też szkoda, bo opowiadał, że mieszka z bardzo nieprzyjemną czarną kobietą i jej nieprzewidywalnym emocjonalnie synem.

Przyjechał z niezbyt dużą, brązową, skórzaną walizką. Gdy stanął w moich drzwiach, wiedziałam, że właśnie zmienia się po raz kolejny moje życie.

Rozpakował swoje rzeczy, włożył pranie do pralki i po kilkunastu minutach stanął przy mnie z plikiem dolarów w ręce. Pocałował mnie i poprosił: – Inga, czy schowasz dla mnie te pieniądze tak, bym nie wiedział, gdzie są?

– Co? Dlaczego?

– Wiesz... to są jedyne moje pieniądze, a mnie zaraz będzie kusić, by je wydać na ubrania. Wiesz... prawda?

Oczywiście, że wiedziałam. Pieniądze nie zagrzewały długo miejsca w jego kieszeni i z chęcią wszystkie by wydał na markowe ciuchy. Nie zapytałam, ile jest tych pieniędzy i nigdy tego nie sprawdziłam. Schowałam. Jednak cała ta sytuacja zainspirowała mnie do tego, by zapytać, co dalej. Ja wtedy nie pracowałam, a on przez całe dwa tygodnie spędzone ze mną też nic nie robił. Potrzebowałam wiedzieć, jak zamierza żyć w Polsce.

– Nie martw się. Mam w Polsce wielu znajomych, a oni mi pomogą. Chcę znów wrócić do biznesu.

– Jakiego biznesu?

– Chcę handlować samochodami.

– Samochodami? A znasz się na tym?

– Oczywiście! Już to robiłem. Gdy byłem z Elizą, żyliśmy z tego handlu na bardzo wysokim poziomie. Niczego jej i Sarze nie brakowało.

– Nie musiała już wtedy pracować w night clubie?

– Nie musiała! Oczywiście, że nie! Ale chciała. Podobało jej się to.

– A tobie?

– Mnie nie. Często wchodziłem tam w przebraniu i sprawdzałem, czy mnie nie zdradza. Bardzo się denerwowałem, kiedy wychodziła do pracy. Nie mogłem jej jednak tego zabronić. Kochałem ją, ale nade wszystko nie chciałem żyć z dala od Sary, a Eliza rozstałaby się ze mną, gdybym jej zabronił pracować.

– Rozumiem. Czy ten handel jest legalny? – trochę bałam się zapytać, ale bardzo chciałam wiedzieć, czy to czysty biznes.

– Inga, ja nie jestem złym facetem. Oczywiście, że legalny. Kupuję samochody za małe pieniądze w Polsce. Do środka wrzucam jeszcze inny atrakcyjny towar, na przykład ciuchy, szampana, olej lub części

samochodowe. Wysyłam je statkiem do mojego kraju. Tam doprowadzam samochody do stanu idealnego, sprzedaję za dobre pieniądze i wracam po następne. Wielu czarnoskórych tak żyje. To legalny i dobrze znany władzom interes.

– A podatki? Gdzie płacisz podatki?

– No, nigdzie. Bo w Polsce niczego nie sprzedaję, a w moim kraju nie płaci się od tego podatku, stąd opłacalność tego interesu. – Popatrzył smutno na mnie i zapytał: – Inga, ty mi nie ufasz, prawda? Dlaczego? Bo jestem czarny? A wszyscy Czarni to złodzieje?

To pytanie było jak policzek w twarz. Zabolało. Ale najbardziej zabolało to, że ja naprawdę mu nie ufałam i dopytywałam, czy aby na pewno to dobry człowiek. Jak można tak osądzać, nie mając żadnych podstaw? Gdyby był biały, pewnie nie pomyślałabym nawet o tym. Zrobiło mi się bardzo wstyd.

– Przepraszam. – Przytuliłam się do niego. – Sama nie wiem, czemu tak dopytuję. Już nie będę. Już ci ufam.

– Już dobrze, moje kochanie. Jak mi się uda rozkręcić ten biznes, będziemy bardzo szczęśliwi. Jaką markę samochodów lubisz?

– Najbardziej lubię moją aktualną markę. A dlaczego?

– A jakbyś miała kupić nowy, to jaki byś chciała?

– Nową hondę accord, oczywiście.

– Piękny samochód. I taki właśnie ci kupię, gdy tylko rozkręcę biznes. Ty nic nie będziesz musiała robić, tylko cieszyć się życiem i wychowywać moje dzieci.

– Hola, hola, mój drogi. Tu nie Afryka. Może ja chcę pracować, a nie wychowywać dzieci?

– Naprawdę? – spojrzał badawczo w moje oczy. – Dlaczego właściwie nie miałaś z mężem dzieci? Nie chciałaś?

– Chciałam. Bardzo chciałam. Kocham dzieci, ale na początku nie stać nas było na nie. Wiesz... młodzi ludzie bez wsparcia ze strony rodziny, przyjechaliśmy do miasta z jedną torbą, nie mieliśmy niczego. Chcieliśmy kupić dom, później dopiero mieć dzieci. Kiedy już mieliśmy dom i mogliśmy się starać o dziecko, popsulo się między nami. On zaczął mnie zdradzać, a ja czułam, że taki facet nie może być ojcem moich dzieci. Chyba wiedziałam

już kilka lat wcześniej, że to się rozpadnie. Walczyłam o małżeństwo, ale bałam się zaryzykować i mieć dziecko zanim będę pewna, że związek przetrwa. Dziś chyba zrobiłabym inaczej, ale jest już po wszystkim.

– Co znaczy: „inaczej”?

– Urodziłabym dziecko wcześniej. Bardzo bym chciała być mamą i zaznać bezwarunkowej miłości do życia, które we mnie wzrosło. Chciałabym dawać, kochać i cieszyć się każdym najmniejszym postępem tego cudu, jakim jest maleńkie nowe życie. Och...

– Doskonale, bo ja bardzo chcę mieć z tobą dzieci!

– Dzieci? Nie dziecko? Ile?

– Czwooro!

– To raczej nie jest możliwe, chyba że bardzo byśmy się pośpieszyli, bo ja nie jestem już tak młoda, by urodzić aż czwórkę.

– Co? Nie jesteś stara. W moim kraju kobiety właśnie w tym wieku rodzą dzieci.

– E tam. Głupoty opowiadasz. Dlaczego niby tak późno?

– Bo w moim kraju bardzo trudno znaleźć dobrego męża.

– Ha, ha. Naprawdę? – Pomyślałam, że żartuje, ale on był bardzo poważny i zaraz mi wytłumaczył dlaczego.

– Nie śmiej się. To bardzo trudne. Z dwóch powodów. Po pierwsze, w moim kraju nie wolno wziąć dziewczynie ślubu z chłopakiem z tej samej wioski, bo krew nie może się miksować. Kobiety więc czekają czasem bardzo długo, aż znajdzie się partner. Po drugie, zaręczyny to bardzo duży wydatek. Kandydat na męża musi przywieźć mnóstwo pieniędzy i prezentów dla rodziny przyszłej żony, a do tego zapewnić poczęstunek dla całej wsi. Tylko wtedy może poprosić o rękę dziewczyny. Mój kraj jest ubogi, więc czasem trzeba się naczekać na zamążpójście. Dlatego dziewczyny rodzą późno. I często – dorzucił ze śmiechem – bo im więcej dzieci, tym więcej błogosławieństwa od Boga.

– Dlaczego więc mieliście z Elizą tylko jedno dziecko?

– Nie wiem. Nie jestem Bogiem. Myślę, że Eliza bała się, że straci figurę po kolejnych ciążach.

– O, to smutne.

– Bardzo. Ale to już przeszłość. Z tobą będę miał mnóstwo dzieci.

Nie skomentowałam tego, bo sama nie wiedziałam, co czuję. Z jednej strony bardzo pragnęłam dziecka, a z drugiej oszałamiało mnie tempo. Zналиśmy się bardzo krótko, a byliśmy blisko zaledwie od dwóch tygodni. To zdecydowanie za wcześnie na rozmowy o dzieciach.

– Dlaczego nic nie mówisz? Nie chcesz być moją żoną?

– Słucham?

– Tak. Żoną! Chcę się z tobą ożenić. Wyjdiesz za mnie?

Czy on oszalał?! – pomyślałam.

– Nie. Przepraszam, ale nie. Ja już nigdy nie wyjdę za mąż. Miałam już męża. Nie ma takiej możliwości, bym po raz drugi wyszła za mąż.

– Mówisz serio?

– Bardzo serio!

Martin mocno posmutniał. Wstał i wyszedł do drugiego pokoju. Nie wiedziałam, jak zareagować i co powiedzieć, ale nie mogłam go oszukiwać. Byłam pewna jak niczego w świecie, że nie wyjdę ponownie za mąż. Lepiej niech dowie się o tym teraz.

Długo nie wychodził z pokoju, więc postanowiłam zobaczyć, co się z nim dzieje. Zapukałam i pomimo iż nie słyszałam zaproszenia, weszłam.

Zobaczyłam Martina z zaczerwienionymi oczami, osuszającego rękoma łzy na policzku. Zaskoczył i sparaliżował mnie ten widok, i po raz kolejny, nie wiedzieć czemu, nabrałam podejrzeń. Dlaczego to dla niego takie ważne?

– Martin, dlaczego płaczesz?

– To nic. Nie przejmuj się tym. Trochę mi smutno.

– Dlaczego? Bo powiedziałam, że nie wyjdę za ciebie? Przecież to nieistotne. Nie musimy mieć ślubu, a możemy być razem. Po co nam papiererek?

– Dla mnie to istotne.

– Co? Papiererek?

– Widzisz?! Znów to robisz! Nie papiererek! Nie potrzebuję go. W moim kraju ślub jest bardzo ważny dla mężczyzny. A papiererek, dla twojej wiadomości, mam – dorzucił z lekką irytacją w głosie, która sprawiła, że po raz drugi podczas tej rozmowy poczułam się winna. – Chcesz go zobaczyć?

– Nie. Wierzę ci. Przestań. – odpowiedziałam zawstydzona.

Mimo to wstał i podszedł do portfela, z którego wyjął mały, zielono-różowy, podobny do dowodu dokument. To była karta pobytu, wydana dwa lata wcześniej z ważnością na kolejne osiem lat.

– Widzisz? Mam papier. Czy naprawdę nie rozumiesz, że cię kocham?

– Przepraszam – odparłam, przytulając jego głowę do swojej piersi. – Przepraszam. Nie wiem, co się ze mną dzieje.

Chwilę milczeliśmy, podczas gdy głaskałam wciąż jego wtuloną we mnie głowę.

– A ty? Czy ty mnie kochasz, Inga?

– Martin, nie rozmawiajmy już dziś o tym.

– Rozmawiajmy. Powiedz czy mnie kochasz?

Nie mogłam skłamać. Zakochałam się. Zauroczyłam, ale czy kochałam? To chyba za duże słowo, jak na tak krótki okres znajomości. Wiedziałam, że znów go zranię. Ale wiedziałam też, że on również nie odpuści. Odparłam więc bardzo cicho, kończąc dyskusję: – Nie wiem.

Niewiele już rozmawialiśmy tego dnia. Martin spędził większość wieczoru, rozmawiając przez telefon, a ja znalazłam jakiś film w necie i oglądałam go z roztargnieniem, analizując jednocześnie słowo po słowie i gest po geście zdarzenia tego dnia. Doszłam do wniosku, że przesadzam z nieufnością. Stwierdziłam, że po doświadczeniach ze zradami mojego byłego męża brak mi ufności i postanowiłam bardziej zawierzyć Martinowi. Nieprzemijający w pamięci obraz jego łez był dla mnie dowodem jego wielkiej miłości. Niezrozumiałej, bo tak szybkiej i nagłej, ale niewątpliwej.

Im dłużej o nim myślałam, tym bardziej za nim tęskniłam, choć był zaledwie w pokoju obok. Rozmawiał przez telefon. Rozmowy telefoniczne były jego ulubioną czynnością i jednym z tych momentów, których nie znosiłam. Nie dlatego, że nie poświęcał mi stu procent swojej uwagi. Nie dlatego, że wolałam, by mnie w tym czasie przytulał lub robił ze mną wspólnie cokolwiek innego. Nie mogłam ich znieść, bo wywoływały we mnie jakiś nienazwany niepokój, bardzo nieprzyjemny, a do tego trwający nieskończenie długo. Martin potrafił zniknąć w drugim pokoju nawet na kilka

godzin, podczas których dobiegały mnie ciche i spokojne albo intensywne i bardzo emocjonalne rozmowy, to w angielskim, to w jego rodzimym języku, którego kompletnie nie rozumiałam. Zastanawiałam się nieraz, co w tym złego, że tyle mówi. Niech rozmawia, przecież też musi mieć czas dla siebie. To nasze nieustanne spojenie nie może być dobre w życiu. Każde z nas musi mieć swój mały świat i pielęgnować go jak coś najcenniejszego. Jednak żadne nawet najbardziej logiczne i przekonujące argumenty nie potrafiły usunąć tego uczucia niepokoju. Wręcz przeciwnie, z każdym dniem rósł w siłę. Bywały dni, gdy walczyłam, by nie słuchać, by zająć się czymś innym. Słuchałam jednak z nadzieją, że pojedyncze słowa, które dobiegną z pokoju obok wytłumaczą mi, dlaczego się niepokoję lub przyniosą dowód, że ten niepokój jest bezzasadny.

Nigdy nie należałam do osób, które duszą w sobie ciekawość i przez wzgląd na dobre wychowanie nie pytają. Zwykłam zawsze od razu zaspokajać zaciekawienie, chyba że nie było zbyt duże. Pytałam więc za każdym niemal razem z kim rozmawiał i czy wszystko w porządku. Zawsze odpowiadał tak samo: – Inga, ja jestem po śmierci ojca głową rodziny. Muszę wszystko konsultować z bliskimi. Muszę rozmawiać z matką, bo ona bardzo tęskni. Muszę... Muszę... Muszę...

Do tego zawsze coś się tam wydarzało. to siostra w Ameryce miała problem z mężem, który nie chciał iść do pracy, to syn siostry zatrul się jakimś owocem z lasu, to inna siostra zostawiła narzeczonego, bo miał za mało pieniędzy, to znów matce ktoś nie oddał pieniędzy, a gdy się o nie upomniała, dostała w twarz od młodszej kobiety i Martin musiał zorganizować ludzi, którzy by stanęli w jej obronie. Zawsze miał zajęcie. Żyjąc tu ciałem, sercem jakby żył tam, w Afryce. Obalił we mnie pogląd, że emigracja to rozłąka i cierpienie, bo on mimo odległości był tam, pośród nich, bardzo blisko.

Bóg mi świadkiem, że akceptowałam to wszystko. Zakochiwałam się w kimś, kto był na wskroś egzotyczny, więc takie sytuacje były w tą relację wpisane. Już wcześniej życie nauczyło mnie akceptować inność, ale nic nie potrafiło wyrwać z serca niepokoju, gdy dzwonił telefon lub gdy Martin wychodził zadzwonić. On to widział. Starał się dzwonić rano, kiedy spałam,

albo odbierał i rozmawiał przy mnie. Podawał mi słuchawkę podczas rozmów z matką, bym się przywitała, albo gdy siostra chciała zapytać, co u mnie. Nie lubiłam takich rozmów. Czułam, że robi to, by pokazać, że nie ma w tym nic złego, co wywoływało we mnie uczucie wstydu, że mu nie ufam. Zaczęłam odmawiać, gdy wołał mnie do telefonu. Mimo wszystkich tych zabiegów serce zawsze już biło szybciej, kiedy zaczynał swe rozmowy telefoniczne.

– Inga, ty jesteś trochę o mnie zazdrosna? – zapytał kiedyś w końcu Martin.

Chyba wiedziałam, skąd to pytanie, ale nie miałam pojęcia, jak na nie odpowiedzieć. Miałam ochotę oczywiście powiedzieć, że nie. Bardzo chciałabym, by tak było. Ponadto pokazałabym klasę i udowodniła, że mimo tych wszystkich wcześniejszych „wpadek” mu ufam, ale przecież bym skłamała. Byłam potwornie zazdrosna za każdym razem, gdy na tańcach zaczepiały go dziewczyny. Dzięki Bogu obiecał mi, że z nikim innym nie zatańczy kizomby. Zaciskał mi się żołądek, gdy kobiety podchodziły do niego na dyskotecę i czułam podenerwowanie, zawsze gdy pomyślałam, że może spotkać się z kimś z przeszłości. Bardzo niepokoiłam się, kiedy jechał do Sary i wiedziałam, że zobaczy się z Elizą. Czy to nie zazdrość? Zazdrość, oczywiście.

– Czasem jestem.

– Czasem?

– No tak. Gdy podrywasz jakieś dziewczyny – siliłam się na żartobliwy ton.

– Ja podrywam? To one mnie zawsze podrywają. Jestem cholernie przystojny – powiedział o sobie zupełnie serio, tak jakby chciał zwrócić na to moją uwagę. – Ale cały twój – dodał ze śmiechem. – Wierzysz mi, że nie ma nikogo ważniejszego od ciebie? No i Sary.

– O Sarę nie będę się licytować. Powiedz, powinnam być o ciebie zazdrosna? – zapytałam, patrząc mu prosto w oczy i poszukując jakiegokolwiek gestu świadczącego o jego wierności lub jej braku. Nie znalazłam niczego. Ani drgnienia niepokoju na twarzy. Ani odrobiny niepewności. Tylko rzucone z uśmiechem pytanie: – A jak myślisz?

– Opowiedz mi o swoich kobietach. Dużo ich było wcześniej? Wiem, że facet nie powinno się o to pytać, ale ja chcę wiedzieć.

– Nie ma problemu, kochanie. Ja też jestem ciekaw twoich facetów, więc jeśli mi o nich opowiesz, będziemy kwita – zaśmiał się całą buzią, odsłaniając dosłownie wszystkie białe zęby, poprzecinane małymi szparami, po czym położył się na ziemi, by zacząć robić swoje pompki czy brzuszki. – Zaraz zrobię nam herbatkę i opowiem.

– O, to tak dużo ich było?

– No, sporo. Jedna herbatka nie wystarczy. Żartuję, głuptasie. Chcę to dokończyć i przytulić cię, opowiadając. Już dawno cię nie tuliłem. Chyba ze dwie godziny i muszę naładować moje baterie.

Po około piętnastu minutach położył się obok mnie, objął ramieniem i przyciągnął do siebie tak, że czułam, jak bije jego serce. To trochę jak wariograf. Poczulałabym, gdyby kłamał.

– Chciałabyś usłyszeć o wszystkich moich dziewczynach?

– Nie. Tylko o tych, które coś dla ciebie znaczyły.

– To lista będzie bardzo krótka – zaśmiał się

– Czy mam przez to rozumieć, że ogólnie jest bardzo długa, a tylko kilka z nich było dla ciebie ważnych?

– Ha, ha. Spryciaro! Nie. Nie tak masz to rozumieć. W ogóle nie było ich wiele. Wcześniej młodzieńcze, szkolne miłości, a później Eliza.

– Długo właściwie z nią byłeś?

– Jedenaście lat.

– O, to długo.

– Tak. Dwa lata temu się rozstaliśmy.

– A później?

– Później byłem przez kilka miesięcy z Marly. Była modelką.

Występowała na pokazach w Polsce i we Francji. Zagrała w dwóch reklamach. To był taki związek na pocieszenie chyba, bo poznałem ją zaraz po rozstaniu z Elizą i zrozpaczony nie wiedziałem, co robić. Bardzo luźna relacja, ona nie chciała poważnej więzi ani dzieci, więc odpowiadał jej ktoś przystojny i nie do końca gotowy na nowy związek.

– Dlaczego się rozstaliście?

– Tak po prostu się to rozpadło. Wyjechaliśmy razem do Paryża, gdzie ona miała kontrakt, a ja nie miałem co robić. Nie umiem żyć na cudzy rachunek. Muszę coś robić. Zarabiać, ale tam niczego nie mogłem znaleźć. Nie znam francuskiego, a we Francji nie przepadają za angielskim. Było mi bardzo trudno. Wyjechałem do Szwajcarii. Mówiłem ci o tym.

– Tak. Pamiętam. A jak wróciłeś do Afryki? Długo tam byłeś, bo ponad rok. Chyba z kimś się tam związałeś?

– Nie. Z nikim.

– Naprawdę? Nie wierzę.

– Naprawdę. – Popatrzył mi głęboko w oczy, po czym dodał z jakby zawstydzonym uśmiechem: – No, uprawiałem raz seks z jedną dziewczyną. Starą znajomą. Podobała mi się w szkole. Spotkaliśmy się, rozmawialiśmy i sam nie wiem właściwie, jak to się stało. Jednak to był tylko ten jeden raz i nie spotkałem się z nią więcej.

– I teraz ja? Czy jeszcze ktoś pomiędzy?

– Zanim ciebie poznałem, spotkałem się kilka razy z dziewczyną, która poznałem w African Barze. Raz spotkałem się też z dziewczyną, którą poznałem tego samego wieczoru, co ciebie.

Poczułam nagle, jak mocno zaciska mi się żołądek. Jak to, do cholery: „tego dnia, co mnie”?! Spotykał się ze mną i z inną kobietą?! Co to ma znaczyć! Zesztywniałam i nie mogłam nawet sklecić zdania, by zapytać, jak mógł. Rozpoznał mój zaskoczony wzrok i uprzedził pytanie.

– Pisałaś, że się ze mną nie spotkasz. Pamiętasz? Umówiłem się z nią raz, ale nie mogłem przestać myśleć o tobie i postanowiłem zaważać o ciebie. Wybrałem ciebie, więc jakie to ma znaczenie?

Faktycznie, tak było. Przypomniałam sobie. Cóż, miał do tego pełne prawo. Ciśnienie szybko ze mnie zeszło, a w końcu nawet uznałam, że to bardzo miłe, że jest tak ryzykownie szczery wobec mnie. To oznacza, że naprawdę serio mnie traktuje. Dał mi właśnie kolejny powód, by mu ufać. Spokojnie opowiedziałam mu historię swoich związków, patrząc z satysfakcją, jak rośnie w nim zazdrość. Faceci nie znoszą słuchać o byłych, a Martin nawet nie próbował ukrywać, że jest zazdrosny, co z kolei sprawiało, że moje serce skłaniało się ku jego sercu coraz bardziej.

Mój chłopak zaczął się sporadycznie spotykać z jakimiś ludźmi, tłumacząc, że to interesy. Gdy był w domu, surfował w Internecie i poszukiwał samochodów. Pomagałam mu w tym często, bo mimo długiego okresu spędzonego w kraju wciąż nie posługiwał się dobrze językiem polskim. Zabierał mnie kilka razy, by obejrzeć wybrany samochód. Chętnie jeździłam, ponieważ uwielbiałam spędzać z nim czas. Któregoś dnia mieliśmy pojechać za Łódź, aby zobaczyć golfa. Obudził mnie rano jego bardzo podekscytowany głos w drugim pokoju. To krzyczał, to go ściszał. Zawsze był bardzo emocjonalny, ale tego dnia zdecydowanie był zdenerwowany. Po kilkunastu minutach wpadł do pokoju, w którym spałam. Gdy zobaczył, że się obudziłam, przytulił się do mnie, przywitał i bez słowa wrócił do pokoju, gdzie znów rozpoczął walkę słowną z kimś po drugiej stronie telefonu. Wpadał do mnie z dziwną miną co jakiś czas, nic nie mówiąc, tylko badając, jak reaguję na to, co się dzieje za ścianą. A ja tym razem nie pytałam, chciałam poczekać, aż to się skończy, a on się uspokoi i opowie mi o wydarzeniach z dystansu. Długo się nie kończyło. Po około trzech godzinach walki z nieznaną mi jeszcze wtedy osobą, przyszedł i powiedział, że idzie kupić kartę do telefonu. Wyszedł i wrócił za dwie godziny, tłumacząc się, że rozmawiał dalej w samochodzie na dole. Usiadł na kanapie wyraźnie poruszony, walcząc ze łzami. Wciąż nie czułam, aby był gotowy na dyskusję, więc nie pytałam. Telefon znów zadzwonił, a on wyciszył dzwonek i odrzucił aparat. Chciałam go oderwać od tego, co się wydarzyło i wymyśliłam, że zapytam, za ile będzie gotowy, by pojechać obejrzeć ten samochód. Popatrzył na mnie dziwnie, jakby nie wiedział, co mi odpowiedzieć. Chwilę się zastanawiał i w końcu zdecydował, że już jest gotowy.

W samochodzie nie rozmawialiśmy przez całą drogę do miejsca przeznaczenia. Samochód okazał się niewypałem i szybko wracaliśmy do Warszawy. Na szczęście w drodze powrotnej Martin żywo komentował to, jak zna się na samochodach i nie da się zrobić na szaro. Przeżywał to, że facet próbował go oszukać, twierdząc, iż samochód jest bardziej sprawny, niż był w rzeczywistości.

– Ale widziałaś? Widziałaś, kochanie jak go zgasilem? Gdy włączę silnik i słucham, to już wiem, co jest pod maską grane. Nikt nie kupiłby ode mnie takiego samochodu. Musiałbym dużo w niego zainwestować i wtedy nic bym nie zarobił. Nie jestem frajerem!

– Nie jesteś. Mój ty waleczny negocjatorze.

– Nie jestem!

Wykorzystałam jego przyływ entuzjazmu i uznałam, że jest gotowy na to, by spokojnie porozmawiać o poranku.

– Powiesz, co się dzisiaj stało? Dlaczego byłeś taki zły rano.

– Nie chcę o tym mówić. – Odwrócił się w stronę okna, przez chwilę patrzył na przemijający za oknem krajobraz i dodał: – Ale w sumie i tak będę musiał wcześniej czy później ci o tym powiedzieć. Rozmawiałem rano z mamą i siostrą, tą najmłodszą. Mówiłem ci kiedyś, że mam w moim kraju dom, którego budowy jeszcze nie dokończyłem...

Faktycznie, opowiadał mi o tym, że w Afryce ma ziemię, dwa samochody i nowy dom, który stawiał niedawno na nowo, bo pierwszy, który wybudował musiał zburzyć. Urzędnicy, pomimo iż wcześniej wydali zgodę na jego budowę, zmienili zdanie i nakazali wyburzenie. Trochę dziwne, ale być może w jego kraju jest to możliwe. Pytałam go, po co mu ten dom skoro i tak zamierza mieszkać w Polsce. Odpowiadał, że budował go razem z Elizą, która pomagała mu finansowo i to miał być dla nich dom wakacyjny. Trochę było to dla mnie niezrozumiałe, bo mówił również, że Eliza była w Afryce raz, a później tam nie przyjeżdżała, ponieważ w jego kraju zaczęto wprowadzać ludzi. No, ale może się to zmieniło, nie chciałam ciągle podważać jego słów, bo zależało mi na tym, by widział, że zaczynam mu ufać. Naprawdę się starał, więc nie drażyłam tematu. Nowy dom powstał w zupełnie innym miejscu i pozostała mu tylko praca wykończeniowa. Zdecydował, że na co dzień zamieszkają w nim mama z najmłodszą siostrą, mieszkające wtedy w bardzo skromnym domu.

– Pamiętam. I co, znów musisz go zburzyć?

– Nie. Teraz już mam kilka pozwoleń. Zastanawiałem się, skąd wziąć pieniądze na biznes samochodowy i zdecydowałem, że go sprzedam. Później mogę zbudować kolejny. Nie mam wystarczająco dużo pieniędzy, a

właściwie mam za mało, by zacząć. Pieniądze ze sprzedaży wystarczyłyby na początek. Znalazłem agenta, który znajdzie kupca na dom. Zadzwoił do mnie wczoraj, że jest ktoś, komu się spodobał. Wystarczy dostarczyć dokumenty i sprawa załatwiona. Jednak moja mama uparła się, że mu tych dokumentów nie odda, bo to mój dom i one chcą tam mieszkać, ponieważ nie wolno sprzedawać domu – to zła wróżba na życie. Mówiłem jej, że wynajmę dla niej piękne mieszkanie i będę co miesiąc płacił za czynsz, ale ona nie chce o tym słyszeć. Prosiłem siostrę, by ją namówiła, ale obojga nas nie słucha. Już nie wiem, co robić. Schowała gdzieś dokumenty i powiedziała, że po jej śmierci je znajdę, a za jej życia nigdy mi ich nie odda.

– To może samochody sprzedasz? Mówiłeś, że masz dwa.

– Tak. Mam, ale one są w przeliczeniu na polskie pieniądze niewiele warte. Nic mi to nie da.

– To co teraz? Może porozmawiaj z nią jeszcze raz?

– To niczego nie zmieni. Znam ją. Jedyne, co mogę zrobić, to jechać tam i zabrać jej dokumenty, ale kupiec do tego czasu nie będzie czekał. Poza tym bilety sporo kosztują. Zresztą, jak ją znam, to zrobi taką awanturę, że odpuszczę. Już ja ją znam!

– Co więc zrobisz?

– Nie mam pojęcia. Chyba wyjadę znów do Szwajcarii. Jest tam mój znajomy i załatwi mi robotę. Będę musiał ze dwa tygodnie spędzić w specjalnej strefie dla imigrantów, a później na pewno dadzą mi papiery i będę mógł tam pracować.

Zamarłam. Jak to?! A co z nami! Po co to wszystko było?! Co mam teraz zrobić z moim uczuciem? Ot tak, zapomnieć?! Wow! Ależ zabolalo! Chyba był dla mnie coraz ważniejszy. Perspektywa utraty jego bliskości zdawała się być koszmarem.

– A co z nami? – zapytałam bez namysłu.

– Jak to: „co”? Będiesz czasem do mnie przyjeżdżać.

– Żartujesz?!

– Nie. Nie żartuję. Kocham cię nad życie, ale nie wiem, co mam zrobić.

– Poszukaj pracy w Polsce.

– Pamiętasz? Jestem czarny, a nam nie jest łatwo na białym lądzie. Jaką

pracę znajdę bez wykształcenia, bez doświadczenia? Ja tylko umiem grać w piłkę! Mam pracować w jakiejś fabryce za tysiąc pięćset złotych albo dwa? A co z moją mamą i siostrą? Muszę się nimi wciąż opiekować. Te pieniądze nie wystarczą dla nas i dla naszych dzieci, a co dopiero dla moich bliskich stamtąd. A moja mama jest chora i potrzebuje opieki lekarskiej.

Milczałam. Czułam, jak łyzy cisną mi się do oczu. Jak świat traci barwy i rozpada się na kawałki. On również milczał. Głaskał mnie po rękę, którą trzymałam na drążku od skrzyni biegów i tylko od czasu do czasu szeptał z łzami w oczach: – Bardzo cię kocham.

Wieczorem nie dawało mi spokoju to, co mi wcześniej powiedział. Szukałam rozwiązania. Wszystkie drogi w moich rozważaniach zawsze jednak prowadziły do pieniędzy. Miałam trochę oszczędności, ale bałam się zainwestować je w biznes, którego kompletnie nie rozumiałam. Zaczęłam zadawać mu pytania o to, jak on działa, nie wspominając o oszczędnościach i myślach, które się pojawiają w mojej głowie. Odpowiadał chętnie, zapalając się i roztaczając piękne wizje. Wszystkie szczegóły wydawały się logiczne. Szukałam potwierdzenia jego słów w Internecie. Wszystko się zgadzało. Pojawiła się nadzieja. Może... Może to mógłby być sposób na życie dla nas obojga. Ja też wtedy nie pracowałam, więc to mogło być dobre rozwiązanie. Jeśli się okaże, że nie da się na tym zarabiać, wycofamy pieniądze i zainwestuję w coś innego albo pójdę do pracy. Co ryzykuję? Część pieniędzy. A co zyskuję? Szczęśliwe życie. I uratuję swoje uczucie. Nie mówiłam oczywiście Martinowi niczego, bo potrzebowałam kilku dni na przemyślenie decyzji i zastanowienie się nad tym, czego dla siebie najbardziej pragnę i czy dla uczucia jestem w stanie zaryzykować. Przytuliłam się do niego i wyszeptałam mu do ucha: – Będzie dobrze.

Martin czuł chyba, co rozważam, bo bacznie mi się przyglądał i był czulszy niż kiedykolwiek. Jeszcze bardziej uważny niż wcześniej. Nosił mnie niemal na rękach. Po jego złej twarzy od dawna nie było śladu. Gdy patrzyłam na niego, widziałam tylko dobroć i czułość. Roztaczał przede mną perspektywę pięknej rodziny z czwórką dzieci, od czasu do czasu wciąż pytał czy za niego wyjdę, i nie oburzał się, gdy odmawiałam. Nie wspominał też o wyjeździe do Szwajcarii. Wiem, że czekał wtedy cierpliwie na moja decyzję.

I nadeszła. Po dwóch, może trzech tygodniach zapytałam: – Martin, ile potrzebujesz pieniędzy na początek?

– Około dwudziestu tysięcy.

– To wystarczy? Czy gdy je zainwestujesz, a interes nie wyjdzie, to będziesz mógł je odzyskać?

– Oczywiście. Co do złotówki. Ale interes wyjdzie. Nie ma możliwości, by się nie udał. To pewny biznes. A dlaczego o to pytasz?

– Mam trochę oszczędności i mogłabym ci te dwadzieścia tysięcy pożyczyć. Nie chcę, byś wyjeżdżał. Chcę, żebyś został ze mną.

– Inga! Kocham cię! Jesteś kobietą, która ocala moją miłość i moje życie! Alleluja!

Złapał mnie na ręce i niemal podrzucił do góry.

– Musisz wiedzieć, że to są moje jedyne pieniądze i chcę, byś mi je oddał, jak już zarobisz – skłamałam. Miałam więcej oszczędności. Zresztą spodziewałam się, że potrzebuje na start więcej, ale ucieszyłam się, iż to tylko dwadzieścia tysięcy. Nie chciałam mu dawać więcej. Wciąż gdzieś pod skórą było we mnie dużo niepokoju. Tłumaczyłam sobie to wszystko tym, że znamy się za krótko, a zaufanie potrzebuje czasu, by się rozwinąć.

– Dobrze, kochanie. Chcę, byśmy byli współnikami. Gdy zobaczysz jak biznes się kręci, sama zdecydujesz, czy mam ci oddać te pieniądze czy inwestujemy je dalej.

– Okej – zaśmiałam się – współniku.

– I jeszcze jedno: nie chcę, byś mi dała choćby złotówkę. Ty będziesz za wszystko płacić. Wolę, żebyś wiedziała, że niczego nie roztrwonię.

– Dobrze. Już dobrze. To będę również księgową, prowadzącą rachunki.

– To dobry pomysł, bo zawsze ci mówię, że jesteś bardzo mądra. Z tobą się na pewno uda – dodał.

Ruszyliśmy pełną parą. Szybko znaleźliśmy trzy tanie samochody. Kupiliśmy setki pieluch, aby załadować je do środka samochodu, i pod koniec maja czekaliśmy na transport do Hamburga, skąd miały odplłynąć statkiem do Afryki.

W międzyczasie zaplanowałam wyjazd z Alą do Andaluzji. Kilka boskich dni w ukochanej przeze mnie Hiszpanii. Pierwszy raz od dłuższego już czasu

– bez Martina. Wybrałam pieniądze, by mógł opłacić transport oraz na życie dla niego przez tydzień. Wydał swoje dolary na samochodowy biznes i pozostawał chwilowo bez gotówki. Logiczne było, że przez ten czas muszę dać mu wikt i opierunek. Zresztą, która zakochana kobieta liczyłaby wybrankowi wydane pieniądze. Gdy wieczorem pakowałam walizkę, on był wyraźnie poruszony.

– Inga, obiecujesz mi, że mnie tam nie zdradzisz?

– Oczywiście, że nie. Dlaczego miałabym to zrobić?

– Eliza też tak mówiła, a właśnie na wakacjach mnie zdradziła.

– Przepraszam, ale ja nie jestem Elizą i trochę mnie złości porównywanie do niej.

– Nie złość się. Bardzo cię Kocham i boję się, że cię stracę.

– Nie stracisz. To tylko kilka dni. Możesz mi zaufać.

– Ale jak ja sobie tu poradzę bez ciebie? Będę bardzo tęsknił.

– Nie jesteś małym chłopcem. Bardzo dobrze sobie poradzisz. Jak sobie radziłeś dotąd?

– To nie to samo. Ja nie umiem już oddychać bez ciebie.

– Martin, co próbujesz zrobić? Chcesz, bym czuła się winna ze wyjeżdżam?

– Nie. Nie. Dobrze, że jedziesz, ale niedobrze, że beze mnie.

– To babski wyjazd. A poza tym musisz pilnować interesu. Nie wiem czy wiesz, ale nie masz pieniędzy na wyjazd – zażartowałam.

On jednak nie zrozumiał żartu.

– Musiałaś mi wypomnieć, że nie mam pieniędzy? Zawsze mówisz o tych pieniądzech! Tak jakbyś celowo chciała pokazać mi, że jestem mało wart.

– Nie rozumiem – skomentowałam, wyraźnie czując, jak wlewa się we mnie fala jakichś negatywnych emocji. – Wiesz, w jakiej sytuacji jesteśmy. Martwię o nas. Nie robię tego dla zabawy.

– To po co wyjeżdżasz, skoro nie mamy pieniędzy?

– Wiesz co? Przykre jest to, co robisz. – Teraz już wyraźnie mnie wkurzył. – Już dawno zapłaciłam za ten wyjazd. To po pierwsze. A po drugie, raczej nie powinieneś mi tego wypominać, bo jak dotąd nie dokładałeś do naszego życia ani złotówki.

– Widzisz? Znow to robisz. Znow wypominasz mi, że nie mam pieniędzy. Wszystko się zmieni, gdy będę już miał swoje pieniądze. Zobaczymy, jakich argumentów wtedy będziesz używać.

Obrażony wyszedł do drugiego pokoju. Nie miałam zamiaru przeproszać, choć zaczynałam znow czuć się winna. Nie wiem jak on to robił, że zawsze czułam się w obowiązku zadbać o to, by go nie urazić i nie zranić. Wróciłam do pakowania walizki, później wzięłam kąpiel, a gdy wychodziłam z łazienki, usłyszałam, jak znow rozmawia przez telefon z kimś z Afryki. Poznałam to po tym, że znow mówił w tym niezrozumiałym dla mnie dialekcie. Ku mojemu zaskoczeniu, dziś szybko skończył rozmowę. Wrócił do dużego pokoju, przyciągnął mnie i objął władczo, tak jak robił to na samym początku – Nie chcę się na ciebie dziś złościć.

– Nie jestem pewna, czy masz powód.

– Faktycznie. Przesadziłem. Przepraszam. Inga, wyjdź za mnie. Nie będę się bał o to, że cię stracę. Niech to będzie dowód, że jestem dla ciebie ważny. Kocham cię.

– Przykro mi. Mówiłam ci już, że nie wyjdę drugi raz za męża. Po co ci to? Ja i tak jestem już jakby twoją żoną.

– Mogę tak o tobie mówić?

– Jak?

– „Moja żona”.

– Możesz – odpowiedziałam z uśmiechem.

Bardzo się z tego ucieszył. „Moja żona” – powtarzał i obejmował mnie jeszcze czulej niż kiedykolwiek. Tej nocy byliśmy również bliżej niż kiedykolwiek, rozpaleni przez wizję zbliżającej się tęsknoty.

Rano w drodze na lotnisko mieliśmy problem, ponieważ wjechaliśmy w niemały korek. Martin stanął na wysokości zadania i, chociaż nieprzepisowo, ominął zator i dowiózł mnie na czas na lotnisko. Tam czekała już Ala, która zajęła mi kolejkę do odprawy. Zerkałam na niego przez cały czas i widziałam, jak wyraźnie zagubiony w tej niecodziennej sytuacji nie wie, co ma ze sobą zrobić.

Gdy nadszedł czas, stanęliśmy w miejscu rozstania, przed linią kontroli bezpieczeństwa. Ostatni moment, ostatnie spojrzenia i pocałunki. Nagle on

zjął jeden z pierścieni ze swojego palca i założył na mój palec: – Inga, pamiętaj, że jesteś moją żoną.

– Pamiętam. Nie martw się i dbaj o siebie.

– Dzwon!

– Będę dzwonić często.

– Już tęsknię.

– Pa. – Poczulałam, że muszę uciekać, bo gest z pierścionkiem niewątpliwie zrobił na mnie wrażenie i bałam się, że zaraz się rozkleję. A przecież wyjeżdżam tylko na niespełna tydzień. Pocałowałam go i stanęłam w kolejce do strefy, gdzie już go nie zobaczę. Za chwilę on sam zniknął mi z oczu, a ja przeczytałam smsa: „Kocham cię jak nikogo w życiu”.

Piękna Andalużja okazała się miejscem o jakim zawsze marzyłam. Wyobrażałam sobie taką przestrzeń do życia. Może kiedyś tam zamieszkam. Nie wiem. W tamtejszych miastach ludzie, jakby bardziej wolni, spotykają się na ulicach. Na każdym rogu kwitnie życie towarzyskie. Nawet maleńkie restauracyjki wystawiają przed swoimi drzwiami stoliki i kuszą różnorodnymi tapas. Poranki zaczynałyśmy od śniadania w lokalnych barach, obsługiwanych z jakiegoś powodu wyłącznie przez mężczyzn. Klimat tych miejsc, smak kawy, soku ze świeżych pomarańczy i prostej kanapki z jamón serrano, rozpluwającą się w ustach szynką, z dodatkiem zmiksowanych pomidorów zaprawionych oliwą z oliwek do dziś wywołuje we mnie ekscytację, spowodowaną radosnym celebrowaniem prostoty życia. Kocham to! Wieczory spędzone na ulicy pomiędzy bawiącymi się Hiszpanami, którzy wylegli ze swych domów i nie mieszcząc się w barach, popijają przed nimi drinki czasem w olbrzymich grupach. Albo inne wieczory – przy flamenco i sangrii, gdy widziałam każdy mięsień napięty od emocji wyrytej na twarzy tancerki czy też przy dźwiękach płynących z ust śpiewającego flamenco mężczyzny. Andalużja to emocje. Emocje, które ubóstwiam. Zwieńczeniem tego wszystkiego był ocean. Piękny, majestatyczny, lazurowy, dziki i namiętny. Uwielbiałam nasze godziny na plaży, gdy wokół było pusto, tylko pojedyncze osoby przechadzały się o tej porze roku, to same, to z psem, to w parze. A pośród tego ja. Szczęśliwa i zakochana. Tak. Czulałam – choć nie

chciałam się do tego sama przed sobą przyznać – że dla ukochanego zrobiłabym już wszystko. Byłam gotowa zawierzyć mu życie. Gotowa, by kochać. A może już kochałam.

Martin pisał każdego ranka i dzwonił kilkakrotnie w ciągu dnia. Mówił, że tęskni, ale ja myślę, że sprawdzał, czy pamiętam o nim. Bał się, że odległość może osłabić moje uczucie. Nie miał pojęcia, że nie było już na to szans. Nie wiedział, że budziłam się z myślą o nim i zasypiałam z jego obrazem przed oczami.

Oczywiście, pomimo iż byłam w innej części Europy, doganiały mnie też sprawy codzienne. Nie przyjechał umówiony transport po samochody, musiałam poszukać innego, zadzwonić do kierowcy i załatwić jeszcze kilka innych spraw. Ala patrzyła na to z dystansu, trochę ją dziwiło to, że tak mocno się angażuję, ale postawiłam już na tego konia, więc chciałam by wygrał. Dla mnie było oczywiste, że się tym zajmuję. Nie myślałam o tym, że Martin sam powinien sobie z tym poradzić skoro już prowadził kiedyś ten interes. Tłumaczyłam sobie jego zachowanie tym, że uważa mnie za mądrą kobietę i wie, że załatwię to lepiej. A poza tym, po co ma się męczyć, nie znając języka, mając mnie. Miłość. Zakochane serce wytłumaczy rozumowi wszystko.

Już drugiego dnia pobytu poczułam dziwny ucisk, bóle i zupełnie inne zachowanie mojego brzucha niż zwykle. Nie była to dokuczliwa odmienność, ale wciąż przykuwała moją uwagę. Budziła ciekawość, co tam się dzieje? Odpowiedź przyszła stosunkowo szybko.

Około półtora tygodnia po powrocie oczekiwałam na okres. Spóźniał się cały dzień. Była to zupełna nowość, bo mój organizm w tej kwestii był jak szwajcarski zegarek. Od tego dnia wiedziałam, co się dzieje. Choć nie zrobiłam nic, by to potwierdzić, stałam się najszczęśliwszą kobietą na ziemi. Już miesiąc wcześniej badawczo wyczekiwałam okresu z nadzieją, że go nie dostanę, ale i z ulgą, gdy przyszedł.

Dziwne, ktoś może pomyśleć, ale dla mnie nic w tym dziwnego. Nie znałam jeszcze Martina na tyle dobrze, by mieć pewność, że będzie dobrym materiałem na ojca dla moich dzieci, ale on – rozpościerając przede mną obraz dużej, szczęśliwej rodziny – zasiał w moim umyśle pragnienie, by tak

było. Bardzo chciałam mieć dziecko. Od dawna o tym marzyłam, ale dopiero wtedy to pragnienie stało się niezwykle żywe. Jediną barierę stanowiło to, że nie byłam jeszcze pewna Martina. A dokładnie tego, czy to dla mnie odpowiedni partner na życie. Dlatego byłam zaskoczona, gdy przy jakiejś okazji powiedział do Ali, że staramy się o dziecko, ponieważ tak nie było. Jednakże pragnienie to na tyle wygrywało we mnie z brakiem pewności, że pomimo podpowiedzi rozumu, iż jest za wcześnie, nie dokładałam zbyt wielu starań, by nie zajść w ciążę. A nawet – za podszeptem serca – wprost przeciwnie. Dlatego też w olbrzymim napięciu czekałam na okres, a gdy nie przychodził, rosły we mnie wielka radość i nadzieja. Już na samą myśl o takiej możliwości rozpływałam się w miłości do maleńkiej istoty, której jeszcze nie znałam. Muszę przyznać, że Martin jako potencjalny ojciec wydawał się też idealnym partnerem. Widziałam jak mówił o Sarze, jak często się z nią spotykał, jak skrywał łzy, gdy opowiadał o tęsknocie za nią. Słyszałam tony miłości, którą ofiarowywał swojemu dziecku. Czego więc miałam się bać? Serce podpowiadało, że krótki czas znajomości nie ma znaczenia. Tylko rozum czasem kiwał w moją stronę palcem, sprawiając, że nie do końca byłam pewna czy to dobre.

Tymczasem mijał kolejny dzień bez okresu. Mając na uwadze odmiennosć zachowania mojego brzucha i dotychczasową regularność menstruacji, właściwie byłam pewna, że to ciąża. Trzeciego dnia wyjęłam test ciążowy, który kupiłam już miesiąc wcześniej, i z niecierpliwością czekałam na wynik. Dwie kreski. Tak. Byłam w ciąży. Pomimo iż od dwóch dni spodziewałam się tego, emocje rozszalały się na dobre i łzy poleciały jak groch. To były łzy olbrzymiego szczęścia z odrobiną niepokoju. Martin wszedł do łazienki i zobaczył mnie płaczącą z testem w dłoni.

– Co to?

Pokazałam mu test, bo nie byłam w stanie odpowiedzieć. Popatrzył i zapytał:

– Czy to to, o czym myślę?

– Tak – wyszlochałam.

Przytulił mnie bardzo mocno i zapytał:

– To czemu płaczesz? Nie chcesz tego dziecka?

– Chcę. Bardzo chcę, ale się boję.

Odsunął się lekko ode mnie, wciąż trzymając ręce na moich ramionach i wyszeptał:

– Inga, jeżeli nie chcesz tego dziecka, to możesz je usunąć...

– Co? Zwariowałaś! Nigdy!

– Jeśli masz płakać z tego powodu, to może będzie lepiej, jak to zrobisz.

– Co ty opowiadasz?! Myślałam, że chcesz tego dziecka?

– Chcę! Oczywiście, że chcę. Drocę się z tobą. Chodź... – przyciągnął mnie znów do siebie i przytulił.

– To dobrze. Pojedziesz ze mną dziś do ginekologa?

– Po co?

– Chcę tam być z tobą, gdy się potwierdzi to, co pokazał test.

– Dobrze. O której?

– O czternastej.

– Pojadę z tobą, a później spotkam się ze znajomymi. Mają dla mnie jakąś propozycję, a teraz potrzebujemy jeszcze więcej pieniędzy, bo będzie nasza mała dzidzia. Myślisz, że to będzie chłopak czy dziewczynka?

– Nie mam pojęcia. Chyba chłopak.

– To nazwiemy go Frank. – To nie było pytanie. On tak zdecydował. Nic nie mówiłam, bo jeszcze nie byłam pewna nawet tego, czy jestem w ciąży, a co dopiero płci dziecka. Na razie niech będzie Frank.

Pierwszy raz w życiu czas przed gabinetem ciągnął się jak długie godziny. Weszłam do środka sama. Powiedziałam, że zrobiłam test i wyszedł dodatni. Położyłam się na łóżku do usg, wpatrzona w ekran małego monitora. Jest! Maleńki na dwa milimetry pęcherzyk. Jest! Tam jest moje dziecko. Łzy po raz kolejny spływały po mojej twarzy żywym strumieniem. Jest. Jest moja miłość! Ta mała kropeczka, którą już kocham jak szalona.

Całe popołudnie trzymałam dłoń na moim brzuchu, jak mi się zdawało – dokładnie tam, gdzie jest te dwa milimetry mojego szczęścia, tak jakbym chciała je chronić albo tulić bez przerwy. Lekarz powiedział, że maleństwo ma pięć tygodni. Policzyłam, że musiało być poczęte tamtej nocy przed wyjazdem do Hiszpanii. Bardzo mnie to ucieszyło, bo po pierwsze, było

owocem pięknego i mocnego zespolenia, a po drugie, moje małeństwo zaczęło życie od podróży i to jeszcze w tak piękne miejsce jak Andaluzja. Byłam bardzo szczęśliwa. Nie da się słowami opisać tego, co czuje kobieta, gdy dowiaduje się, że będzie mamą. Szczęście. Wielkie szczęście. Jednak wraz z upływem godzin to szczęście przecinało, jak miecz, krótkie słowo: „usuń”. Jak on mógł mi to zaproponować? Nic nie rozumiem. Przecież to on tak głośno krzyczał: „Dziecko, czwórka dzieci, rodzina!”. Co się zmieniło? Dlaczego właściwie się nie ucieszył? Ja bym na jego miejscu skakała do góry, a on to potraktował jak coś zwyczajnego? „Możesz usunąć”! Do cholery! Nie wolno mu było tego powiedzieć! Coś jest nie tak. Nie rozumiem, co się z nim stało. Może faktycznie żartował? Sprawdzał, na ile tego dziecka pragnę, bo dotąd nigdy nie powiedziałam na głos, że tego chcę. Tak. To z pewnością o to chodziło. Zobaczył mnie zapłakaną i pomyślał, że płaczę, bo tego nie chcę i sprawdzał. Uff. Ale mi ulżyło. Dobrze, to dobry człowiek. Na pewno jeszcze mi pokaże, jak się cieszy. To dobry tata. Przecież widzę, jak kocha Sarę. Nasze małeństwo będzie kochał tak samo.

Przez pierwsze dni, a później i tygodnie ciąży byłam bardzo słaba. Wciąż chodziłam senna i gdy tylko była taka możliwość, oddawałam się drzemce. Staralam się żyć normalnie jak dotąd, ale w trakcie najprostszych czynności musiałam przerywać, by się przespać. To trochę nas odsunęło od siebie. Martin coraz częściej wychodził, a gdy wracał, ja zasypiałam. Kiedy się budziłam, on rozmawiał przez telefon.

Zaraz po powrocie z Hiszpanii odwieźliśmy samochody do Hamburga i czekaliśmy na informację, kiedy dopłyną do portu przeznaczenia.

Spodziewaliśmy się, że w ostatnich dniach czerwca, tymczasem otrzymaliśmy wiadomość, że już około dwudziestego. Musieliśmy szybko kupić bilety lotnicze do Afryki dla Martina, by mógł sprzedać samochody.

- Jak długo cię nie będzie? Na kiedy kupić powrotny?
- Krótko. Bardzo krótko. Zwariuję tam bez ciebie, kochanie.
- Ale ile potrzebujesz czasu, by się uwinąć z tymi autami?
- Myślę, że maksymalnie miesiąc, ale zrobię wszystko, by przyjechać za dwa tygodnie.

– No, tak się nie da – muszę teraz określić datę powrotu.

– W moim kraju wszystko się da. Kup bilety, które można przebukować, a ja już tam wszystko za grosze załatwię.

– Ale takie bilety są dwa razy droższe. Kupię bez możliwości zmiany daty, najwyżej pobędziesz z rodziną.

– Nie. Absolutnie! Kup z możliwością zmiany.

– Nie mamy już na takie pieniądze, więc nic z tego.

– Jak to? Już wszystkie wydane?

– Tak. Zostało na bilety, i to te tańsze.

– To niemożliwe! Musimy mieć więcej pieniędzy, bo potrzebujemy jeszcze na opłacenie odbioru tych samochodów w Afryce.

– Co? Nie wspominałeś dotąd o tym! Nie policzyłeś tego?! Nie umiesz liczyć?

– To ty miałaś zajmować się liczeniem.

– Oszalałeś?! Pytałam tyle razy, na co są potrzebne pieniądze, a to jakoś pominąłeś. Nigdy o tym nie wspomniałeś. Mówiłeś, że już kiedyś miałeś taki interes, powinieneś więc to wiedzieć.

– Zapomniałem! Inga, nie kłóćmy się. Nie możesz się denerwować w tym stanie. Powiedz, co teraz.

– Ja? Niby czemu ja?

– Bo ja nie mam pieniędzy.

– Ja też nie mam! Mówiłam ci! Ile na to potrzebujesz?

– Potrzebujemy. Tysiąc dwieście dolarów na samochód.

– Co? Oszalałeś?! Jak mogłeś zapomnieć o takiej kwocie?!

– Zapomniałem. Mam się teraz zabić?

– Oszaleję przez ciebie! Mocno przegiąłeś!

Byłam tak zła, że musiałam wyjść z domu. Bałam się o maleństwo. Pierwsze tygodnie są bardzo ważne dla rozwoju dziecka. Nie chciałam się denerwować. Musiałam ochłonąć. Tymczasem w głowie kotłowało się tysiąc myśli. Miałam pieniądze, ale nie chciałam mu dać więcej. Coś we mnie krzychało, że nie mogę tego zrobić. Jednak już wydałam pieniądze, które popłynęły statkiem do Afryki. Mam odpuścić? Pozwolić im zatonać w głupocie Martina? Co będzie teraz? Jak nie uda się interes, on pojedzie do

Szwajcarii, a ja zostanę sama. Do tego jestem w ciąży i nie pracuję. Nie mam szans na dochody przez najbliższy rok. Jak przeżyję bez pieniędzy? Dopadł mnie olbrzymi strach. Co ja narobiłam? Trzeba było poczekać z ciążą, trzeba było słuchać tego, co mi rozum podpowiadał. Nie. Nie wolno mi tak myśleć. W moim brzuchu jest moja wielka miłość i dla niej wszystko pokonam. Coś wymyślę. Przeliczyłam wszystko. To, ile mam oszczędności. Ile muszę mieć żelaznego zapasu. Oszacowałam, ile w najgorszym razie Martin przywiezie z powrotem pieniędzy. Dokładnie go przepytalam wcześniej i wiedziałam ile zarobi na każdym samochodzie. Odjęłam trochę, bo miałam świadomość, że tak bardzo chce, by mu się udało, że z pewnością przeszacował. Do tego jeszcze parę groszy ze sprzedaży pieluszek. No dobrze – powinno się udać. Postanowiłam mu dać te pieniądze, ale musiałam skłamać, że je pożyczyłam. Potrzebowałam, z niewiadomego mi powodu, takiego wentyla bezpieczeństwa. Nie chciałam, by Martin wiedział, że mam pieniądze. Smutne, ale tak było. Nie ufałam mu w ogóle w tej kwestii. I tego popołudnia dobitnie się o tym przekonałam.

Gdy wróciłam, on jak zwykle rozmawiał przez telefon, ale gdy usłyszał, że jestem, zakończył szybko dyskusję i przyszedł do mnie. Usiadł obok, złapał za rękę i zapytał: – Inga, co teraz będzie?

– Nie wiem.

– Przepraszam cię. Zachowałem się bardzo nieodpowiedzialnie. Nie wiem, co teraz robić. Odkąd wyszłaś, dzwonię cały czas, pytając, czy ktoś mi pożyczy pieniądze, ale nikt ich nie ma. Nikt mi nie chce pożyczyć. Nie poddam się i będę jeszcze dzwonił. Będę walczył dla naszego dziecka.

Nic nie mówiłam. Zastanawiałam się tylko, co czuję. Widziałam, że mu bardzo zależy. Wyglądał jak ktoś, kto naprawdę jest zrozpaczony sytuacją. Zaczęło mi być go nawet szkoda. Potrzebowałam jednak chronić siebie i pokazać mu, że bardzo nie podoba mi się ta sytuacja.

– Wymyśliłaś coś może?

– Nie. Nic – skłamałam. – Pogadajmy o tym jutro. Teraz chcę odpocząć.

– Inga?

– Tak?

– Kocham cię bardzo.

Trochę mnie wtedy zakłuło to wyznanie. Nie pasowało do sytuacji i zasiało niepokój. Jednakże, co to za powód do nerwów, że ukochany mówi ci, iż cię kocha? Znów coś wymyślasz, Inga – przekonałam samą siebie i ułożyłam się wygodnie na łóżku, patrząc w telewizor. Bardzo dziwnie czułam się w całej tej sytuacji. Tak, jakbym miała dwa oblicza: pierwsze czuło niepokój i zdegustowanie, a drugie myślało, że źle osądzam Martina, który chce dobrze, tylko się pomylił. Zauważyłam jak bardzo zbieżne jest to z tym, co czułam na samym początku. Przypomniałam sobie jego dwie twarze. Pomyślałam, że to zdarzenie obudziło stare demony. Nieprawdziwe, bo już poznałam tego mężczyznę i wiem, że ma dobre serce. Ucięłam więc te rozmyślania. Będzie dobrze... Będzie dobrze – powtarzałam, aż zasnęłam.

Rano rozmówiliśmy się. Wymyśliłam historię przyjaciela, któremu pożyczyłam niemałe pieniądze, gdy był w dołku, i teraz on jest mi winny przysługę. Rzekomo zadzwoniłam do niego i obiecał mi pożyczyć. Miałam mu je jednak oddać w przeciągu dwóch miesięcy. Teraz czekałam na przelew od niego. Szczęśliwy Martin w ogóle nie obawiał się o zwrot.

– Super! Oddamy mu jeszcze szybciej. Zaraz jak przyjadę. Kupmy bilety.

– Dobrze. Zaraz zarezerwuję te z datą powrotu za miesiąc.

– Jak to? Te bez możliwości przebukowania?

– Tak. Mówiłam ci, że nie mamy już pieniędzy.

– To nie pożyczyłaś od znajomego również na to?

– Nie! Oczywiście, że nie. Nie przeginaj.

– No dobrze. Niech ci będzie. Ale będą kłopoty, jak się nie wyrobię ze sprzedażą.

– Nie wyrobisz? Jeszcze wczoraj mówiłaś, że chcesz przyjechać szybciej.

– Tak. Tak na pewno będzie. Ale wszystko może się zdarzyć – dorzucił.

Nie miałam ochoty drażnić tematu. Cała ta sytuacja i tak mocno nadwyrężyła moją ufność. Czułam, że moje serce zaczęło pogoń za rozumem i zaczęłam bacznie słuchać, wyszukując rozbieżności w zachowaniu oraz słowach Martina. Nie było ich wiele. Przeciwnie. Nie zdarzały się prawie, ale moje receptory już były w gotowości.

Wyleciał szesnastego czerwca. Zapakował dwie walizki oraz dużą paczkę z jakimiś ciuchami i rzeczami kupionymi wcześniej na handel, którą zresztą

chciałam mu zapakować, ale mi nie pozwolił, bardzo stanowczo mówiąc, że się nie mogę przemęczać. Niech mu będzie, choć nie byłam przecież kaleką, tylko szczęśliwą kobietą, czekającą na dziecko.

Siedziałam na lotnisku i płakałam, patrząc jak Martin coraz bardziej się oddala w długiej kolejce do kontroli. Słał mi esemesy z tej kolejki, że kocha, że już tęskni, że oszaleje beze mnie, że jestem jego jedyną miłością w życiu i prosił, abym dbała o Franka, ale wszystkie one nie były w stanie wywołać mojego uśmiechu. Płakałam, czując podskórną, że jego wyjazd to koniec czegoś ważnego, wielkiego, i choć byłam pewna, że wróci, czułam, że się z nim żegnam na zawsze. Znowu dwoistość. Rozum mówił, że zaraz będzie z powrotem, a serce czuło, że to pożegnanie.

Nie umiałam się odnaleźć w domu sama, po okresie tak intensywnej bliskości. Wszystko było zimne i puste, jedyną radość była w maleńkiej kropeczce w moim brzuchu, ona nadawała sens mojemu życiu w tych dniach. Martin dzwonił bardzo często. Opowiadał o wszystkim co robi, kogo spotkał, gdzie mieszka. Mówił, że pokazywał moje zdjęcie znajomym oraz rodzinie i że wszyscy zachwycają się tym, jaka jestem piękna i słodka. Trochę mnie to zawstydzalo, ale jednocześnie uspokajało i czułam, że jest żywo myślami przy mnie. Bardzo mi było tego trzeba. Mimo to bezwiednie pozostawałam czujna. Gdy dzwonił, słyszałam różne odgłosy w tle, jakiś targ, śmiejących się ludzi, kiedyś jakby stację, a wieczorem bawiące się dzieci. Pytałam zawsze wtedy, gdzie jest, bo moje receptory wołały na alarm. Spokojnie odpowiadał: „W hotelu”. No tak. W hotelu też mogą być dzieci. Cicho, receptorki, proszę nie wymyślać! I choć uspokajałam moje emocje, one nie chciały zamilknąć.

Przyszedł w końcu dzień, gdy podczas surfowania po Internecie odpaliłam, jeden Pan Bóg wie po co, Internet Explorera. Od wieków go nie używałam, ale wcześniej ustawiłam w nim trzy strony startowe: pocztę WP, pocztę Home i Facebook, którego niegdyś używałam bardzo często do kontaktów z kimś z bardzo dalekiego świata. Trzy wspomniane strony otworzyły się automatycznie, w tym Facebook, zalogowany na koncie czarnoskórej kobiety, Pauline Chukwumeka Okebalama. Poczulałam, jak całe moje ciało zalewa fala gorąca. Kto to jest? Dlaczego nazywa się tak jak

Martin? Bo Martin naprawdę nazywał się Okebalama Amogu. To miał wpisane w karcie stałego pobytu. Nie miałam jednak pewności, które to imię, a które nazwisko, bo zgodnie z kartą Okebalama to imię, a Amogu nazwisko, ale on je zawsze mylił. Raz mówił, że Amogu to imię, a raz, że nazwisko. Zrzuciłam to na jego nieporadność, ale gdy zobaczyłam je wtedy na Facebooku, od razu pomyślałam, że to jednak nazwisko. Choć przeczył temu fakt, że jego matka mówiła do niego Oke, więc chyba byłoby to imię. Czy jednak imię może być takie samo jak nazwisko? Pogubiłam się w tym wszystkim.

Kim była ta kobieta? Pokazywał mi zdjęcia swoich trzech sióstr, twierdząc, że nie ma zdjęcia czwartej – to nie była żadna z nich. Może to ta czwarta siostra? Zaczęłam przeszukiwać jej konto. Wpisanych miała dwóch braci, a Martin mówił, że jest już jedynym mężczyzną w ich rodzinie. Miała też dwie siostry, które nie były z pewnością osobami pokazywanymi mi przez niego. Kto to jest? Gorączkowo zaczęłam przeglądać zdjęcia. Może znajdę na nich Martina. Nie znalazłam. Kobieta okazała się matką czwórki dzieci, jednej dziewczynki, około dziesięcioletniej, i młodszych chłopców – najmłodszy miał chyba ze dwa lata. Czułam, że w tej kobiecie jest jakaś tajemnica. Przez kilka kolejnych godzin przestudiowałam każdy wpis i komentarz pod zdjęciem. Mąż kobiety miał na imię Oke, tak wpisywali w komentarzach znajomi, był kilka lat wcześniej w Szwajcarii, skąd przywiózł jej piękne ubranie ze sklepu Lily, ona sama zna kilka słów w języku polskim, a do tego wstawiła kiedyś zdjęcie z podpisem: „Moja słodka szwagierka”, na którym, jestem pewna, była najmłodsza z sióstr Martina. Padłam pod ciężarem emocji i zaczęłam prosić Boga, by to, co czytam nie było prawdą. Raz jeszcze zaczęłam czytać wpisy, aby mieć pewność, że się nie mylę. Nie myliłam się. Kim jesteś? – myślałam. Odpowiedź wydawała się oczywista. Tego dnia Martin jeszcze nie dzwonił. Była niedziela, a w niedzielę chodził do kościoła – spotkania niedzielne trwają tam bardzo długo. Miałam czas na przemyślenie tego, co przeczytałam. Jednak nad czym tu myśleć? Sprawa była oczywista. Wszystkie moje członki opanował ból. Ból, który nawet nie pozwalał mi pisać. Jakimś cudem napisałam jednak esemesa z wiadomością: „Kim jest Pauline Chukwumeka Okebalama?”. Wysłałam i czekałam blisko

cztery godziny na telefon, nie spuszczać nawet na chwilę wzroku z wyświetlacza. Zadzwoił w końcu. Bałam się odebrać, ale po kilku sygnałach ostatecznie nacisnęłam zielony przycisk, nie mogłam jednak wypowiedzieć słowa.

– Halo? Halo? – wołał zdenerwowany Martin. – Jesteś tam?

– Jestem.

– O co ci chodzi, Inga? Co wymyśliłaś?

– Niczego nie wymyśliłam.

– To dlaczego pytasz, kim jest Pauline?

– Bo jestem ciekawa.

– Ale dlaczego właśnie ona?

– Bo ma na nazwisko tak jak ty.

– A! O to chodzi – uspokoił się nieco. – Ma takie nazwisko, bo to moja siostra.

– Nie. To nie może być twoja siostra!

– Dlaczego nie?

– Pokazywałeś mi swoje siostry. Jej nie pokazywałeś.

– Ale mam jeszcze jedną. To moja siostra.

– Dlaczego więc nazywa się tak jak ty, skoro ma męża? Powinna nosić jego nazwisko.

– Może, ale nie musi. W moim kraju też nie ma takiego wymogu. Każdy może mieć takie nazwisko, jak chce.

Trochę mnie zamurowało. Zbiła mnie z tropu jego pewność siebie. Może to jest jego siostra? Podjęłam jednak jeszcze jedną próbę.

– Skoro to twoja siostra, a ty jesteś jej jednym bratem, to dlaczego ma wpisanych w rodzinie dwóch braci i dwie siostry, których nigdy nie widziałam?

– A skąd ja mam to wiedzieć? To jest Facebook! Tu każdy może sobie wpisać, co zechce. Ją zapytaj, dlaczego. Wkurzasz mnie! Znów mi nie ufasz. Jak mamy tak razem żyć? Zadzwoń, jak zrozumiesz, co mi robisz. Bardzo mi przykro. Cześć.

Rozłączył się.

Nie dzwoniłam. Trochę płakałam, wyrzucając z siebie emocje, trochę

myślałam, jak zbadać, co jest prawdziwie, spacerowałam, szukając odpowiedzi. I nic. Żadna logiczna odpowiedź nie przyszła. Wygrała jednak jego pewność siebie. Gdyby miał coś na sumieniu, tłumaczyłby się, poczułabym, że jest winny. A ja niczego takiego w nim nie znalazłam. Nie miałam też dowodu, że to ktoś inny niż jego siostra. Nie pisaliśmy i nie rozmawialiśmy przez dwa dni, po których przyszły moje urodziny. W ten dzień telefon zadzwonił już przed szóstą.

– Wszystkiego najlepszego! – usłyszałam radosny okrzyk z drugiej strony.

– Dziękuję.

– Przepraszam, że cię budzę tak wcześnie, ale musiałem pierwszy złożyć życzenia mojej ukochanej Indze.

– Dziękuję – powtórzyłam zasnana po raz kolejny.

– Życzę ci spełnienia marzeń, dużo pieniędzy, żeby Frank dobrze się rozwijał i cię kochał. I życzę ci jeszcze, byś mnie zawsze kochała i w końcu zaczęła mi ufać. Inga, zaufaj mi w końcu. To, że jestem czarny, nie znaczy, że jestem zły. Jesteś dla mnie jedyna na ziemi. Ty i Frank jesteście teraz moim światem. A jak mój chłopak?

– Dobrze.

– Dobrze się czuje?

– Chyba dobrze.

– To dbaj o niego. Muszę kończyć. Muah.

Czułam się znów winna po tej rozmowie. Ciągłe go oskarżam. Dlaczego? Bo jest czarny i dlatego miałby mnie oszukiwać? Koniec z tym. Wracalam jeszcze na stronę Pauline, ale tym razem szukałam dowodów na to, że jest jego siostrą.

W kolejnych dniach wszystko wróciło do normy. No, prawie do normy, bo ostatnie wydarzenia pozostawiły na wewnętrznym spokoju bliznę. Blizna ta nie pozwalała mi być tak naprawdę szczęśliwą. Walczyłam jednak o spokój i starałam się żyć jak dawniej. Umawiałam się na spotkania ze znajomymi, spacerowałam, wróciłam do malowania, aż do dnia, gdy o piątej rano obudził mnie telefon. Telefon z Afryki.

– Cześć. To ja. Jak Frank?

- Dobrze.
- A co robisz teraz?
- Spałam. Jest piąta rano. Wiesz dobrze. Co się stało?
- Nie wiem, jak ci to powiedzieć...
- Mów!
- Zacznę od tego, że już jest po wszystkim. I nie masz powodu, by się denerwować. Moja mama mówiła, żebym nie dzwonił, bo możesz się zdenerwować i stracić dziecko...
- Czułam, jak niepokój we mnie rośnie...
- Mów do cholery, co się dzieje! – krzyknęłam.
- Mówię ci, że już po wszystkim. Już dobrze, ale muszę ci o tym powiedzieć, bo znam ciebie i wiem, że byś mi nie wybaczyła, gdybym coś zataił.
- Martin, możesz przejść do sedna? Już mnie boli brzuch z nerwów.
- Mówiłem, żebyś się nie denerwowała. Uważaj na moje dziecko!
- Rosła we mnie złość, że tak przeciąga, ale postanowiłam to przemilczeć, by nie szukał powodów do dalszej zwłoki.
- Uważam. To też moje dziecko. Co się stało?
- Dziś w nocy do mojego domu weszło kilku uzbrojonych mężczyzn. Przystawili mi i mojej mamie broń do głowy, każąc oddać wszystko, co mamy wartościowego. Ale nie martw się. Wszyscy żyjemy.
- Zaniemówiłam, a on ciągnął dalej.
- Zapakowali wszystko do mojej brązowej walizki i na koniec chcieli mnie zabić. Moja matka zaczęła wołać: „Nie róbcie tego, to mój jedyny syn, zabijcie mnie zamiast niego” i odpuścili. Jeden z nich uderzył ją tak, że upadła na podłogę, a drugi walnął mnie pistoletem w skroń i straciłem przytomność. Pamiętam tylko jak wcześniej mówili, że nie mogę pójść na policję, bo zabiją całą moją rodzinę. Kiedy się ocknąłem, okazało się, że nie mam telefonów, części ciuchów, zabrali koszulki z Zary, które mi przywiozłaś z Hiszpanii i pieniądze.
- Telefony? Pieniądze...? – wyszeptalam.
- Tak. Nie mam tych pieniędzy, które mi dałaś na odbiór samochodów ze statku.

Nie byłam pewna, czy nadążam. Szok sparaliżował wszystkie moje szare komórki, bo jak w letargu przyswajałam jego słowa, nie zdając sobie sprawy z ich sensu i konsekwencji.

– Ale, Inga, najważniejsze, że żyję. Prawda? Żyję dla ciebie i Franka. Żyję!

– Tak. Dobrze, że żyjesz.

– Muszę teraz kończyć, bo jestem z mamą w szpitalu. Ma chyba wstrząśnienie mózgu. Później zadzwonię, gdy będę na policji.

– Miałeś nie iść na policję.

– Tak mówili, ale muszą ich złapać. Zawalczę, może odzyskam to, co ukradli.

– Myślisz, że są na to szanse?

– Tak. Jeśli zadziałam szybko, są. Spróbuję. Nie martw się tam i śpij dobrze. Zadzwonię później.

Odłożyłam telefon i położyłam głowę na poduszce. Kolejne słowa, jak klatki filmu, przelatywały mi przed oczami: „pistolet”, „zabić”, „pieniądze”, „policja”. Słyszałam znów zdania z naszej rozmowy: „Nie martw się”, „Żyję”, „Nie mam pieniędzy na samochody”, „Zawalczę”. Nic się nie układało w logiczną całość. Może to był sen? To przecież nie mogło być realne! Takie rzeczy nie zdarzają się w normalnym życiu! Tylko w filmach albo książkach. Nie, coś takiego nie zdarza się w życiu takich ludzi jak ja. Zwykłych szarych kobiet z Polski. Złapałam za telefon, by zobaczyć, czy faktycznie dzwonił. Tak. Rozmowa przychodząca. Martin. 4:56. To się wydarzyło naprawdę. Szalałam ze strachu o niego, jednocześnie zastanawiając się, czy to może być prawda. Pierwszy raz od wielu lat poczułam się jak małe dziecko i bezsilna zadzwoniłam do mamy.

– Mamo. Ratuj. Ja świruję.

Opowiedziałam jej, co się wydarzyło i że boję się, że zwariuję sama od natłoku myśli. Bałam się też o dziecko, to były za duże dla niego emocje. Matka, z którą widywałam się ze dwa, może trzy razy do roku, jeszcze tego samego dnia wsiadła w autobus i przyjechała do mnie trzysta pięćdziesiąt kilometrów. Odebrałam ją z dworca, a gdy weszliśmy do domu, wtuliłam się w jej ramiona i płakałam, nie mogąc wyrazić, co czuję. Została ze mną około

tygodnia, zanim musiała wrócić do swojego życia.

Wcześniej tamtego dnia Martin dzwonił jeszcze kilka razy kontrolnie, by sprawdzić, czy wszystko ze mną okej i zdawał relacje z postępów. Policja kazała mu uciekać z domu, a matka wyszła ze szpitala późnym wieczorem. Następnego dnia poprosił mnie o kolejne pieniądze, tym razem niewiele – na hotel, bo nie mógł zostać w domu, i na życie przez kilka dni, zanim nie zdobędzie pieniędzy. Wysłałam, choć czułam, że nie powinnam tego robić. Powinien radzić sobie sam, ale bałam się o niego i kochałam go. Dałam mu więc pieniądze po raz kolejny. Po kilku dniach sprawa ucichła. Martin opowiadał mi w jak ciężkich warunkach mieszka, bo nie ma pieniędzy, ale nie śmiał poprosić o więcej. Umówił się z agentem od samochodów na statku, że zapłaci mu, gdy sprzeda którykolwiek z nich. Ten jednak ociągał się z wydaniem pojazdów. Na sześć dni przed planowanym powrotem zadzwonił, że wciąż nie ma samochodów i potrzebuje więcej czasu, by je sprzedać, więc stracił bilet powrotny. Jego słowa zabrzmiały trochę tak, że poczułam wyrzut sumienia, ponieważ prosił przecież o bilety, które może przebukować.

Poczułam całą sobą, jak emocjonalnie odsuwam się od niego. Nie rozumiałam wtedy dlaczego, ale za każdym razem, gdy dzwonił, czułam, jak jest mi do niego coraz dalej. Nie. Nie przestałam kochać. Przystawałam ufać. Zrozumiałam, że ten facet nie jest w stanie zaopiekować się teraz mną ani moim maleństwem. Czułam jak opanowuje mnie strach o jutro. A on podsyczał non stop niepokój, dzwoniąc z informacjami, że nikt nie chce kupić samochodów, że nie może odzyskać pieluszek, że nie ma już za co żyć. Powiedziałam mu wprost, że mu nie pomogę, bo sama walczę o przetrwanie, oddałam mu ostatnie moje oszczędności, zapożyczyłam się nawet, a on miał już być w Polsce z moimi pieniędzmi. Tymczasem nie sprzedał nawet jednego samochodu. Być może było to z mojej strony zachowanie wyrachowane i nieświadczące o miłości, bo kłamałam, ale złożyło się na to wiele niejasnych sytuacji, a przede wszystkim to, że byłam w ciąży. Martin był dorosły, natomiast ta maleńka duszyczka w moim brzuchu miała tylko mnie. Umiałam liczyć. Wiedziałam, kiedy będę mogła iść do pracy i na ile czasu wystarczy mi pieniędzy. Nie mogłam mu dać ani złotówki więcej. To

było moje zabezpieczenie. Nie wykluczałam jednak wciąż, że jeszcze mu się uda, nadal miałam olbrzymią nadzieję, że odzyska część pieniędzy i zdecydujemy wspólnie co dalej. Aby być bardziej wiarygodną, ponaglałam go i prosiłam, by załatwił już jakieś pieniądze, bo nie mam na czynsz i życie. Jednak ratunek z jego strony nie nadchodził. Przeciwnie. Przychodziły coraz gorsze wieści. Choroba. Malaria. Do dziś przechodzą mi przez całe ciało dreszcze na myśl o tym, jak się przestraszyłam, gdy usłyszałam, że Martin ma malarię. Dzwonił zasmarkany i kaszlący, na wpół żywy. Było mi go bardzo szkoda, ale jednocześnie opanowywał mnie ogromny strach, bo nam, Europejczykom, malaria kojarzy się jak najgorzej. Sprawdzałam w Internecie, jak długo się na to choruje oraz jak długo wirus malarii żyje w organizmie. Na litość Boską, ja byłam w ciąży! Musiałam chronić moje maleństwo. Jeżeli będzie ryzyko, nie chcę spotkać się z Martinem – zdecydowałam. Wieści z Internetu uspokoiły mnie w dziewięćdziesięciu pięciu procentach. Pytałam również jego o bezpieczeństwo. Złościł się, że martwię się tylko o dziecko, ale potwierdził u lekarza, że nie ma ryzyka. Uwierzyłam mu, bo wiedziałam, że nie skrzywdziłby swojego maleństwa. Widziałam przecież jego miłość do Sary.

Sprzedał pierwszy samochód i zapłacił agentowi. Sprzedał drugi i wylądował w szpitalu, bez ubezpieczenia. Tym razem zadzwonił do mnie z wieścią, że ma tyfus. Tego już było za wiele. Nie miałam już sił na współczucie. Wewnętrznie zdecydowałam, że nie chcę, by wracał do Polski. Ja będę umiała żyć bez tej miłości, pomimo iż nadal w głębi serca go kocham, ale to zbyt niebezpieczne dla mojego dziecka. Nie umiałam mu jednak tego powiedzieć. Wciąż pragnęłam, by wrócił. Znow przeszukałam cały Internet, by podejmować słuszne decyzje, nie byłam jednak pewna, co robić dalej. Spotkałam się z lekarzem, który powiedział, że Martin po powrocie może zrobić badania wykluczające, bądź potwierdzające obecność wirusa we krwi. Tak zrobię – postanowiłam. Jeżeli się okaże, że wciąż jest nosicielem, nie pozwolę mu się do nas zbliżyć aż to nie minie. Byłam gotowa na takie cierpienie, bo wiedziałam przecież, że będę cierpieć, kochając z daleka, ale uważałam to za bardzo małą cenę za zdrowie mojego dziecka. Po dwóch tygodniach pobytu Martina w prywatnym szpitalu w jego kraju,

badania szczegółowe wykazały jednak, że to była pomyłka i nie było tyfusu albo został skutecznie zwalczony w jego organizmie.

Martinowi zostały pieniądze jedynie na bilet powrotny, bo trzeciego samochodu wciąż nie mógł sprzedać. Postanowił zostawić go w kraju pod opieką agenta, twierdząc, że to zły moment na sprzedaż samochodu, przekonany, że sprzeda się on lepiej w grudniu. Kupił bilet do Polski. Na lotnisku okazało się, że ma niewyraźne zdjęcie, gdyż jego mama wyprała mu kiedyś paszport i nie został wpuszczony. Gdy leciał do swojego kraju w czerwcu, holenderska służba graniczna na lotnisku zwróciła mu na to uwagę i wpisała stosowną adnotację w systemie elektronicznym. Uwierzyłam więc bez wahania, że tak właśnie się stało. Odroczyli jego bilet na dwa tygodnie i kazali wyrobić nowy paszport. Pojechał do stolicy, by to załatwić. Zajęło mu to tylko kilka dni. Zresztą, jak zawsze powtarzał: w jego kraju wszystko było możliwe za pieniądze. Nie pytałam skąd je wziął tym razem. O nic już nie pytałam. Zrezygnowana i wciąż kochająca. Tak. Wszystko to wyglądało co najmniej podejrzanie, czułam tony wewnętrznego niepokoju, ale nie miałam żadnego dowodu na to, że którekolwiek ze słów czy zdarzeń jest kłamstwem. Moje receptory pracowały na najwyższych obrotach, ale niczego nie znajdowały. Przepytываłam go, testowałam, a on zawsze znajdował logiczną i wiarygodną odpowiedź. Ostatecznie moje dni spędzałam w nieustannej rozterce. Gdy Ala zapytała, czy cieszę się że wraca, odpowiedziałam: – Nie wiem, kochana. Bardzo chcę go zobaczyć. Pragnę, by mnie przytulił. Jednocześnie jednak boję się tego przyjazdu. Chyba lepiej, żeby nie wrócił. Nie wiem nawet, co czuję. Jednego jestem pewna – na myśl, że go zobaczę, ogarnia mnie olbrzymi smutek, ale myśl, że go nie zobaczę, sprawia mi równie wielki ból.

– Moja biedna... Wiem, że gdy on przyjedzie, będziesz podejmować dobre decyzje.

– Dziękuję, ale ja nie jestem tego taka pewna.

– Ja jestem za ciebie.

Moja kochana Ala zawsze wierzyła we mnie bardziej niż ja sama.

Gdy został jeden dzień do przylotu Martina, ten dziwnie milczał. Nie

dzwonił, nie pisał. Napisałam więc esemesa z zapytaniem, czy przylatuje następnego dnia. Dostałam krótką odpowiedź: „Tak” i nic więcej do południa. Zaczęłam się zastanawiać, co jest grane. Już powinien być na lotnisku. Dlaczego nie dzwoni, że rusza. Skąd ta cisza? Może nie ma kredytu w telefonie? Napisałam: „Jesteś już na lotnisku?”. Odpisał znów: „Tak” – i nic więcej. Po godzinie chciałam zadzwonić, ale miał wyłączony telefon. Najwyraźniej leci. Uspokoiliam się. Jednak mimo to noc nie należała do najlepszych. Poranek przywitałam bardzo wcześnie, wykapałam się, ubrałam i mimo olbrzymiego lęku pojechałam po niego na lotnisko. Nie jest łatwo opisać, co czułam, bo znów doświadczałam dwoistości: smutek, złość i rozczarowanie, gniew nawet i potworny zawód, a do tego niepewność, gdzie się kończy prawda, a zaczyna kłamstwo, z drugiej zaś strony – radość, że zaraz go zobaczę. Głupiutkie serce wciąż kochało mimo tych wszystkich wydarzeń. Czyż nie taka powinna być miłość?

Sprawdziłam na tablicy przylotów, że samolot ląduje o 7:40. Było jeszcze trochę czasu. Niestety, bo to oczekiwanie wywindowało w górę moje emocje. Czułam jak serce bije mi z każdą minutą coraz mocniej. Było mi bardzo gorąco, pomimo dość chłodnego poranka. Ze dwadzieścia minut po lądowaniu w wyjściu zaczęli się pojawiać pierwsi pasażerowie. Rozglądałam się za Martinem ze ściśniętym gardłem, ale on wciąż nie wychodził. Minęła godzina, a ja nadal patrzyłam w drzwi, w których go nie zobaczyłam. Co się stało? Czyżby go zatrzymali? Dlaczego? Może jednak jest chory? Dlaczego więc nie dzwoni? Może znów coś nie tak z paszportem? Co on po raz kolejny nawywijał? A może go po prostu nie było w tym samolocie. Jak to sprawdzić? Inga, myśl. Serce waliło jak młotem, a ja szukałam rozwiązania, jak zbadać, co się stało. Co mam robić dalej? – zastanawiałam się w rozterce.

– Przepraszam. Gdzie mogę zapytać, czy ktoś leciał danym samolotem? – zapytałam przechodzących obok mężczyzn w mundurach.

– To tajne informacje – odpowiedział jakby z wyrzutem jeden z nich.

– Ale ja muszę się dowiedzieć, bo nie mam pewności, czy coś się nie stało – szamotałam się w emocjach.

– A kim jest ta osoba dla pani?

– To mój... narzeczonny – wydukałam w końcu, mając nadzieję, że to

zwiększy prawdopodobieństwo uzyskania informacji. Zresztą co innego miałam powiedzieć? Ojciec mojego nienarodzonego dziecka, z którym nie chcę wziąć ślubu?

– Narzeczony to nie rodzina! – zaśmiał się ten sam mężczyzna. – Co to za narzeczony, który nie daje znać, czy leci samolotem czy zrezygnował?

Wow! Zabolalo na maksa. Okrutny żartowniś! Ale miał rację, to nie było w porządku. Martin nie powinien był się tak zachować. Mam to gdzieś! Wracam! To dorosły facet! Wróci taksówką, skoro nie umie zadzwonić.

W samochodzie, gdy tylko straciłam z oczu lotnisko, doszły do głosu emocje. Dotarło do mnie, co się stało. On nie przyleciał! Nie wróci! Oszukał mnie, okradł, zostawił w bardzo trudnej sytuacji samą z dzieckiem, które nawet go nie widziało. Inga! Ty kretynko! Ból pomieszał się z olbrzymim wstydem, że tak się dałam oszukać i wykorzystać. Emocje uderzyły olbrzymią falą, która znalazła ujście w wodospadzie łez. Przesłoniły mi widok. Próbowałam nad tym zapanować, bo prowadziłam samochód, a nie widziałam nawet skrawka drogi przed sobą. Opanowanie się nie było jednak możliwe. Zjechałam na bok i zawołałam z całych sił: – Martin! Dlaczego?! Dlaczego?!

Gdy emocje opadły, wróciłam do domu. Wskoczyłam pod kołdrę i pozbawiona sił chciałam odpocząć. Zanim jednak to się stało, zadzwonił telefon. Zastrzeżony numer. Nieśmiało odebrałam.

– To ja – zabrzmiał głos Martina.

W odpowiedzi zamiast słów usłyszałam szloch, bo emocje związały moje struny głosowe. Czego on chce? Oszukał mnie, zostawił... Czego jeszcze może więcej chcieć?

– Inga, słyszysz? Nie płacz. Nie mam czasu. Mam tylko kilka minut na rozmowę. Jestem w Katarze, zatrzymali mnie i wyślą z powrotem do kraju, bo w moim nowym paszporcie nie mam jakiejś pieczątki, że wyjeżdżałem... Jesteś tam?

– Jestem – wydusiłam.

– Możesz do mnie zadzwonić na ten numer, który się wyświetla? Nie mam już prawie kredytu, a jestem bez pieniędzy.

– Zadzwonić?

- Tak. Na ten numer.
 - Ale to numer zastrzeżony.
 - Poczekaj, zadzwonię jeszcze raz.
- Zadzwonił za kilka sekund. Znów z zastrzeżonego numeru.
- Widzisz numer?
 - Nie. Nie widzę. Nie możesz mi wysłać esemesem?
 - Jak? Nie znam tego numeru. Dzwonię z lotniska z katarskiego numeru.

Poczekaj, jeszcze raz spróbuję. Nie rozumiem, dlaczego go nie widzisz.

Dzwoniłem do siostry i oddzwoniła. Widziała numer. Poczekaj...

Rozłączył się i zadzwonił po raz kolejny z zastrzeżonego.

- Widzisz?
- Nie.
- Fuck! Dobra. To mamy jeszcze tylko z minutę. Jak Frank?
- Dobrze.
- A Ty?
- Ja? Myślałam, że uciekłeś, że mnie oszukałeś i nie wrócisz.
- Widzisz? Wcale mi nie ufasz. Zawsze to samo. Dzwonię do ciebie.

Jestem. Żyję. Już nie płacz. Już jest dobrze. Mąż mojej siostry przywiezie mi stary paszport i zaraz przyleczę. Załatwię jakoś pieniądze na bilet. Może siostra załatwi jakąś kasę. Zaraz będę. Jesteś moją jedyną miłością. Zawsze będziemy razem.

Wciąż nie byłam w stanie pozbierać myśli. Tylko cicho szlochałam, tak, by nie słyszał. Nie udało się – usłyszał.

– Inga. Przestań. Przecież jestem. Wytrzymaj jeszcze trochę i nie smuć się. Uważaj na moje dziecko. Powiedz mu, że tata go kocha. Zaraz...

Nie wiem, co chciał powiedzieć, bo rozmowa została przerwana.

Odłożyłam telefon i po kilku minutach zasnęłam wycieńczona nadmiarem emocji. Następnego ranka sen przyniósł jakieś nowe spojrzenie, dystans, obojętność. Postanowienie, że nie będę więcej płakać, bo muszę zadbać o dobre uczucia i uśmiech dla mojego dziecka. Małeństwo w brzuchu odczuwa dokładnie to, co mama. Każdą radość i każdy smutek. Moje w tym swoim krótkim życiu miało zafundowany przez rodziców ogrom stresów. Już mu wystarczy. Limit wyczerpany. Akceptuję cokolwiek się wydarzy. Poradzę

sobie niezależnie od tego, co los przyniesie. A teraz mam jeszcze dla kogo być silna i walczyć.

Postanowienie to jednak wykluczało się z człowieczeństwem, bo człowiek z krwi i kości to emocje. Nie można mu powiedzieć: „Nie czuj”, aby przestał odczuwać. Mimo postanowienia wciąż czułam i wiele razy przyszło mi się o tym jeszcze przekonać. Również w dzień powrotu Martina.

Okazało się, że bilet kupił na dzień, kiedy miałam zaplanowane trzydniowe zlecenie na Śląsku. Potrzebowałam pieniędzy i nie mogłam go sobie odpuścić. Pewnie nawet gdyby było inaczej, nie naraziłabym się na kolejne oczekiwanie na lotnisku. Zapytałam jak załatwił pieniądze na przylot. Powiedział, że zastawił ziemię – odda, gdy sprzeda ostatni samochód. W ten oto sposób wydał część ostatnich, niezarobionych jeszcze przez niego pieniędzy. Pogodziłam się już z tym wszystkim, więc nawet się za bardzo nie zdenerwowałam. Bardziej się niepokoiłam tym, czy faktycznie przyjedzie. Bo to będzie oznaczało, że mnie kocha i pomimo wszystkich trudności robi wszystko, by do nas wrócić. Oczywiście, że martwiłam się, co dalej, ale on mnie wcześniej uspokajał: – Inga, ja żyję! Wciąż żyję! Mam dwie ręce. Nie pozwolę nam zginąć.

Wierzyłam mu, bardzo chciałam mu wierzyć.

Przyleciał. Gdy tylko mógł, zadzwonił do mnie z lotniska. Uff. Poczulałam ogromną ulgę. Już po wszystkim. Wrócił z tego okrutnego kraju. Wrócił do mnie! Boże, dziękuję! Teraz już musi być dobrze. Jestem silna. Poradzę sobie. Poradzimy sobie jakoś razem. To tylko pieniądze. Ważne, że odzyskałam miłość. Moją wielką i, jak się okazuje, wzajemną miłość. Za dwa dni, kiedy skończę to zlecenie, wrócę do Warszawy i go zobaczę.

Gdy wsiadłam do pociągu, zastanawiałam się, jak to będzie się zobaczyć. Byłam pewna, że oszaleję z radości. On też się cieszył. Dzwonił kilkakrotnie, pytając, gdzie jestem. Bardzo był ciekaw, czy mam już duży brzusek. Tak. Zaczynał się rysować. Ja już go widziałam, ale postronne osoby jeszcze nie mogły go widzieć. Ciekawe, czy on zobaczy? Całą drogę czułam radość i ogromną ekscytację. Zaraz go zobaczę!

Pociąg zatrzymał się na peronie. Z bijącym sercem wysiadłam, dźwigając średniej wielkości torbę, ale nie zobaczyłam Martina. Miał być i czekać na

mnie. Gdzie jest? Wyciągnęłam telefon.

– Gdzie jesteś?

– Już pędzę. Nie działają schody z jednej strony, pędzę na drugą.

– To z której strony będziesz?

– Z tej.

– Z której?

– Z tej! Macham do ciebie! Widzę cię! Tu! Na schodach!

Odwróciłam się w stronę schodów i zobaczyłam go. Wszystko, co sobie wyobrażałam na temat tej chwili, znikło. Był jakiś taki... brzydki. Radosny, uśmiechnięty i wyraźnie szczęśliwy, że mnie widzi, ale dla mnie to nie był ten Martin, którego pożegnałam na lotnisku. Nie było już tamtego mężczyzny. Gdzie się podział? Nie wiem, chyba odszedł razem z tymi wszystkimi emocjami i wydarzeniami, mającymi miejsce podczas jego pobytu w Afryce. Kim więc jest ten mężczyzna, który biegnie do mnie? Jeszcze nie wiem.

Uściskał mnie mocno, gdy tylko do mnie dobiegł. Wziął walizkę i pocałował tak, jak kiedyś to robił, nie pytając i obezwładniając, biorąc jak swoją własność. Krępował mnie ten pocałunek. Odczuwałam zażenowanie bliskością. Ruszyliśmy do samochodu. Gdy wsiedliśmy do środka, nie byłam w stanie patrzeć na niego. Odwracałam wciąż głowę w drugą stronę, spoglądając przez okno, jakbym pierwszy raz była w Warszawie.

– Inga, co się dzieje? Dlaczego tak tam patrzysz?

– Oglądam.

– Nie możesz patrzeć na mnie? – wyczuł moją trudność.

– Mogę, ale jakoś wolę patrzeć na zewnątrz.

– Ale co się dzieje? Nie cieszysz się, że jestem?

– Cieszę, ale muszę się chyba przyzwyczaić. – Nie wiem nawet czy skłamałam, czy mówiłam prawdę. Cieszyłam się dopóki go nie zobaczyłam. Później nie wiedziałam czy się cieszę. Nie byłam pewna, kim jest ten mężczyzna, który siedział ze mną w samochodzie i który trzymał moją dłoń. To nie był Martin, którego kochałam. Czy ja będę potrafiła kochać tego mężczyznę? – zastanawiałam się.

Gdy wróciliśmy, powiedziałam, że jestem zmęczona i chcę wziąć kąpiel

po podróży, choć prawda była taka, że chciałam uciec. Zamknęłam się w łazience i płakałam blisko godzinę. To nie był zwykły płacz. To był rozpaczliwy ryk uwolnionych emocji. Musiałam zatykać sobie dłońią usta, by Martin nie słyszał. Do dziś nie wiem, co się wtedy stało, bo te emocje nie miały początku w racjonalnym myśleniu, w głowie – ponieważ już było po wszystkim, wrócił – ale w całości popłynęły z serca.

– Inga, nie jest ci trochę zimno?

– W sumie wiatr jest trochę chłodny.

– Co ty na to, że cię stąd zabiorę?

– Zabierzesz? Gdzie?

– Tu niedaleko jest mała restauracja, otwarta do ostatniego gościa, czasem nawet do rana.

– Pewnie nie jest tam tak pięknie jak tu, ale faktycznie wolałabym się nie przeziębnić. Chodźmy.

Dawid podał jej rękę, by było jej wygodnie wstać. Zabrała torebkę i ruszyła o dwa kroki przed nim.

– Inga! – nieco przyciszonym głosem zawołał Dawid, chwytając ją za rękę.

Zatrzymała się i odwróciła w jego stronę.

– Inga, mogę cię objąć? – zaproponował, jakby zawstydzony. – Będzie ci cieplej.

– Wolałabym chyba nie.

– To weź mnie chociaż pod rękę, hm...

Patrzyła chwilę na niego, jakby badając, jakie ma intencje. Niczego złego w nich nie znalazła.

– Okej. Czemu nie. Chodź. – Wsunęła swoją rękę pod jego, już do tego przygotowaną. Nawet pozwoliła sobie na to, by przyłgnąć do niego lewą częścią swojego ciała. Obojgu od razu zrobiło się cieplej, a co ważniejsze, przyjemniej.

Szli tak kilkanaście minut bez wymiany słów. Oboje zamyśleni, jakby w dwóch różnych światach, ale oboje wdzięczni za wzajemną bliskość.

– Wiesz... – odezwał się w końcu Dawid. – Jesteś bardzo dzielna.

– Dziękuję. Ale jeżeli chodzi ci o tamte wydarzenia...

– Tak, o tamte – przerwał jej.

– ...to wtedy wcale tak o sobie nie myślałam – dokończyła. – Nie mogłam na siebie patrzeć, nie mogłam znieść tej huśtawki emocjonalnej, której doświadczałam.

– Dobrze sobie radziłaś.

– Jesteś miły. Wiem, że starasz się być taki dla mnie, ale obiektywna prawda jest taka, że się kompletnie pogubiłam. Od czasu jego przyjazdu, żyłam w pomieszaniu. Nie byłam w stanie rozpoznać, gdzie zaczyna się prawda, a gdzie kończy kłamstwo, niełatwo mi było określić, co dobre, a co złe. Słowa, takie jak: „właściwe” i „nie dobre” stały się abstrakcyjne. Choć walczyłam o normalność każdego dnia, przepadłam. Wpadłam jak przysłowiowa śliwka w kompot, który wysysa z niej cały cukier i wszelkie soki. Byłam jakby maszyną, mającą jeden cel – przetrwać dla dziecka. Dla maleńkiej miłości, która rosła wtedy w moim brzuchu. Wiem, że pewnie trudno ci w to uwierzyć, ale ja naprawdę nie umiałam nazywać rzeczywistości. Chyba dlatego, że tak bardzo pragnęłam, by była inna. Nie chciałam za nic uwierzyć w to, co się w moim życiu działo. Dziś się wstydzę, że taka byłam, ale wtedy nie umiałam być inna.

– A co się działo? Martin znalazł sposób na wasze życie?

– Tak. Martin znalazł sposób na życie... Chyba niezły – dodała po chwili.

– Poczekaj. To już tu. – Dawid pokazał jej małe drzwi z niewielkim neonem z boku. – Wejdzimy i zobaczymy, czy ci się spodoba. Jeśli tak, to zamówimy coś i opowiesz, co było dalej.

– Jesteś naprawdę ciekaw?

– O! Z każdą minutą coraz bardziej.

Złapał ją za obie ręce i popatrzył w oczy, mówiąc:

– Jesteś naprawdę dzielna i bardzo chcę wiedzieć, jak twoje życie potoczyło się dalej.

– Dobrze, zaraz opowiem. Zobaczymy, czy zmienisz zdanie...

– Zobaczymy – zaśmiał się Dawid. – Może...

Miejsce okazało się bardzo przeciętne, zwłaszcza w porównaniu z

widokiem tam, nad Wisłą, ale faktycznie nie było tu nawet śladu po wietrze, który na zewnątrz wznosił się z każdą chwilą. Inga zdecydowała, że mogą zostać. Zamówili po kolejnym drinku i usiedli w rogu sali, który, na szczęście dla tej pary, omijali dziś goście. Dla nich natomiast to było idealne miejsce, bo dawało intymność i możliwość swobodnego kontynuowania opowieści.

– Wciąż twierdząc, że nie mam pieniędzy, pytałam Martina o plany na przyszłość. Co teraz?

Odpowiedział:

– Dzwoniłem z Afryki do Adiego, który jest w Szwajcarii. Czeka tam na mnie. Gdy tylko dam mu znak, załatwi mi pracę. Będę daleko, ale będę zarabiał pieniądze dla was i dla mojej rodziny w Afryce. Ale wolałbym inną opcję, bo więcej pieniędzy zarobiłbym na Wyspach, jednak by tam pojechać, potrzebuję wizy. Trudno o nią obywatelom mojego kraju. Załatwię więc sobie obywatelstwo polskie i wyjadę wtedy bez wizy jak Polacy.

– A to tak łatwo załatwić?

– Nie, ale ja przyjechałem tu grać w piłkę, nie zostawię mnie na lodzie, dostanę.

– Ile trzeba czekać na obywatelstwo?

– Rok, może dwa.

– Żartujesz? Przez rok czy dwa dawno umrzemy z głodu.

– Dlatego w międzyczasie będę jeździł do Szwajcarii. Nie martw się, Inga, nie pozwolę nam zginąć.

– Kiedy planujesz wyjazd do Szwajcarii?

– Jak najszybciej, ale od kilku dni nie mogę się skontaktować z Adim.

– Może on nie chce, byś przyjechał.

– Co? Nie! Nigdy! Nie znasz czarnych mężczyzn. Nie wiesz, co znaczy czarna przyjaźń. Nigdy by mnie nie zdradził. Coś się musiało stać i za kilka dni oddzwoni. Może ktoś ukradł mu telefon? Nie wiem. Wiem natomiast, że gdy tylko się odezwie, jadę.

Znaleźliśmy urząd, w którym składa się wniosek o obywatelstwo. A dokładniej, ja go znalazłam. Przystudiowałam wszystko: gdzie, do kogo napisać, co załączyć oraz ile trzeba zapłacić za złożenie tego wniosku. On

czekał na gotowe, a tego dnia, gdy przyszedliśmy pierwszy raz do urzędu, zdecydował, że wejdzie sam. Pytałam, dlaczego nie chce, bym mu pomogła. Odpowiedział, że mu wstyd. Zaaprobowałam to.

Dostał czysty formularz, urzędnik napisał mu punkt po punkcie, co załatwić i dołączyć. Gdy przyjechaliśmy do domu, poprosił mnie o wypełnienie wniosku, ponieważ nie znał polskiego. Oczywiście, to nie był problem, zawsze chętnie mu pomagałam w takich sprawach, ale tego dnia czynność ta stała się bardzo trudna.

We wniosku było do wpisania bardzo dużo informacji. W końcu formularz ma blisko dziesięć stron. Doszliśmy do żony.

– Wpisz Elizę.

– Oszalałeś!? Jak to? Ona nie jest już twoją żoną.

– Wiem, ale oni tego nie sprawdzają.

– Nieprawda! Wszystko dokładnie sprawdzają. Wiem, bo czytałam.

– Inga, ja wiem, że nie sprawdzają.

– Sprawdzają, to nie twój kraj. Tu wszystko dokładnie sprawdzają.

– Nie obrażaj mnie. Moi znajomi już składali takie wnioski i wiem, że nie sprawdzają.

– Martin, nie mogę tak skłamać. Będziesz miał kłopoty.

– Pisz. To mój wniosek. I jakby co, to ja będę miał kłopoty.

– Ale jesteśmy razem. Jak ty będziesz miał kłopoty, to i ja je będę miała.

– Nie będziesz! Nie jesteś moją żoną. Jesteś dla mnie obcą kobietą.

Zabolało.

– Naprawdę tak uważasz?

Popatrzył na mnie wzrokiem, który pamiętałam z pierwszego spotkania. Niemal zadrżałam pod jego ciężarem.

– Nie. Nie uważam. Prosiłem cię, byś za mnie wyszła. Wtedy nie byłoby takich problemów. Wyjdiesz za mnie?

– Nie – odparłam bez namysłu. Każda kobieta identycznie odpowiedziałaby na takie oświadczenia.

– Widzisz?! To nie dyskutuj tylko pisz tam kłamstwa. Nie mamy innego wyjścia.

Napisałam.

Cała ta sytuacja sprowokowała go do wyznań. Zresztą musiał o tym powiedzieć, bo do wniosku trzeba było dołączyć akty chrztu i ślubu, które miał przy sobie. A ja umiem czytać daty. Takie szczegóły rzadko uchodzą mojej uwadze.

– Skoro mamy być razem, chcę ci jeszcze coś powiedzieć. Eliza nie była moją pierwszą żoną.

– Co? – Poczułam znów to nieprzyjemne uderzenie obezwładniającej i wbijającej mocniej w krzesło fali gorąca.

– Tak. – Złapał mnie za rękę. – Posłuchaj mnie dobrze. Nie skłamałem, bo tylko Eliza była moją prawdziwą żoną.

– Co to znaczy?

– Gdy skończył mi się kontrakt piłkarski, potrzebowałem jakichś dokumentów, by zostać w Polsce. Mój manager znalazł Monikę – dziewczynę, która potrzebowała pieniędzy i zgodziła się wyjść za mnie. Nie znałem jej. Nie podobała mi się. Była tak naprawdę brzydka, ale potrzebowałem żony i wzięliśmy ślub.

– Ale mówiłeś, że zaraz po przyjeździe poznałeś Elizę i byłeś z nią.

– Tak. Ona wiedziała o wszystkim, ale była niepełnoletnia i nie mogłem się z nią ożenić.

– Ale później się ożeniłeś?

– Tak wzięłem rozwód z Moniką i ożeniłem z Elizą.

– Kiedy?

– Dawno.

– Kiedy? – uświadomiłam sobie, że ma kartę pobytu na wiele lat do przodu. To musiało być niedawno.

– Trzy lata temu.

– Mówiłeś, że byłeś z Elizą jedenaście lat!

– Tak. Tyle byłem! Byliśmy razem, na początku bez ślubu. To nie było dla nas łatwe, bo musieliśmy na każdym kroku uważać. Przy obcych ona mówiła, że ma na imię Monika. Gdy urzędnicy pytali, mówiła, że jest moją żoną i musiała być w tym bardzo ostrożna. Gdy przyjechali z „imigracyjnego” potrafili pytać o wszystko, nawet jakiego koloru mam dziś majtki i jaką ona lubi bieliznę. Mimo to kochała mnie i pomagała mi zawsze.

Gdyby mnie nie zdradziła, dotąd bylibyśmy szczęśliwi.

Ups. Drugi raz zabolalo. Trochę tak jakby ktoś zniecka wbił mi mały sztylet, tuż obok serca.

– Martin, dlaczego od samego początku chcesz się ze mną ożenić? Do czegoś jest ci to małżeństwo potrzebne? Czy ty mnie w ogóle kochasz?

– Inga! To przeszłość. Ciebie kocham jak nikogo dotąd. Zaufaj mi w końcu. Mało ci dałem dowodów miłości? Jestem wobec ciebie maksymalnie szczery. Ryzykuję, mówiąc ci prawdę. Czy to nie jest kolejny dowód?

– Odpowiedz, proszę.

– Nie. Nie potrzebuję małżeństwa z tobą do niczego. Chcę tego tylko z miłości. Mam wszystko, czego mi trzeba w Polsce. Chodzi tylko o ciebie. Zła jesteś, że nie mówiłem ci dotąd o Monice?

– Tak.

– Bałem się na początku. Nie znałem cię dobrze. Wiesz, że to delikatna sprawa, a później zapomniałem. Przypomniałem sobie dzisiaj. Wierzysz mi?

– Okej. Wypełnijmy dalej. Dzieci – Sara...

– Wpisz: „Brak”.

– Jak to? A Sara?

– Formalnie nie jest moim dzieckiem.

Trzeci kamień. Znow ból. Tym razem strach o moje dziecko wydzierał się z trzewi.

– Słucham? Przecież...

– Mówiłem ci, że Eliza była niepełnoletnia i nie mogła wyjść za mnie. Miałem ślub z Moniką. Jak mogłem iść do urzędu i zarejestrować Sarę?

– A ze mną pójdziesz? Zarejestrujesz nasze dziecko jako swoje?

– A jak myślisz?

– Nie mam pojęcia. Odpowiedz!

– Oczywiście, Inga. Kocham je nad życie!

– Dlaczego nie przysposobiłeś Sary, gdy już byliście małżeństwem?

– Jakoś tak. Nigdy nie było na to czasu.

– Na dziecko nie było czasu?

– Mówiłem ci, że miałem firmę. Jeździłem między Afryką a Polską.

– Ale to tylko jeden dzień, a właściwie kilka godzin!

– Inga, nie męcz mnie! Nie wiem dlaczego! Żałuję tego bardzo, bo teraz nie mogę decydować o życiu mojej córki. Eliza powiedziała mi kilka dni temu, że może wyjedzie za granicę na stałe. Do Kanady. Zabierze moje dziecko i nigdy jej nie zobaczę. Czy ty wiesz jak ja przez to cierpię?! Nie mogę jej tego zabronić. Nie mogę obronić mojej miłości. Nie wiem, czy będę potrafił żyć. Jeszcze ty mnie tymi swoimi oskarżeniami dobijasz. – Z oczu Martina popłynęły łzy smutku. – Może lepiej będzie, jeśli poproszę kogoś innego o wypełnienie tego wniosku.

– Skończę. Już mało zostało, ale już więcej nie chcę do tego przykładąć ręki.

– Została jeszcze jedna sprawa.

– Co? Coś jeszcze? – przygotowałam się na kolejny cios.

– Pieniądze.

– Co znów z nimi?

– Muszę opłacić wniosek, a nie mam skąd wziąć pieniędzy. Dasz mi?

Wiesz, że nie mam ani grosza. Straciłem wszystkie swoje pieniądze.

– Moje pieniądze – rzuciłam – i nie mam więcej.

– To pożycz, proszę. Obywatelstwo polskie to olbrzymia szansa dla nas i dla naszego dziecka. Muszę poprosić jeszcze Elizę, by dała mi dowód i wzięła zaświadczenie o zatrudnieniu do wniosku. Rozmawiałem z nią i obiecała, że mi pomoże, jeżeli dam Sarze pieniądze, które dawałem jej zawsze co miesiąc.

– Co?

– Muszę je mieć. To dla nas szansa na dobre życie.

Faktycznie, nie miał pieniędzy, bo wrócił z kilkoma ciuchami w mojej walizce. Nie przywiózł stamtąd niczego. Nawet jednego symbolicznego koralika dla mnie. Nic. Miał jakieś drobne na telefony do Afryki, coca-colę i ciastka, ale najwyraźniej już mu się skończyły, bo nawet coli do domu nie przynosił.

– Nie mam – odpowiedziałam, ale swoim dotychczasowym zachowaniem już go nauczyłam, że to nie jest prawda. Nigdy nie byłam dobra w okłamywaniu. Już w sierpniu pisałam mu, że nie mam pieniędzy na czynsz i że muszę oddać te, które pożyczyłam. On mi ich oczywiście nie dał, a żyłam.

Znalazły się pieniądze na kolejne czynsze. Miałam na życie i na lekarza, do którego co miesiąc chodziłam, choć Martin nie rozumiał, po co. Tak dawno skończyły mi się pieniądze, a żyliśmy. Cudowne rozmnożenie!

Czekał. Cierpliwie czekał, pytając mnie od czasu do czasu, co będzie i mówiąc, że czas ucieka, aż zmięklam. Bałam się, że zabieram nam szansę na dobre życie. Nie chciałam być winna. A on z pewnością by mi to wypomniał.

Złożył wniosek. Teraz pozostało nam tylko czekać. Tymczasem Adi wciąż się nie odzywał. By nie tracić czasu, pisaliśmy CV i słaliśmy do firm, które organizowały pracę tymczasową i stałą za granicą. Martin wciąż spotykał się z kolegami, którzy mogli mu załatwić jakąś robotę.

Któregoś dnia znalazł profil Adiego na Facebooku. Napisał wiadomość: „Adi, stary, gdzie jesteś????????????!!!!!! Zadzwoń”. Ilość wykrzykników wskazywała na jego rozpaczliwe poszukiwanie kontaktu.

- Wciąż się nie odzywa?
- Nie.
- Martwisz się?
- Bardzo.
- Co się mogło stać?
- Myślę, że jest w więzieniu.
- Co? Dlaczego? O czym ty mówisz?
- Chyba tak. Wyjdzie za trzy miesiące.
- Skąd takie przekonanie?! Martin, co ty opowiadasz?
- Wiesz, co robiłem w Szwajcarii?
- Co?
- Sprzedawałem narkotyki.
- Powtórz – pomyślałam, że po prostu nie rozumiałam po angielsku.
- Sprzedawałem narkotyki. On to cały czas robi. Chciałem wrócić do

tęgo teraz, ale on chyba wpadł. Wypuszczą go po trzech miesiącach. Inga, jesteś kobietą mojego życia. Ocaliłaś mnie przed więzieniem wtedy, gdy nie puściłaś mnie do Szwajcarii. Będę ci dogonnie wdzięczny. Zapamiętaj to.

Usłyszałam końcówkę słów, ale nie rozumiałam ich sensu. Łzy napłynęły mi do oczu. Musiałam wyjść do drugiego pokoju. Ja, kobieta, która nawet nie umie przejechać autobusem jednego przystanku bez biletu, spałam z facetem,

który sprzedawał narkotyki. Ten facet jest ojcem mojego dziecka. Nie wolno mu się do niego zbliżyć! Muszę chronić przed nim moje maleństwo. Muszę uciekać z tej relacji. Inga, uciekaj! Jak najdalej! To nie jest dla nas dobre. Już dawno powinnaś o tym wiedzieć – mówiłam sobie.

Musiałam bardzo poważnie przemyśleć, co jest dobre dla mnie i mojego maleństwa, które już zaczynało brykać w lekko zarysowującym się brzuszku. Niełatwo jest podjąć decyzję co wybrać: życie dziecka bez ojca czy życie z takim ojcem. To pierwsze bez połowy miłości, a drugie niebezpieczne. Co wybrać? Cały dzień toczyłam kolejną walkę w myślach. Martin podarował mi na to dużo czasu, bo na początku rozmawiał przez telefon przez kilka godzin, a później gdzieś pojechał.

Gdy wrócił, byłam pewna.

– Martin, chcę, byś się wyprowadził.

– Co? Oszalałaś. Gdzie mam pójść tak nagle? Co mam ze sobą zrobić?

– Nie interesuje mnie to już. Dałam ci szansę, nie wykorzystałaś jej.

Teraz już wiem, że nie chcę takiego życia dla siebie, a przede wszystkim – dla mojego dziecka.

– Ale to jest też moje dziecko.

– Wiem i to jest dla mnie potwornie trudne, ale jakoś dotąd nie zrobiłaś niczego, by być ojcem. Przeciwnie, narażasz nas na niebezpieczeństwo. Jak tak dalej pójdzie, żyjąc z tobą, nie będę miała pieniędzy nawet do końca ciąży, a co dopiero później. Poza tym nie chcę, by moje dziecko wychowywał handlarz narkotyków.

– Czuję, że nie mogę ci tego powiedzieć. Jesteś wariatką, która nie potrafi kochać. Widzisz? Jak mam być wobec ciebie szczerzy, jeśli ty mi później wycinasz takie numery. To twoje ostatnie słowo?

– Tak!

– W porządku. Wyprowadzę się, gdy znajdę jakieś miejsce do zamieszkania.

– Kiedy?

– Nie wiem! Jak je znajdę. Może za tydzień, może za dwa.

– Nie, Martin. Chcę byś wyprowadził się jutro.

– Dlaczego?

– Choćby dlatego, że to mój dom. Dlatego, że jestem w ciąży i potrzebuję spokoju. Mam dość tych codziennych salw emocji.

– Bardzo dobrze, Inga! Mam tego dość! Ciągle tylko: „Mój dom! Moje pieniądze!”. Wciąż mi mówisz, że niczego nie mam! Kto by to zniósł! Nie dziwię się, że twój mąż z tobą nie wytrzymał i cię zdradzał! Kim ty jesteś? Nikim! Z Elizą byłem szczęśliwy, a z tobą nawet jednego dnia! Ona mi nigdy niczego nie wypomniała!

– Przestań! – Czułam jak bardzo ranią jego słowa. Chciałam być silna, ale łzy znów zalały twarz słonym strumieniem. Moje policzki płonęły wstydem, że okazuję słabość. Inga przestań! Na litość boską, przestań! Nie dawaj mu tej satysfakcji – błagałam siebie samą. Nic z tego. Pękłam. Znów się rozplakałam jak mała, bezbronna dziewczynka.

– Popatrz na siebie, jak ty wyglądasz? Taka zaryczana. Mam dość twoich łez! Nie mogę na ciebie patrzeć.

Nie mogłam znieść więcej tej ilości wylewanej żółci, od której aż się ciemno zrobiło w pokoju. Próbowałam precyzyjnie się obok niego, by uciec do drugiego pomieszczenia. Złapał mnie wtedy za ramiona i wziął zamach, by uderzyć, ale puścił mnie, zanim to zrobił, uderzając jednocześnie mocno pięścią w ścianę, tuż obok mnie. Uciekłam. On dał ostateczny upust emocjom, kopiąc w stojącą w przedpokoju prasowalnicę i robiąc w jej siatce dziurę na wylot.

Po kilku minutach, już z drugiego pokoju, słyszałam, że wszystko ucichło. Wyciągnął po chwili telefon i dzwonił. Trwało to ze dwie godziny. Zdołałam się już uspokoić, gdy wpadł do pokoju, w którym byłam.

– Inga...

– Nie chcę z tobą rozmawiać.

– Ale Inga...

Zachowałam się jak dziecko, nie będąc w stanie znieść jego obecności i zamknęłam się w łazience. Słaba kryjówka, bo drzwi do niej można było z łatwością otworzyć z zewnątrz. Jednak udało się. Dał mi spokój do rana. Gdy tylko poczułam, że mogę wrócić do pokoju, tam się zamknęłam na klucz i, już bezpieczna, mogłam zasnąć ze zmęczenia.

Obudził mnie o szóstej. Zapukał, a gdy nie otwierałam, zapytał:

– Inga, czy mogę wziąć twój samochód?

– Nie. Jest mi potrzebny – zawołałam przez drzwi. Faktycznie, miałam jechać tego dnia do ginekologa.

– No tak. Tego też mi zabronisz?! Wszystko jest twoje. Tak?!

Nie skomentowałam. Cóż miałam komentować? Wszystko było moje, ale on najwyraźniej tego nie rozumiał, bo mimo że samochód był mi potrzebny, zabrał kluczyki i pojechał. Po co pytał? Cały Martin.

Wrócił po południu. Przywiózł kwiaty. Tulipany. Nie wiem skąd je wziął o tej porze roku. Myślałam, że kwitną tylko wiosną.

– Inga, przepraszam cię za każde moje słowo. Ja wychowywałem się z czterema siostrami i wiem jak mówić, by ranić. Nie myślę wcale tak, jak mówiłem. Wybacz mi. A te narkotyki to historia. Jeśli chcesz, przysięgnę na ciało mojego zmarłego ojca, że już nigdy więcej ich nie dotknę. Dla ciebie zrobię wszystko. Chcę żyć dla ciebie i mojego dziecka. – Zalał się łzami. – Nie zabieraj mi mojego drugiego dziecka. Jednego już prawie nie mam. Ja bez tej dwójki nie przeżyję. Przysięgam na wszystko co najświętsze, że już nie mam żadnych tajemnic. Wybacz mi. Te narkotyki to był błąd. To bezsilność. Ty nie wiesz jak ciężko jest czarnemu wśród białych. Nie widziałem innego wyjścia. Czy ty nigdy niczego złego nie zrobiłaś? Inga! Mówisz, że kochasz Boga i chodzisz do kościoła co niedzielę. Czyż nasz Bóg nie każe wybaczać? Błagam cię o przebaczenie, Inga. Moja jedyna miłości. Moja żono. Jeżeli kochasz swoje dziecko, nie zabieraj mu ojca. Czyż ono nie zasługuje na to, by mieć ojca? Kocham je nad życie...

Słuchałam tych słów na początku z dystansem, ale z każdą jego łzą miękłam. Za każdym razem, gdy uderzył w nowy ton, moje lody tajały. Patrzyłam na niego i czułam, że nawet najgorszy człowiek zasługuje na szansę. A ten tu jest ponadto ojcem mojego dziecka.

Za godzinę miałam wizytę u ginekologa i zamierzałam za chwilę dzwonić po taksówkę. Nie komentowałam tego, co mówił. Zapytałam: – Pojedziesz ze mną do ginekologa? Mam wizytę.

– Pojadę choćby na koniec świata.

Z bijącym sercem i przerażeniem czekałam na moją kolej u lekarza. Za każdym razem potwornie się bałam, że przez te dziesiątki zastrzyków, przez

nerwy może się źle rozwijać. Wszędzie dookoła słyszałam, że dziecko potrzebuje spokoju, miłości, relaksu i, broń Boże, nie niepokoju, że to tajny zabójca dla maleństwa. A co my mu robiliśmy?! Ciągłe jazdy. Ciągły stres! Ono wszystko słyszało. Tak... Dziecko ponoć słyszy głosy z zewnątrz i uczy się ich. Czego moje się uczyło?! Że życie to ciągły kocioł? Dziecko czuje i dzieli z mamą każdą jej emocję – nasze przeżyło już tyle strachu, złości i nerwów. Nie. Nie byłam z tego powodu zła wyłącznie na Martina. Miałam pretensje do siebie. Ja powinnam być ponad wszystko! Panować nad stresem. Ja byłam matką. Co ze mnie za matka?! Tuliłam moją kropeczkę. Głaskałam. Maleństwo podobno czuje ciepło matczynej dłoni. Śpiewałam mu. Powtarzałam każdego ranka, że kocham. Delikatnie tańczyłam z nim kizombę, bachatę i reggaeton – wersję bardzo, bardzo *light*. Gdy tylko się obudziło, bo matka czuje, gdy dziecko śpi w jej łonie, mówiłam: „Dzień dobry, kochanie. Mamusia zadba dla nas o piękny dzień”. I tego pragnęłam, ale każdy niemal dzień przynosił rozczarowanie, łzy i stres. Nie potrafiłam nad tym zapanować. Chyba niemałą rolę odegrały buzujące hormony. Sprawiały, że już z błahego powodu leciały mi łzy. Nie umiałam się opanować, choć pragnęłam tego z całych sił. Nie wiem czy jakakolwiek kobieta potrafiłaby być ponad to wszystko. Ja w każdym razie nie zdołałam. Pogubiłam się całkowicie.

Tymczasem przyszła moja kolej. Diagnoza:

– Pani Ingo, dziecko rozwija się prześlicznie! – Jak dobrze to słyszeć! – Jest bardzo ruchliwe i nie można za nim nadążyć, by zobaczyć, jak wygląda i pomierzyć. Taki mały świderk. Ale może mi się uda.

– To będzie chyba mały sportowiec – skomentowałam.

– Albo tancerka – zaśmiał się lekarz.

– Tancerka? Wydawało mi się, że to chłopiec?! – odpowiedziałam, wyraźnie stawiając na końcu znak zapytania.

– Oj, chyba nie. Według mnie to dziewczynka. Nie mam pewności, bo nie chce pokazać tego, co skrywa między nóżkami, ale moje doświadczenie, a jest niemałe, mówi mi, że to będzie tancerka – spuentował wyraźnie z siebie zadowolony doktor.

To dziwne, ale pomimo iż na samym początku, trochę na odczepne,

palnęłam Martinowi, że to chłopak, to w tamtym momencie poczułam każdą dosłownie komórką swojego ciała: „To dziewczynka!”. Tak. Byłam pewna, że to ona. To najpiękniejszy prezent, jaki mogłam dostać. To dziewczynka! Czuję całą sobą, że to prawda i byłam niezmiernie szczęśliwa.

Dziewczynka. Oczywiście, gdyby to był chłopak, też bym była. Ale to nie o to chodziło, a o uczucie pewności, że to ona. To tak jakbyśmy od tej sekundy znały się jeszcze bardziej i bliżej.

– O! Niech pani popatrzy na monitor! – zawołał doktor.

Cały czas patrzyłam. Teraz jednak zobaczyłam bardzo wyraźnie rozczapierzoną rączkę mojej maleńkiej córeczki w takim geście, jakby mi machała nią z brzuszka. „Tak. To ja. Mamo!”

Jak na skrzydłach wybiegłam z gabinetu, zbiegłam na dół do samochodu, gdzie czekał Martin.

– Martin, to dziewczynka!

– Alleluja! Jesteś pewna?

– Nie. Ale jestem pewna. To znaczy lekarz nie powiedział tego ze stuprocentową pewnością, ale tak podejrzewa, a ja jestem przeświadczona, że to ona.

– Alleluja! – powtórzył. – Informa!

– Co to znaczy?

– Dobra nowina. Zdrobniale – Ifi. Tak ma na imię nasze dziecko.

Dziękuję, dziękuję ci za ten prezent. Bardzo pragnęłam córki.

– Naprawdę? – nieco ochłonęłam. – Myślałam, że wolisz syna. Masz już przecież córkę.

– Nie szkodzi. Wolę córkę.

– Dlaczego?

– Bo dziewczynki są fajniejsze.

– Dziwne. Każdy facet, który ma córkę, chciałby syna.

– Ale ja nie jestem każdy. Następnym razem będzie już może wiadomo na sto procent czy to dziewczyna? Jak myślisz?

– Możliwe. Ale ona jest bardzo ruchliwa i ciężko sprawdzić.

– Po tatusiu ma temperament!

Oby nie – pomyślałam w duchu, ale nie chciałam zakłócać tego dnia. Był

zbyt piękny. Moje dziecko jest zdrowe mimo tylu nerwów i do tego to dziewczynka. Moja kruszyna. Moja miłość.

Kolejne tygodnie minęły bez zmian. Adi na szczęście się nie odzywał. Wniosek o obywatelstwo leżał gdzieś na biurku. Martin jeździł i szukał jakiejś pracy dla siebie trochę jak wiatru w polu, bo mimo upływu czasu nie przynosił dobrych wieści. Miałam mnóstwo czasu, by cieszyć się tym, co działo się w moim brzuchu. Spędzałam godziny na nasłuchiowaniu, co robi moja mała i na zabawach z nią. Pukałam tam, gdzie pojawiał się ruch albo łapałam ją jakby za nóżkę, gdy dostałam małego kuksańca od wewnątrz. Kochałam te kopniaki i tęskniłam do jej ruchów, gdy zasypiała. Wtedy szukałam jakiegoś zajęcia, bo czas bardzo się dłużył. Najłatwiej odpalić Internet i posurfować w połykaczu czasu jakim jest Facebook. Od czasu, gdy wpadłam na stronę Pauline, zjrziałam tam zaledwie kilka razy, ale tego dnia podkuśiło mnie, by sprawdzić co u niej.

Znów zdjęcia dzieci. I znowu dzieci. Jakiś wpis o miłości do Chrystusa. O! I jej zdjęcie. Wcale nie była podobna do Martina ani do żadnej z jego siostr. No i ten styl. Najlepiej jakby się wszystko świeciło. Znałam to z Indii. Najbiedniejsze kasty ubrane były zawsze najbardziej kolorowo. Myślę, że im biedniejszy kraj, tym więcej kolorów, świecidełek, ozdób i odblasków w stroju. Nie. To nic złego, oczywiście! To tylko taka moja obserwacja. Zawsze byłam ciekawa świata. Zastanawiałam się, ile lat ma ta Pauline, wyglądała na dość młodą, ale chyba niewiele młodszą ode mnie. A może była całkiem młoda. Nie umiałam rozpoznać. Przewijałam kolejno nowe zdjęcia, przyglądając się jej, gdy nagle na jej ręce zobaczyłam mój zegarek. Martin miał go tanio naprawić w Afryce, bo od miesiący leżał w szufladzie, gdyż padł w nim jakiś mechanizm. Dlaczego ona ma mój zegarek? O matko! I srebrny wisiołek, który kiedyś dostałam od męża, a którego nie chciałam nosić i dałam Martinowi, bo powiedział, że może go dość korzystnie sprzedać. Dlaczego dał go jej? Coś we mnie huczało: „Inga, to nie jest jego siostra! Sprawdź! Sprawdź!” Zaczęłam nerwowo przeszukiwać zdjęcie po zdjęciu, komentarz po komentarzu, wpis po wpisie. Jest. Znalazłam. To był dowód, którego szukałam.

Wpis z października: „Tęsknię do mojego męża jak szalona! Znowu przyszło mi czekać na niego”, a pod nim komentarze: „On zaraz wróci”, „A

gdzie pojechał Oke, znów do Polski?” „Módl się, a czas szybko minie”.

Do Polski! Mąż! To nie mógł być zbieg okoliczności! To nie jego siostra! Byłam pewna, że żona. To było logiczne wytłumaczenie. Wyjaśniało też, dlaczego cieszył się, że nasze dziecko to dziewczynka, bo miał już trzech synów, a tylko dwie córki. To okrutne dla nas, ale wszystko tłumaczyło. Zawiózł im moje pieniądze. To duża rodzina. Bajki o matce i siostrze to bzdura. Zresztą może nie. Nie chciałam go oczerniać, ale to dokładnie tak wyglądało! Przypomniałam sobie poprzednie jej wpisy, że zna język polski, ten wpis już zresztą wtedy zniknął, albo że jej mąż był w Szwajcarii. To uzasadniało zdjęcie siostry Martina z podpisem wskazującym, iż to szwagierka. Nie. Nie jestem aż taką kretynką. Z tego się już nie wymiga – obiecywałam sobie. Uświadomiłam sobie, że to już nawet bardzo nie boli, chyba nauczyłam się, że wszystkiego można się po nim spodziewać. Uczucie, które zamieszkało w moim podbrzuszu, to był niepokój jak Martin zareaguje, gdy mu o tym powiem, czy znów się jakoś wykręci. Niepokój, czy potwierdzi w końcu, że tak sromotnie mnie oszukał. I nadzieja, głupia, ale olbrzymia, że jednak tak nie jest.

Gdy tylko wszedł, pozwoliłam mu się pocałować, ale nie odwzajemniłam pocałunku.

– Co jest? – zapytał. – Co się znów stało?

– Pauline...

– Co?

– Kim ona jest? Tylko mi nie mów, że siostrą, bo drugi raz w to nie uwierzę.

Wkurzył się. W jego oczach było widać ogromną złość, a potęgowały to wrażenie zaciśnięte zęby. Usiadł na krześle obok stołu. Zanurzył twarz w dłoniach i chwilę tak siedział. Byłam przekonana, że zaraz się przyzna, że usłyszę kolejną prawdę z jego życia, której ponoć już nie miał ukrywać. Tymczasem on podniósł twarz, ukazując mi po raz kolejny łyż, po czym spokojnie powiedział:

– Inga, ja już dłużej tego nie wytrzymam. Nie zniosę twojej podejrzliwości. Zaczynam się bać, gdy wracam do domu czy znów czegoś na mnie nie znajdziesz, czy znów o coś nie będziesz miała pretensji.

Trochę mnie zaskoczyła ta wypowiedź, bo stosunkowo rzadko coś znajdowałam. Zazwyczaj on sam opowiadał mi te rewelacje, które kładły się cieniem na naszym życiu. Fakt, często mówiłam o pieniądzach. Może o to mu chodzi? Ale dlaczego w tej sytuacji on mnie atakuje? Powinien się wytłumaczyć, a nie szarżować. Okej. Skoro ty tak do mnie, to ja stawiam tej szarży opór.

– Nie chcę słuchać tych wywodów. Powiedz, kim ona jest!

– Już ci mówiłem. To moja siostra. Ile razy mam jeszcze powtórzyć. S-I-O-S-T-R-A.

– Nie. Nie wierzę.

– Coś ty tam znów znalazła?

– Ona ma mój zegarek i wisiorek.

– I co z tego? Gdy byłem w domu, znalazła w mojej torbie i zabrała. O wisiorku wiedziałem, a o zegarku nie miałem pojęcia. Szukałem go. Myślałem, że zgubiłem, ale się bałem przyznać, bo ty cały czas o tych pieniądzach mówisz, a to drogi zegarek.

– A co ze Szwajcarią? Dlaczego pisze, że jej mąż był w Szwajcarii i to wtedy, gdy ty tam byłeś?

– Bo jej mąż tam wtedy był. Nawet mieszkałem u niego przez pierwsze tygodnie.

– Dlaczego jej mąż ma na imię tak, jak twoja mama mówi do ciebie?

– Wiem, że mi w to nie uwierzysz, ale jej mąż ma na imię Okeczuczu, zdrobniale – Oke.

„Strzelał” do mnie z taką pewnością i bez sekundy nawet zastanowienia, że odebrał mi całą pewność siebie. Nie wierzyłam, ale nie miałam argumentów. Przypomniałam sobie wpis.

– A dlaczego tęskni do męża, który pojechał do Polski?

– Bo wszyscy tam myślą, że mu załatwiłem pracę w Polsce i że tu jeździ.

– A gdzie jest?

– No, dalej w Szwajcarii, ale nie chciał tam załatwić pracy swojemu kuzynowi i tak się skończyło. To tylko niewinne kłamstwo.

– Nie. Nie wierzę! Za dużo zbiegów okoliczności. Dlaczego ona ma nazwisko takie jak twoje imię albo nazwisko, bo ty sam już tego nie wiesz.

- Och, Inga. Muszę zdradzić ci moją ostatnią tajemnicę.
- Nie! Nie chcę żadnych tajemnic. Nie zniosę więcej!
- Uspokój się. Posłuchaj uważnie. Moje prawdziwe imię i nazwisko to Martin Nwauwa. Okebalama to coś w rodzaju patronimikum. Moja siostra zostawiła je sobie jako nazwisko. Ja po pierwszym kontrakcie musiałem wrócić do kraju. Straciłem wizę. Mój manager załatwił mi wtedy nowe papiery, bo byłem dobry, ale musiał mnie odmłodzić. Nie mogłem wrócić na tym samym nazwisku. Podałem mu wtedy patronimikum.
- To dlaczego twoja mama nie mówi do ciebie Martin, a Oke?
- Bo nie chcemy wpadki. Zawsze prosiłem, by pytała o Oke, gdy dzwoni, i tak zostało. To już mnóstwo lat, jak jestem w Polsce.
- A dlaczego Amogu?
- To popularne u nas imię.
- Ale Amogu to twoje nazwisko!
- A co to za różnica. W moim kraju nie ma różnicy czy to imię czy nazwisko.
- Ale w moim kraju jest! – krzyknęłam. – Po tylu latach mógłbyś się tego nauczyć! Ja oszaleję! Martin, nie wiem, kim ty jesteś! Nie wiem, czy teraz kłamiesz czy wcześniej skłamałeś! Oszaleję! Odejdź ode mnie, niech cię nie widzę.
- Inga, poczekaj. Udowodnię ci.
- Co mi udowodnisz? Ja już w nic ci nie uwierzę! Kim ty jesteś, człowieku?
- Twoim mężem i ojcem twojego dziecka.
- Nie przypominaj mi tego!
- Ale taka jest prawda. Ja wiem jak to wszystko wygląda i rozumiem, że jesteś zagubiona. Chodź. Udowodnię ci i cię uspokoję.
- Wyjął telefon i wybrał numer kobiety, którą miał zapisaną jako „Nnene”.
- Dał na głośnomówiący.
- Cześć, siostra.
- Cześć – usłyszałam radosny głos w słuchawce, a w tle bawiące się dzieci.
- Siostra, powiedz Indze, jakie jest twoje angielskie imię.

- Pauline.
- Gdzie jest twój mąż?
- W Szwajcarii.
- A jakie jest moje prawdziwe imię i nazwisko?

Cisza.

- Nie bój się. To Inga. Jej możemy ufać.
- Martin Nwauwa. Inga, co u ciebie?
- Dobrze.
- Niech cię Bóg błogosławi za to, że opiekujesz się moim bratem.

Kochamy cię tu wszyscy bardzo.

Poczułam, jak rozbolała mnie głowa. Miałam wrażenie, że oszaleję od natłoku myśli. Wyszłam. Martin jeszcze chwilę rozmawiał. Później przyszedł do mnie.

- Już mi w końcu ufasz?
- Nie. Nie ufam. Nie wiem nawet, co czuję i co myślę.
- Inga, zastanawiam się, jak długo jeszcze z tobą wytrzymam. Już nie daję rady pod naporem tych oskarżeń. To zbyt trudne życie. Jeśli się nie zmienisz, nie wiem, co z nami będzie.

On nie wytrzyma? On! To ja jestem już na skraju wytrzymałości. Nawet nie jestem pewna, czy mam na imię Inga, ale on miał najwyraźniej inne zdanie. Dziś on z tarczą, ja na tarczy. Obrażony wyszedł do drugiego pokoju, gdzie spędził noc. Co zresztą było mi bardzo na rękę.

Cóż. Pociąg zwany życiem po kilku dniach wrócił znów na znane tory. Martin widział, że nie mam zamiaru go przeproszać i zmienił taktykę. Przyszedł, by powiedzieć, że ciężko mu, gdy jesteśmy tak daleko od siebie. Był tak miły jak to on potrafił, gotował dla nas, sprzątał, przytulał, prawił komplementy, porywał do kizomby na naszym małym parkiecie w pokoju... Po prostu mnie kochał! Moje zagubione w lesie tych wszystkich niecodziennych wydarzeń serce, nasłuchujące głosów napływających z rozumu, że to nie jest czyste, i trwożące się o to, co dobre dla mnie, ale przede wszystkim dla mojego dziecka, zmiękło. Samoczynnie dało mu kolejną szansę. Postanowiłam, że dopóki nie mam dowodów na to, że Pauline jest jego żoną, nie będę o tym wspominać, nie będę robić z siebie głupka.

Zresztą, Martin nie omieszkał w międzyczasie wspomnieć, że cała jego rodzina się ze mnie z tego powodu śmieje. Gdy znajdę dowód, nie uda mu się zapędzić mnie w kozi róg, ale póki co go nie mam. Może się faktycznie wygłupiam.

Zarówno pociąg, jak i tory nie były już jednak takie jak dawniej, ja byłam jeszcze bardziej nieufna, ale pozwalałam życiu toczyć się dalej, z Martinem u boku.

Niedługo po tym zdarzeniu umarł jeden z najpiękniejszych ludzi jakich znałam. Mój dziadek. Wszyscy krzyczeli, że nie mogę w ciąży przyjeżdżać na pogrzeb, ale ja nie mogłam się z nim nie pożegnać. Prosiłam Martina, by mnie tam zawiózł, ale on nie chciał, jakby miał jakieś lepsze zajęcia. Przecież wciąż nic nie robił! Błagałam niemal, bo bałam się jechać tych kilkaset kilometrów w tak zaawansowanej ciąży sama. Nie. Nie. Nie. Tłumaczył mi, że on nie jeździ w Polsce na pogrzeby, bo boi się oglądać zmarłych. Znalazł zupełnie nieadekwatne według mnie wytłumaczenie, że gdy zmarła ciocia Elizy, jego żona też pojechała sama. Co mnie to do cholery mogło obchodzić?! Ja chciałam pożegnać mojego ukochanego dziadka. Człowieka o najbardziej radosnych oczach i najżywszym uśmiechu w całej mojej rodzinie. Przecież Martin też go uwielbiał... Nieraz pytał co u niego, z wielkim uśmiechem na wspomnienie o nim. Poznali się jakiś czas wcześniej, gdy wybraliśmy się do mojej rodziny, abym mogła przedstawić Martina. Zdawało mi się nawet, że go polubił.

Po kilku godzinach się jednak zgodził, stawiając mnie w pozycji swojego dłużnika.

Prowadziłam przez część drogi, a gdy się zmieniliśmy, zdrzemnąłam się. Kiedy się obudziłam, zobaczyłam, jak łzy spływają mu po policzkach.

- Co się stało?
- Jestem zmęczony.
- Czym? Prowadzeniem?
- Nie. Skądże. Życiem.

A to ci nowina. Ja czuję to samo od kilku długich miesięcy.

– Jak spałaś, myślałem, że gdybym zainwestował tamte pieniądze w jakiś mały sklep, na przykład z alkoholem, albo jeszcze lepiej z ciuchami

sportowymi, dziś nie mielibyśmy żadnych kłopotów i żylibyśmy jak królowie. Gdybym miał pieniądze na jakiś interes, choćby tam... na Bakalarskiej. To nie są kokosy, ale moi znajomi żyją z tego. Mają tu rodziny i dzieci i żyją na wysokim poziomie. Wszystko sprawdziłem. Tam jest mało stoisk z butami. Mój znajomy handluje spodniami, a ja mógłbym butami. Wiesz, nawet dwa dni temu zadzwonił do mnie Arenze i pytał, czy nie chcę jego budki, bo zapłacił kaucję, a wyjeżdża na Wyspy. Cholera! Wszyscy tam uciekają, a ja nie mam tego obywatelstwa. Gdybyś była moja żoną, pojechałabyś tam i wysłała mi zaproszenie. A tak, znów nici.

– Proszę cię, nie zaczynaj!

– Jak to?! Nie wiem, co mam robić. Ograniczasz mnie. Wiem, Adi się wciąż nie odzywa, ale mógłbym pojechać tam sam bez jego pomocy. Mam stare kontakty, dwa tygodnie w strefie dla imigrantów i dalej już z górki, ale ty nie pozwolisz mi sprzedawać narkotyków.

– Nawet o tym nie wspominaj! Jeden raz i nie zobaczysz ani mnie, ani dziecka!

– Widzisz? O tym mówię! Wiązesz mi ręce!

– Nie możesz robić czegoś legalnego?

– Ale co niby mógłbym robić, bez wykształcenia i doświadczenia, w kraju, gdzie się pluje w twarz czarnuchowi? Jedyne, co mnie ratuje to pieniądze na własny interes. Pytałem Elizę czy mi pożyczy, ale powiedziała, żebym pożyczył od swojej nowej dziewczyny. Widzisz, przez ciebie nawet ona mi nie chce pożyczyć. Chyba jest zazdrosna. Pożyczyłaby mi, gdybym był sam.

Wszystko to bardzo zaczynało boleć. Wzięłam głęboki oddech, położyłam dłonie na brzuchu, szepcząc: „Nie denerwuj się, maleńka, tata jest zrozpaczony, nie wie, co mówi”. Starłam się nie denerwować. A tata komentował:

– Widzisz, jak wiele poświęciłem dla ciebie? Nawet robię to, czego nigdy bym nie zrobił, jadę z tobą na pogrzeb. – Trochę mu wierzyłam, że to dla niego stres, bo kiedyś byliśmy na Powązkach i on ledwie panował nad strachem. Zabawnie było patrzeć jak dorosły facet chce przy każdej okazji uciekać z cmentarza. – A nawet nie jestem pewien, czy ty wciąż

kochasz. A może nigdy mnie nie kochałaś – kontynuował.

Gdybym mogła, to bym uciekła od tych słów gdzieś, gdzie panuje cisza, ale byłam zamknięta z nim w klatce mojego samochodu. Jedyne, co mogłam zrobić, to milczeć. Milczałam i on w końcu zamilkł.

Od tej pory wracał do tej rozmowy codziennie. Sprowokował mnie do myślenia co dalej. Co leżało na szali? Samotność i wychowywanie dziecka samej. W dodatku sytuacja, w której się znalazłam: szósty miesiąc ciąży, bez wypłaty, bo nie pracowałam w momencie, gdy zaszłam w ciążę, szybko topniejące oszczędności, między innymi z powodu ciągłych potrzeb Martina. Policzyłam, że wystarczy pieniędzy w wersji bardzo oszczędnej na trzy, może cztery miesiące po ciąży, ale bałam się, że to za krótko na znalezienie pracy, bo wiadomo jakie są w Polsce realia. Owszem, miałam duże doświadczenie, dobre wykształcenie i, zdaje się, byłam atrakcyjnym kandydatem na rynku pracy, ale nie mogłam wiedzieć jak będzie. Do tego dotąd nie uwzględniłam wyprawki dla dziecka w kalkulacjach. Nie miałam jeszcze nawet jednej pieluszki dla małej, a na Martina nie mogłam liczyć. Niestety, moja sytuacja rodzinna też nie dawała nadziei na jakąkolwiek pomoc. Panicznie potrzebowałam jakiegoś źródła dochodu. Z drugiej zaś strony szala, na której siedział Martin, gotowy do otwarcia small biznesu – wzorem swoich dobrze żyjących w Polsce kolegów – małego sklepiku z butami na Bakalarskiej. Tu byłby pod moim okiem. Nie ma mowy o nocnych napadach bandytów czy malarii. Gdyby coś się wydarzyło, ja mogłabym wkroczyć i przejąć kontrolę. Znam się na handlu, to część mojej przeszłości zawodowej. Z każdym dniem szala przechylała się na stronę Martina i jego biznesu. W końcu wygrał. Mimo potwornego strachu nie znalazłam innego wyjścia dla mnie samej. To już chyba nie chodziło o niego, choć tego nie mogę z całą pewnością stwierdzić. Może wciąż go gdzieś tam na dnie serca kochałam i dlatego nie chciałam go opuścić, bo co on, biedny, zrobiłby beze mnie, w obcym kraju, bez domu, bez pieniędzy. Kiedyś w rozpaczy prosił, bym wezwała Urząd do Spraw Cudzoziemców, by go deportowali do jego kraju. Nie chciałam dla niego niczego złego, bo nie wiedziałam czy to wszystko, co czułam i co podejrzewałam było prawdą. A on mimo tysiąca testów i pytań z mojej strony nigdy nie dał mi dowodu, bym mogła to

ostatecznie stwierdzić. W każdym razie, rozpaczliwie szukając ratunku w tej trudnej sytuacji, wyłożyłam kolejną część moich pieniędzy, by dać naszej trójce szansę.

Martin nie posiadał się z radości. Odkupił od Arenze stoisko, kupił buty i jeździł od rana do wieczora do pracy, która stała się jego życiem. Pierwszego miesiąca nie zarobił pieniędzy, ale spodziewałam się takiej możliwości, bo koszty najmu i kaucji oraz pieniądze na zakup towaru znacznie przerosły zyski, których spodziewałam się około trzeciego miesiąca. Nigdy tam nie byłam, czasem tylko przyjeżdżałam po niego, gdy był mi potrzebny samochód, ale byłam pewna, że handluje tymi butami, ponieważ przywoził je czasem do domu. Miło było patrzeć, jak promienny i szczęśliwy wraca po pracy do domu. Jego radosna twarz i energia przywróciły mi nadzieję, że będzie dobrze. Zaczynałam znów być szczęśliwa. To osłabiło moją ostrożność, co Martin od razu wykorzystał.

Od jakiegoś czasu szukał samochodu dla kuzyna swojego szwagra z Ameryki. Czegoś niedrogiego z automatyczną skrzynią biegów, bo on innym wozem nie umiał jeździć. Człowiek ten wybierał się na święta Bożego Narodzenia do Afryki, na cały miesiąc. Zamierzał odwiedzić swoją rodzinę. Kupno i sprzedaż samochodu po miesiącu były dla niego o wiele bardziej korzystne niż podróżowanie lokalną komunikacją czy taksówką z całą rodziną. Dowiedział się, że Martin handlował samochodami i poprosił go o przysługę. Miał mu wysłać pieniądze, gdy znajdzie się coś fajnego. Mój chłopak słał mu zdjęcia samochodów, ale rzadko który mu się podobał. Martin miał na tej transakcji sporo zarobić i bardzo się angażował.

Któregoś dnia wrócił po rozmowie z tym klientem do dużego pokoju i oznajmił:

- Znalazłem! Podoba mu się!
- Super! – ucieszyłam się.
- Jutro pojedę zobaczyć ten samochód. Pojedziesz ze mną?
- Mogę pojechać. A gdzie? Daleko?
- Kawalek za Sochaczewem.
- To niedaleko. Mogę pojechać.
- Tylko on nie przesłał mi jeszcze pieniędzy. Prześle w przyszłym

tygodniu, gdy będzie miał.

– To jak go chcesz jutro kupić?

– No właśnie. Boję się, że mi go ktoś podkupi. Muszę się pospieszyć.

Mam z Bakalarskiej na połowę. Pożyczysz mi na drugą? Przysięgam na kości mojego zmarłego ojca, że oddam w przyszłym tygodniu. To dobry biznes!

Inga, w końcu zarabiamy pieniądze! Zaczyna nam się szczęście.

– Na pewno oddasz?

– Oddam! Oddam! – Pocałował mnie. – Ale jestem szczęśliwy!

– No dobrze – zgodziłam się, widząc jego entuzjazm i szczęście.

Kupił starego jaguara. Cieszył się nim jak małe dziecko. Dzwonił kilka razy do mnie po drodze, bym się zatrzymała, wtedy mnie całował i dziękował za nowe życie dla niego. Byłam szczęśliwa. Zapominałam o przeszłości, widząc przyszłość w coraz piękniejszych kolorach.

Przyszedł grudzień. Tego roku nie był prawie wcale śnieżny, kilka razy jednak postraszył wielkim mrozem. Trudnym dla Martina, który wychowywał się w zdecydowanie cieplejszym świecie. Zaczął wkładać getry pod spodnie, z sześć koszulek oraz, o dziwo, grube skarpetki i ruszał do pracy. Szkoda mi go było czasem, bo wracał chwilę wcześniej z nocnych zakupów, wskakiwał do łóżeczka na dwie godziny i ruszał znów na Bakalarską. Zaskoczył mnie, gdy powiedział pierwszy raz, że umówił się z kolegami na zakupy o dwunastej w nocy. Pomyślałam nawet, że jedzie na jakąś imprezę, a te zakupy to tylko przykrywka. Okazało się jednak, że faktycznie tam jeździł, bo wracał z workami pełnymi obuwia, które rano pakował do samochodu.

– Jak w dzień handluję, kochanie, to zakupy robię w nocy. Taki biznes. Kiedy mam kupować? Jak piekarz chce sprzedać bułki na śniadanie, musi upiec je w nocy.

Logiczne. Spałam spokojnie, podczas gdy on jeździł na zakupy i zostawiał towar w drugim pokoju. Dziś jednak wiem, że to było dla mnie niebezpieczne. Bardzo niebezpieczne.

Któregoś dnia zadzwonił do mnie późnym popołudniem.

– Kochanie, straciłem buty... Te najcenniejsze...

– Jak to? Co się stało!?

– Do mojej budki wszedł złodziej i ukradł parę najek.
– Najki? Ty nie sprzedajesz markowego obuwia!
– Czasem sprzedaję. Posłuchaj. Nie przerywaj. On wybiegł, a ja za nim, okazało się, że to szajka, bo jak go łapałem, reszta ukradła mi pozostałe. Najki i adidas. Zostały tylko te niemarkowe buty.

– Ale o czym ty mówisz? – w mgnieniu oka przypomniały mi się historie z przeszłości i wrócił kompletny barak zaufania. – To niemożliwe. Mówiłeś, że pilnujecie sobie nawzajem interesu. Gdzie byli koledzy?

– Nie widzieli.

– To niemożliwe! Znam ciebie! Narobiłbyś krzyku i staliby na posterunku. Wiem, że ty się nie dasz oszukać.

– Ale tym razem dałem.

– Nie. Nie wierzę. Nigdy nie uwierzę. Ile pieniędzy straciłeś?

– Trzy czwarte.

Zaniemówiłam. Czuję jak się staczam w jakąś otchłań, z której nie ma powrotu. Jak ja przeżyję? Postawiłam wszystko na jedną kartę. Mam pieniądze jedynie do końca miesiąca, może na czynsz na styczeń będzie i tyle. Nic więcej. Jak mam żyć? On mnie znów oszukał! Jaką jestem kretynką. Nie, nie wierzę!

– Martin, nie wierzę ci. Nie wierzę w ani jedno słowo, zaraz tam przyjadę i popytam ludzi.

– Co? O co będziesz pytać?

– Chyba ktoś widział, jak gonisz złodzieja, ktoś na pewno coś mi powie – byłam dumna z tak trzeźwej reakcji.

– Nie. Nie rób mi wstydu. Nie przyjeżdżaj. Ja zaraz będę. Wszystko ci opowiem.

Odłożyłam telefon i zaczęłam gorączkowo myśleć. A jednak skłamał! Bał się, że przyjadę, więc miał coś za kołnierzem. O mamó, to dowód na to, że mnie oszukuje. Muszę być twarda, bo tylko wtedy się nie wycofa i potwierdzi w końcu, że od początku mnie oszukuje. Obmyślałam strategię, szykując się na bitwę słowną, w której stawką była odzyskana prawda w moim życiu.

– Nie denerwuj się. Pamiętaj, że masz moje dziecko w brzuchu.

- Nasze – sprostowałam.
 - Tak. Nasze. Wyznam ci całą prawdę. Dziś na Bakalarskiej była policja? Czułam, jak zaczyna mi szumieć w głowie, bo bałam się bardzo tego, co mi powie.
 - I?
 - I musiałem uciekać z moimi butami, wybiegłem i ukryłem jeden worek za koszem na śmieci, drugi zabrałem i się schowałem.
 - Dlaczego musiałeś uciekać?
 - Wiesz.
 - Nie! Nie wiem do cholery! Nie wiem! Mów!
 - Bo to były nieoryginalne buty.
 - Nie rozumiem... – Rozumiałam. Oczywiście, że rozumiałam, ale nie chciałam rozumieć!
 - No, dlatego jeździłem w nocy, bo to były podróbki. W dzień ich nie mogłem kupić.
 - Nie wierzę! Martin, nie wierzę! Ja spałem w domu, w którym był nielegalny towar?! Ja i moje dziecko?! Czyś ty oszalał?!
 - Wiedziałem, że się nie zgodzisz. Ale to była dla nas jedyna szansa. Czy ty myślisz, że moi kumple żyją tak dobrze, sprzedając oryginalny towar? Tylko tak się zarabia pieniądze. Znam cię i wiedziałem, że w to nie pójdziesz. Dlatego nie mówiłem prawdy.
 - Czy w tym domu są teraz jakieś lewe towary?!
 - Nie.
 - Ani jeden?
 - Ani jeden.
- Mimo tych słów wpadłem do drugiego pokoju, gdzie często zostawiał rzeczy, gorączkowo sprawdzając czy znajdę cokolwiek. Po pierwsze, na potwierdzenie jego słów, a po drugie, by się raz na zawsze tego pozbyć. Niczego nie znalazłem.
- Inga, nie złość się! Ja to robiłem dla ciebie!
 - Mam to w dupie dla kogo! Mam gdzieś ciebie i twoje interesy. Zresztą jakie interesy? Twoje klapy, bo znów przewaliłeś moje pieniądze. Ostatnie pieniądze! Nie mam już niczego! Co się tam stało z tymi butami?

– Urzędnicy zabrali mi te, które miałem ze sobą i zapłaciłem mandat. A te drugie ktoś ukradł, bo gdy wróciłem już ich tam nie było.

– Oczywiście, cały świat przeciwko Martinowi! Nie wierzę ci. Za nic nie wierzę! Ani jedno twoje słowo nie jest prawdą!

– Inga, udowodnię ci, poczekaj.

Jak zwykle wyciągnął telefon i zapytał jakiegoś mężczyznę:

– Powiedz, kto był dziś na Bakalarskiej?

– Policja.

– Co mi zabrali?

– Buty.

– I co jeszcze się stało?

– Dali mandat.

– Dzięki.

Rozłączył się. Taki telefon trochę osłabia pewność, ale wciąż nie wierzyłam, bo kiedy był w Afryce, też dzwonili do mnie jacyś ludzie, których nie znam. Bardzo łatwo jest powiedzieć wcześniej komuś co ma mówić. Miał na to czas.

Do dziś nie wiem, która wersja jest prawdziwa, choć całą sobą czuję, że możliwe, iż w moim domu był nielegalny towar.

Zaczęłam panicznie szukać pomysłu na to, co dalej. Skąd ja wezmę pieniądze? Za cztery dni święta Bożego Narodzenia, obejdzie się bez fajerwerków i bez prezentów. Zostanę w Warszawie. Oszczędzę.

– Ile ci tam zostało pieniędzy? Możesz to szybko sprzedać? Odsprzedać budkę i odzyskać kaucję?

– To będzie bardzo trudne, bo...

– Nie chcę tego nawet słyszeć – przerwałam. – Gdy ci dawałam pieniądze, zapewniałeś mnie, że możesz wycofać kasę w każdym momencie. Dlaczego teraz to trudne?

– Bo jest grudzień! Nikt nie zaczyna handlu pięć dni przed świętami! Wszyscy są już ustawieni!

– A buty? Możesz je sprzedać?

– Te, które zostały, nie. One miały być tylko przykrywką.

Opadłam z sił, czując, że tego dnia chyba oszaleję. Przypomniałam sobie

nagle samochód.

– A samochód? Wysłał ci ten facet pieniądze?

– Nie. Nie odbiera ode mnie telefonów.

– Dlaczego?

– A skąd mam wiedzieć dlaczego? Wystarczająco się przez to denerwuję, jeszcze ty mi dowalaj!

Popatrzyłam na niego z taką złością, jakiej już dawno w sobie nie czułam. Nie płakałam. Wypaliłam jednak na koniec w ekstremalnej wściekłości:

– Wyjdz więc i nie wracaj dopóki nie sprzedasz tego samochodu! Nie chcę więcej z tobą rozmawiać.

Stał chwilę, po czym faktycznie wyszedł. Zostałam sama z panicznym strachem o mnie i dziecko, dziś i jutro. Wciąż robiłam w głowie porządek, bo do wylądowania gdzieś w zakładzie zamkniętym było mi bardzo blisko.

Postanowiłam nie denerwować się już więcej, uciekać od wszelkich emocji i patrzeć na moje życie z boku, dopóki nie postanowię, co dalej.

Potrzebowałam czasu, by jakoś z tego wszystkiego wybrnąć. Nie stać mnie było na kolejny błąd. Byłam już pewna, że będę walczyć o życie sama, ale nie chciałam nic robić pochopnie.

Wrócił późną nocą do domu, bez grosza. Położył się koło mnie i wyszeptał:

– Kocham cię i moją maleńką Ifi.

Nie komentowałam, nie odzywałam się, nie kłóciłam. Chciałam spać w nadziei, że kolejny dzień przyniesie jakieś dobre nowiny. Nic się jednak nie zmieniało. Martin jeździł tam dalej, ale nie przywoził wciąż z powrotem ani grosza.

Przyszły święta. Przygotowałam coś na Wigilię, by usiąść spokojnie do stołu, na chwałę Bożą. On rano był na Bakalarskiej, wieczorem przyjechał i zajął się telefonami. Obdzwonił chyba całą rodzinę, szczęśliwy i wesoły. Roztaczał przede mną obraz szczęśliwego i spełnionego człowieka, bez kłopotów. Świętującego na odległość z rodziną. Kim byłam dla niego? Z pewnością nie jego rodziną. Nie wiem kim. Czułam się wtedy tak daleka od niego. Martin nie wysilił się nawet odrobinę, bym poczuła choć namiastkę magii tych świąt. Jak już się nagadał, wszystko na stole było zimne.

Przyszedł, usiadł, coś podziubał na talerzach, skomentował, że tego nie lubi, bo u niego w kraju takich rzeczy się nie je, po czym wstał od stołu i położył się do łóżka, by pooglądać telewizję. Jeszcze dorzucił na koniec wyrzut, że nie kupiłam CNN i on nie wie, co się dzieje na świecie.

Patrzyłam na tego człowieka i znów wydawał mi się obcy oraz, tak przyziemnie, po prostu brzydki. Dziwny obraz. Martin jakby przestał się starać. Od czasu do czasu się do mnie uśmiechnął, ale generalnie nie miał zamiaru być miły. Nie to, że tego pragnęłam, ale nie rozumiałam, co się dzieje. Było mi nawet trochę przykro z tego powodu, choć już dawno pożegnałam się z wiarą, że coś nas może jeszcze uratować. Bardzo smutne święta. Jediną radością w te dni było dla mnie to cichutkie pukanie z wnętrza mojego brzucha. Jestem pewna, że to moje maleństwo trzymało mnie wtedy przy normalności, a może nawet przy życiu.

Przed Nowym Rokiem czekało mnie jeszcze jedno rozczarowanie samą sobą. Siedziałam, jak zwykle ostatnio, w innym pokoju niż Martin, gdy usłyszałam zza ściany krzyk.

– Nie! Ja nie dam rady! Błagam, pomóż, ja nie zrobię wszystkiego! – wołał po angielsku, a później zmienił język na swój rodzimy dialekt.

Gdy skończył rozmawiać, usłyszałam wyraźny, zawodzący szloch. Ciekawość zwyciężyła. Gdy weszłam do pokoju, siedział zalany łzami i zrozpaczony.

– Moja mama umiera! Inga, ona umiera!

Nie wiedziałam, co myśleć o tej scenie, ale chciałam usłyszeć coś więcej.

– Co się stało?

– Jest w szpitalu i czeka na przeszczep, a lekarze odmawiają operacji bez wcześniejszej wpłaty. Dzwonię do siostry – ona mówi, że nie ma pieniędzy. Mówiłam ci, że ma kłopoty z mężem i że on nie pracuje, a poza tym stwierdziła, że to mój obowiązek. Dzwonię do wszystkich. Błagam! Ale nikt nie chce mi dać. Ciebie nie poproszę...

– Słusznie. Bo ja nie mam – przerwałam.

– Więc będziemy patrzeć na jej śmierć. To dobra kobieta. Kocha cię. Rozmawiałaś z nią tyle razy. Wiesz, że cię kocha. Inga, błagam i ciebie, nie pozwólmy jej umrzeć.

Patrzyłam na niego, nie wiedząc, co się dzieje. Z jednej strony rozpacz syna. Czy ktoś coś takiego mógłby zagrać? Nawet najlepszy aktor nie umie. Z drugiej strony – moje życie i moje bezpieczeństwo. Nie miałam już naprawdę pieniędzy. Ale drżałam na myśl o jej śmierci, to w końcu babcia mojego dziecka. Nie. Nie wolno ci tak myśleć. „To kłamstwo! To manipulacja” – krzyczał rozum, a serce drżało ze strachu, że przyczyni się do śmierci osoby bliskiej mojemu dziecku.

– Inga, proszę cię o te pieniądze tylko na chwilę. Mój kolega z Hiszpanii, ten którego poznałaś w afrykańskim barze zaraz po tym jak my się poznaliśmy... Pamiętasz go? Ten w takich dużych okularach, co tak dużo mówił. Pamiętasz? On obiecał, że prześle mi te pieniądze za tydzień, bo wtedy je będzie miał, ale za tydzień będzie za późno! Inga, błagam, zaklinam cię na zdrowie naszego dziecka, jeżeli masz te pieniądze, uratuj moją matkę. A ja ci zaraz oddam. Przysięgam. Ratuj.

Padł na podłogę u moich stóp z twarzą ukrytą w dłoniach. Zawsze byłam na tym punkcie wrażliwa – miałam słabość do starości i ceniłam wagę życia, ale największy strach, doskonale podsycany przez emocje Martina, wzbudzała we mnie świadomość krwi babci mojego dziecka na mych na rękach.

– To są pieniądze na czynsz. Jeśli ich nie dostanę z powrotem do pierwszego, nie będziemy mieli gdzie mieszkać.

Dałam mu. Poniosłam porażkę po raz kolejny. Jeszcze jedna przegrana bitwa o prawdę.

Chyba ta przysięga na zdrowie mojego dziecka tak zadziałała, że dwa dni później odebrałam wyniki badań z krwi i z moczu – okazało się, że zagnieździła się we mnie jakaś bakteria. Lekarz powiedział od razu, że muszę wziąć antybiotyk, ale nie ufałam mu, a mój lekarz prowadzący był na urlopie. Byłam zagubiona. Generalnie w życiu unikam leków wszelkiego rodzaju. Przez całą ciążę nie przyjmowałam absolutnie niczego oprócz witamin i żelaza, dbając o dobrą kondycję mojej małej. Staralam się odżywiać najlepiej jak potrafiłam, by jej nie zaszkodzić, ponieważ i tak miała wystarczająco dużo nerwów i stresu zanim się urodziła, a tu antybiotyk! Dla mnie to była poważna sprawa. Może zachowywałam się nieco histeryczne, i ulegałam

szalejącym we mnie ciężowym hormonom, bo podłamałam się nieco tym faktem. Dzwoniłam do przyjaciółki, ale mnie nie uspokoiła. Dzwoniłam do mamy, a ona do mojej kuzynki, która była farmaceutką. Ta stwierdziła, że to za duża dawka leku. Bałam się, że zaszkodzę maleństwu. Walczyłam. W końcu napisałam, trochę w ciemno, maila do mojego lekarza, informując, jak się nazywa ta bakteria i jaki mi przepisano antybiotyk. Nie wiem jakim cudem po kilku godzinach odpisał: „Brać i nie bać się! To lepsze dla dziecka niż bakteria!”. Ufałam mu, więc z drżącym wciąż sercem wykupiłam lek. Usiadłam w domu, przez kilka chwil patrząc na opakowanie, nim zdołałam zażyć lekarstwo. W tym momencie wszedł Martin. On również źle reagował na wszelkiego rodzaju leki. Podobało mi się nawet to nasze podobieństwo.

– Co to jest?

– Biorę w końcu ten antybiotyk.

– Zabraniam ci!

– Jak to? Dlaczego?

– Skrzywdzisz tym moje dziecko!

– Nasze – poprawiłam go jak zwykle.

– Nieważne, kobieto! Jeśli to zażyjesz i jeżeli jej się coś stanie, to będzie wyłącznie twoja wina. Ja cię ostrzegąłem!

Nie takiego wsparcia oczekiwałam, ale takiego się spodziewałam. Mimo to cholernie bolało, że dla niego to takie łatwe. Po raz kolejny łzy poleciały cichutko po policzku, podczas gdy łykałam pigułkę.

On tylko popatrzył i zniknął znów w drugim pokoju. Zostałam sama, zastanawiając się, co się dzieje z pigułką w moim organizmie. Czy faktycznie wykonałam wyrok na moim dziecku, które już tak pokochałam.

Po dłuższej chwili wpadł do pokoju Martin z newsem.

– Wiesz... do mojego domu przyszli ludzie z rady miasteczka i nałożyli na mnie karę za to, że nie byłam na święta.

– Słucham? – to, co powiedział, było dla mnie tak abstrakcyjne, że nic z tego w pierwszej chwili nie zrozumiałam.

– No tak. Mówiłem ci, że jestem księciem. Jako książę powinienem być w domu w tym czasie. Przyszli do mojego drugiego domu, bo mówiłem ci, że mam dwa domy?

– Nie. Nie mówiłeś.

– No mam. Jeden ten, który wybudowałem i w którym mieszka moja mama i siostra, oraz drugi, w którym mieszka żona mojego brata. Tego, co umarł... Wiesz... Po jego śmierci powinienem się był z nią ożenić, ale powiedziałem, że za nic. Opiekuję się tylko nią i jej dziećmi.

To było dla mnie coś nowego. Wciąż zła na niego za wcześniejszy brak wsparcia i generalnie totalnie nieufna, zaczęłam się zastanawiać po co mi to opowiada. Czego znów ode mnie chce?

– I co? Ja mam ci dać na tę karę?

– Nie. Przyszedłem tylko pogadać. To mogę kiedyś tam, gdy przyjadę, spłacić. Chciałem tylko ci o tym opowiedzieć. Jestem bardzo w mojej wiosce ważny, bardzo mnie tam poważają. Jestem księciem...

– To niech ci kupią wózek dla dziecka, skoro jesteś dla nich taki ważny – wypaliłam, bo dzidzia miała przyjść na świat za półtora miesiąca, a ja nie miałam ani wyprawki, ani wózka.

– Ja pieprzę, Inga! Tego się nie da już wytrzymać! Z tobą nie można normalnie pogadać, tylko pieniądze i pieniądze, zawsze pieniądze! Ja chcę ci powiedzieć jak ważny jestem u mnie w kraju, a ty o pieniądzach! Nie będę tak żył!

– To się dobrze składa, bo ja też nie chcę – po czym dodałam, choć nie miałam takiego planu na ten dzień: – Chcę, byś się wyprowadził.

– Co? Znów mnie wyrzucasz na pastwę losu?

– Tak.

– Taka jest twoja miłość?! O dupę ją rozbić. Nigdy mnie nie cieszyła, to tylko taki ochłap uczucia. Ty nie umiesz kochać. Kim ty jesteś? Popatrz na siebie. Jedenaście lat byłem z Elizą i ona nigdy mi nawet nie wspomniała o złotówce, a ty tylko o tym! Pieprz się!

Złapał dwie ramki, które stały na szafce – jedną z naszym wspólnym zdjęciem i drugą z jego zdjęciem z moim zmarłym już dziadkiem, a potem tuż przede mną rozbił obie o kant stolika. Szkło się rozprysnęło na kawałki, a ramki połamały. Ale tego mu było mało – kopnął stolik, na którym stał mój komputer. Na szczęście nic mu się nie stało, ale rozzłościło mnie to. Wstałam przed Martinem jak sprężyna, ręką wskazując wyjście.

– Opuść natychmiast ten dom. Nic tu nie należy do ciebie i nie masz prawa niczego niszczyć!

Stał przede mną i najnormalniej w świecie uderzył swoją głową w moją. Bardzo zabolalo. Zakręciło mi się w głowie i opadłam na siedzenie. Łzy popłynęły znów samoczynnie, a szło mi już tak dobrze. Fuck! Znów pękłam! Trudno! Mam to gdzieś! Zdawało mu się, że to dało mu jakąś siłę, ale nie. Wstałam zapłakana, ale byłam w stanie wstać i, patrząc prosto w jego twarz, powiedziałam:

– To był pierwszy i ostatni raz. Wynoś się, bo jak nie, to zadzwonię zaraz na policję.

On wiedział, że nie żartuję. Rzucił kolejne obelgi w moim kierunku, pakując swoje rzeczy.

– Myślisz, że nie mam, gdzie pójść? Jest mnóstwo dobrych ludzi w Warszawie. Zresztą każdy jest lepszy od ciebie. Ty nie masz serca. Moi kumple mi pomogą. Zaraz zadzwonię i bez problemu mnie przenocują.

Miałam się do niego nie odzywać, by nie tracić energii. Zresztą nie było warto. Jednak emocje wzięły górę i odpowiedziałam:

– Dzwon. Przynieść ci telefon?

– Dzwon! Dzwon! – przedrzeźniał mnie. – Żałuję jak niczego w życiu, że nie pojechałem wtedy do Szwajcarii. Wszystko jest lepsze niż bycie z tobą. Żałuję jeszcze bardziej, że będę miał z tobą dziecko. Wiesz co? Mam nadzieję, że ona umrze, zanim się urodzi.

To były najgorsze słowa, jakie mogłam usłyszeć. Przeszyły jak miecz bólu. To były słowa ojca. Wszystkiego, ale tego się po nim nie spodziewałam. Popatrzyłam na niego i powiedziałam:

– Masz godzinę. Za godzinę dzwonię na policję. – Zamknęłam oczy i zatkałam uszy, by niczego już nie widzieć i nie słyszeć.

Bałam się bardzo, bo nie wiedziałam, czy jakiś cios znów nie spadnie na mnie, gdy nie będę patrzeć, ale tak przynajmniej czułam się nieco chroniona przed jego manipulacjami.

On widział moją siłę. Zbudował ją dziś sam tymi okrutnymi słowami. Spakował swoje rzeczy i zaniósł do samochodu. Słyszałam zamykające się z trzaskiem drzwi. Pomyślałam: czy to już? Chyba tak. Chyba już po

wszystkim. Jednak pomyliłam się. Drzwi za chwile otworzyły się na nowo. Zamknęłam oczy. Miałam poczucie, że stoi obok i patrzy na mnie przez kilka minut. Wytrwałam i nie otworzyłam ich.

– Jesteś pewna, że tego chcesz?

– Jak niczego w życiu.

– To idę... Idę, Inga. Cześć. – Doszedł do drzwi i wrócił. – Cześć. Nie pożegnasz się ze mną? Podaj mi choć ostatni raz dłoń na pożegnanie...

Nic nie odpowiedziałam. Czekałam tylko na moment, gdy zniknie za drzwiami. Gdy to zrobił, pobiegłam, by je zamknąć. Wiedziałam, że za nimi stoi, ale to już nie miało znaczenia. Moje serce pękło na pół i wylało się z niego tyle bólu, ile, zdaje się, żadne serce nie umie unieść. Padłam na podłogę, opierając się plecami o drzwi i tam płakałam przez kilka godzin. Wypłakałam wielorakiego rodzaju łzy – bólu i żalu za straconą i właściwie nigdy nie istniejącą miłością, rozpaczy, że moje dziecko nie ma ojca, a zaraz po tym, że jej ojciec jej nie kocha, bo życzy jej śmierci, a później, już bardziej racjonalne, łzy strachu przed jutrem. Bałam się jak przeżyjemy z małą z tymi paroma groszami w kieszeni, zupełnie nieprzygotowane na jej przyjście. Ale były też łzy ulgi, że już po wszystkim.

Zamknęła oczy i położyła dłoń na swojej klatce piersiowej. Dawid widział jak ciężko oddycha, ale nie śmiał niczego powiedzieć, choć mnóstwo pytań cisnęło mu się na język. Czuł, że bardzo bolało ją wypowiedzenie słów: „Mam nadzieję, że ona umrze, zanim się urodzi”. Bo głos drżał jej bardzo, gdy padały kolejne wyrazy tego zdania. Coś mu podpowiadało, że powinien poczekać, niech Inga zdecyduje co dalej. Nie chciał jej dostarczać więcej powodów do bólu. Milczeli chwilę. On miał okazję swobodnie jej się przyjrzeć po raz kolejny, bo wciąż siedziała z zamkniętymi oczami. Tym razem wydała mu się nadzwyczajnie śliczna. Mieszanka bólu, doświadczeń, ogromnej siły i delikatnej kobiecości malowała na jej twarzy przepiękny obraz. Każdym członkiem swojego ciała pragnął ja przytulić, by zabrać odrobinę bólu, ale zwyczajnie nie śmiał. Ona przecież tyle razy mówiła: „nie”.

Gdy otworzyła oczy, błyszczały tak, że łatwo się było domyślić, że przez

cały ten czas walczyła ze łzami. Wygrała bitwę, bo żadna z nich nie spłynęła po policzku. On, jest tego pewny, bo się jej cały czas przyglądał i wie, że nigdy tego obrazu nie zapomni.

– Dawid, słyszałeś kiedyś stare piosenki Kayah, te z dziewięćdziesiątego któregoś roku, może szóstego? Ile ty masz właściwie lat?

– Trzydzieści dwa. Wtedy pewnie nie, ale później może słyszałem jakąś. A o którą ci chodzi? Dlaczego?

– Jest taka piosenka, o tytule chyba *Jestem kamieniem*, a może *Kamień*, nie pamiętam dobrze. Kayah śpiewa: *Rzuciłeś we mnie słowa kamieniem, a kamień ten wbił się głęboko. Jestem kamieniem, na podobieństwo twoich słów stworzona. Jestem kamieniem. Ja cała jestem z twoich słów ulepiona. (...) I rzucasz we mnie słowa kamieniem, słyszę tylko jak kamień uderza o kamień*^[6] – zawiesiła na chwilę głos. – Piękna piosenka, jeżeli nie słyszałeś, musisz posłuchać. Wiesz... ja czasem nie mam sił wstać z powodu tej ilości kamieni, które są we mnie. Chwilami naprawdę jestem kamieniem. Nie chcę oddychać i wołałabym już, tak jak głaz, pozostać gdzieś, gdzie nikt nie zwróci na mnie uwagi. Zawsze wtedy budzi mnie i ożywia głos, śmiech lub płacz mojego dziecka. Ona jest teraz moja krwią i moim życiem. Rozumiesz?

– Próbuję.

– Wiem. To może być trudne. Wiesz... dziś pierwszy raz od czasu tych zdarzeń komuś o tym opowiedziałam w całości. Zdarzało mi się czasem opowiadać jakieś fragmenty Ali, mamie czy Moni, ale dziś przedstawiłam wszystko po kolei i dotarło do mnie, jaki był tego ogrom. Mam wrażenie, że to zaczyna być niewiarygodne w twoich oczach, bo mi samej trudno uwierzyć, że pozwoliłam na tyle i że nie ucięłam tego po pierwszej poważnej wątpliwości. Przysięgam ci jednak, że nie zmyśliłam niczego – przeciwnie – pominęłam drobne wydarzenia, wierzysz mi? Dawid, wierzysz?

– Wierzę. Bo widziałem, jak dużo opowiadanie tego cię kosztuje. Naprawdę, wierzę. Nie martw się.

– Nie. Nie martwię się. To nie o to chodzi. Potrzebuję jakiegoś potwierdzenia, że to mogło być realne. Dawid, powiedz szczerze, czy dla ciebie to też taki ogrom czy tylko mi się tak wydaje? Zresztą, nie mów... To nie jest ważne. Bo prawda jest jedna. Ja tak naprawdę czuję jak te wszystkie

kamienie w środku nie dają mi teraz oddychać. Myślisz, że jest jakiś sposób, by je wyrzucić?

– Czas i ogrom miłości, jakie do ciebie przypląną, wypłucze je, zmyje, aż znikną.

– To ładne, co powiedziałaś. Piękne. Czas... bo miłości się boję...

– Teraz jest miłość dziecka. A inna przyjdzie, gdy będziesz gotowa.

– Naprawdę w to wierzysz?

– Jestem pewien.

– Jesteś bardzo dobrym człowiekiem. Nie wiem czy chcę innej miłości niż mojego dziecka, nie wiem czy na nią zasługuję, ale dziękuję za te słowa.

– Nie zasługujesz? – Dawid bał się przyznać, jak bardzo wydawała mu się teraz piękna i warta kochania. – Jak możesz tak mówić?

– Dawid, bardzo mi wstyd, że pozwoliłam na to wszystko. Powinnam była być mądrzejsza, szybko to uciąć, dostrzec pierwsze małe symptomy, że to nie było dla mnie dobre. Nie powinnam była ich w swoim wnętrzu przemilczeć, godzić się na to. Bardzo się wstydzę! Byłam taka, jakby mi ktoś rozum odebrał!

– To ty nie wiesz, że człowiek rodzi się istotą rozumną, jego umysł się rozwija i wzbogaca oraz z każdym dniem działa lepiej i jeszcze lepiej – i tak aż do dnia zakochania, bo wtedy wraca do poziomu z dnia narodzin? To normalne, Inga. Kochałaś.

Inga uśmiechnęła się.

– Ale o to chodzi, że ja nie powinnam się była w nim zakochiwać.

Przecież widziałam tyle znaków!

– Nie dowalaj sobie, proszę... Jakich znaków?

– Na przykład na samym początku, gdy pomieszkiwał u mnie, pojechaliśmy kupić dla niego maszynkę do strzyżenia, bo on golił się na łyso. A dokładniej, on chciał ją kupić, a ja mu towarzyszyłam. Wybraliśmy jakąś fajną i wtedy się okazało, że zapomniał portfela. Zapytał czy mu pożyczę. Zgodziłam się, a gdy przeszliśmy przez kasę, on podziękował mi za fajny prezent. Trochę byłam tym zaskoczona, ale nic nie powiedziałam. Później wyciągnął portfel ze schowka w moim samochodzie. Musiał go tam włożyć przed wejściem do sklepu. Innym razem kupił sobie jakiś zielony sweter i

stwierdził, że nie ma do niego butów. Znow pojechaliśmy do sklepu. Tam znalazł odpowiednie i namówił mnie bym sobie kupiła podobne, tylko w innym kolorze. Przyniósł mi takie, które mi się spodobały. Przymierzyłam i za jego namową postanowiłam kupić. Podał mi dwa pudełka i powiedział, że jeszcze coś zobaczy, a ja mogę iść zapłacić. Byłam na tyle asertywna, że się nie zgodziłam. Martin robił mi wtedy wyrzuty ze łzami w oczach, twierdząc, że Eliza nigdy mu takiego numeru nie zrobiła, że z nią był bardzo szczęśliwy. Zwaliło mnie to z nóg i natychmiast poczułam się winna. Zgodziłam się zapłacić za połowę. Wstyd! Wstyd mi bardzo, że się zgodziłam. Nie mam już sił mnożyć tych przykładów, bo to tylko sprawia, że jest mi jeszcze gorzej.

– Inga, naprawdę widzę, że to był bardzo sprytny manipulator. Nie masz się czego wstydzić! By mieć cię w garści, był w stanie nauczyć się nawet kizomby. Po tym, co dziś słyszałem, wiem, że sztukę manipulacji opanował do perfekcji. Nie masz się czego wstydzić. Każda kobieta by mu uległa, zwłaszcza zakochana, a później jeszcze w ciąży. On bardzo dobrze wiedział, co robi. Zapomnij o wstydzie. Powinnaś być dumna, że z nim skończyłaś, wyrzuciłaś go z domu i wszystko się skończyło.

– Skończyło? Skądże! To nie jest koniec tej historii.

– To on wrócił jeszcze? Co było dalej?

– Tak. Wrócił już następnego dnia. Gdy w domofonie usłyszałam, że to on, nie otworzyłam, ale nie jest trudno wejść do bloku mimo tego, zwłaszcza, że wiele osób go pamiętało. Stał przed drzwiami i tak długo dzwonił i pukał, aż otworzyłam, bojąc się, że zaraz wyjdą na korytarz wszyscy sąsiedzi.

Nie odzywałam się gdy wszedł. Byłam ciekawa co ma mi do powiedzenia. Tymczasem on usiadł wygodnie na krześle i patrzył.

– Wiesz, że jesteś piękna? Bardzo cię kocham. Przepraszam za wczoraj. Znasz mnie, jestem porywczy. Całą noc myślałem o tym co dalej i chcę do was wrócić.

– A co później?

– Być z tobą i z moją ukochaną córeczką.

– A co z pieniędzmi na czynsz w styczniu i na wózek? Za co zapłacimy?

– Znow zaczynasz?

– Tak! Oczywiście! Nie ma możliwości, byś do mnie wrócił, jeżeli mi nie pomożesz. Za półtora miesiąca rodzę nasze dziecko i nie mam jeszcze niczego dla niego. Cholera! Ja nawet nie mam pieniędzy na czynsz w następnym miesiącu, bo oddałam ci wszystko i jeden Bóg – i ty, oczywiście – wiecie, co z tymi pieniędzmi zrobiłeś.

– Inga, czy ty musisz cały czas mówić o pieniądzach? Ja mówię ci, że cię kocham. Nie słyszysz?

– Mam gdzieś taką miłość! Nie chcę jej! Chcę się od niej trzymać z daleka! I mam zamiar mówić wyłącznie o pieniądzach. Żądam, byś mi oddał wszystkie, które dałam ci na ten rzekomy samochodowy biznes, na Bakalarską i na samochód. Wszystkie! Nie. Nie dla mnie. Gdyby chodziło tylko o mnie, to nie chciałabym cię już nigdy więcej widzieć, ale to dla mojego dziecka, bo potrzebuję ich najbardziej dla niej.

– Wiesz co?! Jesteś pieprzoną egoistką! Skąd mam ci wziąć pieniądze?

– A ty się zastanawiałaś, skąd ja mam je teraz wziąć? Nie mam na czynsz! Nie mam!

– I tylko o tym chcesz ze mną rozmawiać?

– Tak. A o czym mam mówić? O tym, jak mnie oszukałeś? O tym, że ci nie wierzę? Że myślę, iż masz w Afryce żonę i czwórkę dzieci? O tym chcesz mówić?

– Ty masz poważny problem z głową. Nie mam w Afryce żony ani dzieci. Mam tylko Sarę.

– Guzik prawda! Nie wierzę ci! Wiesz... skoro w ten sposób chcesz dalej ze mną rozmawiać, to proszę cię byś wyszedł i nie wracał dopóki nie zechcesz powiedzieć mi prawdy. Wyjdź, proszę!

– Teraz?

– Tak, teraz.

Wstał z krzesła i patrzył chwilę na mnie. W końcu zbliżył się na jakieś pół metra z piorunującym wzrokiem i wyszeptał:

– Tfu-u. Co za wstrętna kobieta... Tfu-u. Nie mogę na ciebie patrzeć. I wyszedł.

Byłam bardzo zagubiona w tamtym czasie. Nie wiedziałam wciąż, czy mam rację. Jego pewność siebie, gdy twierdził, że mówi prawdę,

podkopywała moją pewność. Martin wracał to codziennie, to co drugi dzień i przynosił coraz to nowe kłamstwa. Na przykład, że oddał część pieniędzy, które mu dałam, swojej umierającej matce, nie pamiętam, jakie jeszcze.

W nic już nie wierzyłam, ale nie miałam żadnego dowodu. Biłam się z myślami. Z jednej strony chciałam, by zniknął z mojego życia, a z drugiej byłam świadoma, że jest ojcem mojego dziecka. Nie chciałam zabierać dziecku ojca. Zwłaszcza, że moje podejrzenia mogły być zwykłymi fanaberiami. Może ten facet to faktycznie kumulacja nieszczęść? Czas i samotność nie okazały się moimi sprzymierzeńcami, bo rozpamiętywałam każde jego słowo, każde zdarzenie od nowa, szukając w nich dowodów, że robię dobrze, wyrzucając go ze swojego życia. Serce podpowiadało każdego dnia, że mam rację, ale rozum nie znajdował ni maleńkiego dowodu. By nie zwariować, szukałam zajęć, którymi mogłam się zajmować, aby nie myśleć. Wróciłam do malowania, tańczyłam, czytałam i bardzo dużo się modliłam, jednak spokój nie przychodził.

Ze zlecenia zrealizowanego jesienią wpłynęły na konto jakieś małe pieniądze i mogłam zapłacić za czynsz na dwa miesiące. Tak zrobiłam, choć zastanawiałam się, czy nie przeprowadzić się do mamy, jednak to by oznaczało poddanie się, a ja chciałam walczyć o dobre życie dla mnie i mojego maleństwa. Kupiłam za nie trochę rzeczy na wyprawkę dla małej, zabrakło na wózek. Pożyczyła mi Monia. Właśnie szukałam wózka w Internecie, gdy przyjechał Martin. Zobaczył, że mam rzeczy dla dziecka, podszedł, pooglądał, całował je i mówił, że jest najszczęśliwszy na świecie, że ona zaraz będzie. A gdy zobaczył na ekranie komputera zdjęcie właśnie przeze mnie oglądanego wózka, bez jakiegokolwiek skrępowania skomentował:

– Inga, brzydki ten wózek. Musisz kupić taki z jednym kółkiem z przodu i dwoma z tyłu. Kto teraz jeździ takim z czterema kółkami? Niepoważna jesteś! Moje dziecko musi mieć dobry wózek.

Czułam jak wraz z krwią złość napływa mi aż po końce włosów, udało mi się jednak zapanować nad wybuchem:

– To super! Zatem idź i kup taki, proszę.

– Nie mam pieniędzy.

– Ja też nie mam.

Nie skomentował tych słów. Po prostu pocałował mój brzuch i wyszedł, jakby nie słyszał, co mówię. Kochający ojciec mojego dziecka zostawił mnie samą z problemami, powiedział, że kocha i poszedł, nie pytając, czy mam co jeść i jak żyć, a żyłam bardzo skromnie.

Pod koniec ósmego miesiąca ciąży musiałam pojechać w moje rodzinne strony, żeby załatwić sprawy urzędowe. To bardzo daleko, ale na szczęście czułam się fizycznie na tyle dobrze, by prowadzić. Na godzinę przed wyjazdem zadzwonił Martin. Zaskoczył mnie telefon od niego tak wcześnie rano.

– Cześć. Co słychać? Jak mała Ifi?

– Dobrze.

– Bardzo tęsknię. Całą noc o was myślałem.

– I co wymyśliłeś?

– Wymyśliłem, że chcę być dobrym ojcem i mężem.

– Jak chcesz to zrobić?

– Zastanawiałem się nad tym. Teraz jakoś przetrwamy, a jak tylko dzidzia się urodzi, ty pójdiesz do pracy, a ja będę się nią opiekował. Ja mam doświadczenie. Opiekowałem się Sarą, gdy Eliza wychodziła do pracy.

– Mówisz serio?

– Tak. Podoba ci się ten pomysł?

– Chyba oszalałeś?! I co, ja będę cię dalej utrzymywać? Mowy nie ma!

– Inga, tylko na początku. Widzisz jakieś inne wyjście?

– Tak! Weź się w końcu do roboty!

– Wezmę. Zobaczysz, wszystko się w końcu ułoży. Ja nie jestem w stanie żyć bez was. To bardzo boli każdego dnia. Udowodnię ci, że jestem dobrym człowiekiem, tylko daj mi szansę. Uwierz we mnie. Nie zabieraj swojemu dziecku ojca. Ona mnie potrzebuje! Przyjadę zaraz do was, dobrze?

– Nie. Za chwilę wyjeżdżam.

– Gdzie?

– Do domu.

– Wyprowadzasz się?

– Nie, ale muszę załatwić coś bardzo ważnego.

– Pojedziesz tak daleko w ciąży?

– A mam inne wyjście?

– Wow! Przyjeźdź do centrum na chwilę, zanim pojedziesz. Muszę ci coś powiedzieć.

– Nie mam czasu.

– Proszę. Nie pożałujesz. To bardzo ważne. Zobacysz.

Ciekawość wygrała. Gdy tylko spakowałam rzeczy, wsiadłam do samochodu i pojechałam na spotkanie. Bardzo się ucieszył, gdy mnie zobaczył. Podbiegł do samochodu i uściskał mnie, później brzuch.

– No więc, co takiego ważnego chcesz mi powiedzieć?

– Że cię kocham, że tęsknię, że nie chcę żyć bez ciebie.

– Tylko tyle? Tylko po to kazałeś mi tu przyjechać?

Złapał mnie za rękę.

– Daj mi szansę. Nie dla mnie, ale dla niej. Jeśli ją kochasz, musisz to zrobić.

To okropne, ale całą sobą czułam, że mięknę. Te dwa tygodnie, gdy widywałam go sporadycznie, nie osłabiły jego wpływu na mnie. Ponadto miękłam pod naporem bardzo silnej potrzeby, by moje dziecko miało ojca. Może dać mu szansę? Jest mi bardzo ciężko. Może on faktycznie zrozumiał i już teraz będzie lepiej, pomoże nam choć odrobinę? Może już koniec naszych zmartwień? Moja córeczka zasługuje na to, by mieć dwoje rodziców, a ja nie mam prawa jej tego odbierać – myślałam. Momentalnie zapomniałam o podejrzeniu, że ma żonę. To wydawało się bardzo nieprawdopodobne, gdy patrzył mi w oczy z taką miłością i z taką czułością głaskał brzuch, w którym poruszało się z radości nasze dziecko.

– Już dobrze, kochanie. Już będzie dobrze. Kiedy wracasz?

– Za kilka dni. Nie wiem dokładnie.

– To daj mi klucze od domu, ja tam będę czekał na ciebie.

Co? Klucze? Klucze?! Momentalnie wszystkie rozpalone właśnie uczucia zamarzyły na nowo.

– Po to mnie tu przyciągnąłeś? Bo nie masz gdzie mieszkać?

– Tak myślisz? Mylisz się. Mówiłem ci, że mam dobrych przyjaciół. Ja im pomagałem kiedyś, gdy miałem pieniądze, oni pomagają mi teraz.

– Cześć. Jadę.

Odwróciłam się, by wrócić do samochodu.

– Inga, a klucze?

– Nie dam ci ich.

– Naprawdę? Tfu-u... Co za kobieta! – Splunął mi za plecami. –

Egoistka! Jesteś okrutną kobietą, ale Bóg ci za to zapłaci.

– Tak. Nam obojgu zapłaci adekwatnie do zasług, to pewne.

Wsiadłam do samochodu i odjechałam. Musiałam się jednak zatrzymać kilka przecznic dalej, bo znów łzy przesłoniły mi pole widzenia. Byłam wciąż tak słaba przy nim. Tak słaba. Inga, musisz uważać. Z tego już nic dobrego nie będzie.

Zrozumiał w końcu, że nie ma już szans na powrót. Pojawiał się coraz rzadziej. Czasem dzwonił, pytał jak maleństwo, czy wracam do byłego męża albo czy mam faceta. Tak, jakby był zazdrosny, ale to było nieuzasadnione, gdzie miałabym spotkać faceta, będąc w dziewiątym miesiącu ciąży. Poza tym to dowodziło, że on nie rozumie ogromu moich uczuć w związku z tym, co się wydarzyło między nami. Nie miałam zamiaru zbliżyć się do żadnego faceta, nawet na kilka metrów. Dziękowałam jednak Bogu, że jest Martina w moim życiu tak mało. To pozwoliło mi się uspokoić. Nauczyłam się odganiać myśli o nim i o przeszłości, choć niejednokrotnie pozwalałam sobie na powrót na Facebooka w poszukiwaniu dowodów na to, że nie oszalałam, że prawdą było to, co czułam. Niczego tam nie znajdowałam. Nawet zaskoczyło mnie, że Pauline, która zawsze wstawiała mnóstwo swoich zdjęć, od jakiegoś czasu nie pokazywała się tam wcale. Czasem kilka zdjęć dzieci i tyle. Pomyślałam nawet, że to w odpowiedzi na zdarzenia tutaj – ponieważ jej zabronił. Jednak to nie były dowody. Nie miałam ich! Rozpaczliwie ich poszukiwałam i nic. To trochę wpędzało mnie w poczucie winy, że może krzywdzę moje dziecko, bo może Martin powinien być przy niej, ale jednocześnie on przestał się starać. W ciągu miesiąca prawie zniknął, a gdy się pojawił, mówił jaka jestem śliczna i jak już się nie może doczekać przyjścia Ifi na świat, bo nad życie ją kocha. Wiem, że podchodziłam do tego bardzo materialistycznie, bo byłam w dramatycznej sytuacji finansowej, ale

nie wierzyłam mu, ponieważ nigdy nie przyniósł nam nawet złotówki, choćby na jedną pieluchę. Smutne, ale nie dołożył wcześniej nawet dziesięciu złotych do naszego wspólnego życia i nie miał zamiaru nam pomóc wówczas, gdy rozpaczliwie tego potrzebowaliśmy.

W życiu spotyka się jednak anioły. Moja Ala obiecała pożyczyć mi pieniądze na pierwsze trzy miesiące życia mojego maleńkiego skarбка i tym gestem zapewniła mi olbrzymi spokój oraz wiarę, że przeżyjemy. To tak, jakby Bóg zesłał tego anioła, by podał mi rękę, gdy byłam na samym dnie życiowego piekła. Anioł wraz ze spokojem przyniósł za sobą siłę. Przestałam odbierać większość telefonów od Martina, chcąc przygotować się do porodu bez niepokoju. On twierdził wcześniej, że jest w Gdańsku, więc nie spodziewałam się jego wizyt.

Pod skrzydłami mojego anioła uspokoiłam się, odzyskałam wiarę w przyszłość i czekałam na przyjście dziecka. Smutno jest kobiecie samej, gdy nie może czasu oczekiwania dzielić z ojcem dziecka. Ciężko, gdy wie, że druga osoba nie chce uczestniczyć w tym cudzie, jakim są narodziny. Nieraz chciałam mieć przy sobie dłoń, którą ścisnę i usłyszę: „Będzie dobrze, kochana”, a były tylko cisza i pustka w czterech ścianach. Nie ma niczego smutniejszego niż samotność w oczekiwaniu na dziecko, to jak wielka radość, której nie można dzielić. Nikt, naprawdę nikt, na to nie zasługuje. Na szczęście moja maleńka była bardzo żywą iskierką. Często rozrabiała w brzuszku, wypełniając mi godziny oczekiwania na nią. W ten sposób mój smutek rozjaśniała miłością.

Miałam nadzieję, że urodzi się przed terminem i właściwie już na miesiąc przed nim spakowałam rzeczy do szpitala, wożąc je wszędzie ze sobą. Tymczasem mojej maleńkiej tak dobrze było w brzuszku mamy, że się nigdzie nie śpieszyła. Tydzień po czasie, gdy szykowałam się już mentalnie na to, że będę musiała jechać na wywołanie porodu, poczułam cichutkie pęknięcie, jakby pękł mi jakiś balonik w środku. Zerwałam się, by zobaczyć czy to wody, ale nie było żadnych oznak. Położyłam się więc na łóżku i wsłuchiwałam się, co dalej. Tak! To było to! Zaczęły się delikatne skurcze! Hurra! Kochanie! Zaraz mama cię zobaczy! Skurcze początkowo przychodziły raz na godzinę, ale dość szybko przyśpieszyły. Zadzwoiłam do

swojej położnej i umówiliśmy się na test wannowy – jeśli nie ustana, miałam przyjeżdżać do szpitala. Nie ustawała. Zadzwoiłam w nocy do Ali, która przejechała całą Warszawę, by być w tej wyjątkowej chwili ze mną. Ona nie pozwoliłaby bym i to musiała przeżywać sama. Wszystko odbywało się bardzo szybko. Coraz częstsze skurcze, ból i odpowiednie rozwarcie... Jednak sam poród stał się drogą przez mękę, bo moje maleństwo było połączone ze mną zbyt krótką pępowiną, która nie pozwalała dziecku wydostać się na zewnątrz. Wspólnymi siłami – ja, dwie lekarki i położna – wydobyliśmy dziewczynkę na świat. Wtedy pierwszy raz ją zobaczyłam. Taką maleńką! Gdy tylko Teresa, moja położna, podała mi ją w dłonie, świat się zmienił. Zawołałam:

– Ala, jest! Ala! Ala, gdzie jesteś? – bo przez chwilę nie zauważyłam, jak Ala ze łzami w oczach przeszła na drugą stronę łóżka, a gdy ją znalazłam, zawołałam: – Popatrz! Jest! Ala, skąd ona się tu wzięła?

Położyłam ją sobie na brzuszku, bo przez krótką pępowinę nie mogłam bliżej. I czułam ją inaczej niż dotąd. Dotykałam jej nie przez swoją skórę! Czy to nie cud? To był wielki cud! Codziennie się dzieją takie cuda jak narodziny! Codziennie się rodzą nowe życia! Ale w moim życiu ten cud był pierwszym i chyba dotąd największym. Leżał oto spokojnie na moim brzuchu. Pępowinkę odciął mój dzielny anioł – Ala – i zabrano maleńką na pierwsze oględziny. Dotarło wtedy do mnie, że nawet nie zauważyłam, jak wygląda, zafascynowana tym, że już jest ze mną. Zawołałam więc poruszona:

– Ala, zobacz, czy ona ma wszystkie paluszki! Czy ma wszystko? Jak wygląda?

A moja Ala wdrapywała się na palce, by dojrzeć. Nie udało się, ale zaraz mogłyśmy zobaczyć dziecko obie. Miała wszystko! Absolutnie wszystko! Mało powiedziane, miała więcej. Była najpiękniejsza na całym świecie! Zakochałam się w niej bez pamięci. I mimo krwawych wybroczyn na twarzy, gdyby mi ktoś powiedział, że mam ją rodzić raz jeszcze, zrobiłabym to zaraz. Mogę ją rodzić codziennie, tak bardzo ją kocham – myślałam.

To chyba miłość do Lenki, bo tak dałam jej na imię, skłoniła mnie do tego, by po około dwóch godzinach od narodzin napisać do Martina: „Masz piękną córkę”. Odpisał: „Gdzie jesteś?”. „W szpitalu”. „Ale którym?”. „Na

Solcu”. „Przyjadę”.

Było mi przykro, że pomimo iż wiedział, że miałam termin tydzień wcześniej, nie zadzwonił, nie zapytał co u nas, choć zarzekał się wcześniej, że ona jest jego szczęściem. Mimo to ta nowa i jeszcze nie do końca rozumiała dla mnie, bo bezgraniczna, miłość do mojego dziecka podpowiadała mi, że powinnam zapomnieć o sobie, o krzywdach – że teraz jest ważne tylko szczęście Lenki. A szczęśliwa będzie, mając ojca. Byłam przekonana, że gdy ją zobaczy, to zatonię w miłości do niej jak ja. Czekałam cały dzień na jego wizytę, nie spuszczać oczu z mojej kruszyny. Mimo zmęczenia nie mogłam zasnąć. Nie umiałam od niej oderwać wzroku. Przychodziły pielęgniarki i lekarki, kolejno zachwycając się jej włosami i urodą, a ja puchłam z dumy. Nie mogłam się doczekać aż zobaczę dumę ojca. A on kazał długo na siebie czekać. Lenka urodziła się rano, a Martin zadzwonił do mnie w końcu wieczorem, gdy na dworze od dawna było ciemno, z informacją, że będzie za godzinę, bo jechał z Poznania. Denerwowałam się bardzo, nie wiedząc, co się wydarzy, kiedy ją zobaczy. Przyjechał faktycznie w ciągu godziny. Wbiegł do sali, w której byłam sama z dzieckiem, i od razu wziął ją na ręce. Tulił, głaskał, całował... Wyglądał jakby był naprawdę szczęśliwy. Przyglądałam mu się z boku i czułam, że naprawdę może kochać. Czy się myliłam? Nie wiem. Po kilku zaledwie minutach odłożył ją i podszedł do okna. Wyglądał przez nie tak, jakby kontrolował, czy jest tam ktoś, kogo zostawił. Nie pytałam. Wrócił do nas. Zapytał, jak się czuję, i pobiegł znów do okna. Gdy wrócił, ponownie wziął Lenkę na ręce i szepnął:

- Ifi, kochanie, poznajesz? To tata.
- Ona ma na imię Lenka.
- Jak?
- Lena.
- Brzydko. Dlaczego mnie nie zapytałaś jak ma mieć na imię?
- Bo się nami nie interesujesz.
- Nie mam czasu. Wciąż gdzieś jeżdżę.
- Właśnie. Pewnie zapomniałaś o jej narodzinach, więc i z imieniem nie było sensu zawracać ci głowy.

– A nazwisko?

– Co masz na myśli?

– Jakie będzie miała?

– Na razie ma moje, ale za dwa tygodnie trzeba ją zarejestrować. Musimy do tego czasu zdecydować. Pojedziesz ze mną? Zarejestrujemy ją razem?

– A jak myślisz? Już ci mówiłem, że oczywiście! Nie chcę, by było z nią jak z Sarą. Chcę uczestniczyć w jej życiu.

Wstał i podbiegł do okna.

– Śpieszysz się? Ktoś na ciebie czeka?

– Nie. Nikt, ale muszę już iść.

– Miałam nadzieję, że posiedzisz z nią, a ja się umyję w tym czasie.

Muszę wziąć prysznic. Nie mam kogo poprosić.

– Nie mam czasu.

– Proszę. Zrobię to szybko.

– Dobra, masz pięć minut.

Gdy wróciłam znów stał przy oknie. Byłam pewna, że ktoś na niego czeka. Gdy tylko mnie zobaczył, nałożył szal i zapytał czy czegoś potrzebuję.

– Kończy mi się woda. Butelkę mineralnej, jeśli to nie kłopot.

– Dziś nie zdążę. Przywiozę ci jutro. Pa.

Pobiegł. Całe dwadzieścia minut miłości ojca. Czułam wielki zawód. Ogromny. Wzięłam Lenkę na ręce i szepnęłam do ucha: „Nieważne, kochana, jaki tata jest. Mama cię kocha za dwoje”.

Następnego dnia przyjechał z dwoma butelkami wody i oznajmił, że nie może zostać. Nawet nie zajrzał do małej, ale obiecał, że za to wieczorem będzie i zostanie dłużej. Nie przyjechał. Pojawił się, gdy już byłam w domu, pięć dni później.

Ze szpitala wyszłam po dwóch dniach. W dniu wyjścia do Warszawy przyjechała moja mama. Zdecydowała, że zostanie ze mną i pomoże przy małej aż stanę na nogi, co oznaczało zdobycie stabilności finansowej. I to był kolejny cud w tak krótkim czasie, bo nie miałam pojęcia, jak pogodzić wychowywanie Lenki z szybkim powrotem do pracy. Mama zostawiła dla mnie wszystko i zamieszkała w obcym miejscu, ofiarowując swoje babcine życie Lence.

Nie mogłam się doczekać aż ją zobaczę w drzwiach. Na samą myśl łązy cisnęły mi się do oczu, bo byłam pewna, że akurat ona, choć jeszcze nie widziała malej, kocha ją bardzo. Nie myliłam się. Ta kobieta z oczami pełnymi łez wzięła Lenkę na ręce tak, jakby była jej największym skarbem. Nikt, patrząc na moją mamę, nie byłby w stanie wątpić w jej miłość.

I tak, w pustym dotąd domu, zamieszkały oprócz mnie babcia i Lenka. Szybko wypełnił się hektolitrami miłości.

Dzień rejestracji Lenki przypadał na środę, w dwa tygodnie po powrocie ze szpitala. Martin widział dziecko wówczas dwa razy i za każdym razem przypominałam mu o tym dniu. W poniedziałek, dwa dni przed, wysłałam mu esemesa, by pamiętał. Nie odpisał. We wtorek rano – kolejnego i znów cisza. Później kolejne i kolejne, i nic. Zaczęłam dzwonić. Nie odbierał. Nie oddzwaniał. Potwornie głucha cisza. Nie mogłam zasnąć w nocy. Wysłałam i w nocy z trzy esemesy z pytaniem czy będzie. Nic. Cisza. Rano zaczęłam od telefonu. Znów nadaremnie. A czas upływał nieubłaganie. Za godzinę umówione spotkanie w urzędzie. Do cholery, gdzie jesteś? – pytałam w myślach. Ruszyłam w drogę bez wieści od niego. Z naiwną do bólu wiarą, że może on tam będzie. Wymyślałam, by dodać sobie sił, że może zgubił telefon, a pamięta datę i będzie, przecież z taką pewnością mówił, że nie chce sytuacji jak z Sarą. Coś się wydarzyło, ale on już tam czeka. Nie czekał. Weszłam do urzędu, który wydał mi się zimny i ciemny jak grobowiec. Grobowiec dla moich uczuć. Tak. Bo kazałam im wszystkim milczeć. Zanim przyszła moja kolej, obserwowałam pary przy okienkach. Pary, czyli mamy i tatusiów. Pary, do cholery! Przecież moje dziecko samo się nie zrobiło! Ono ma ojca. Gdzie on jest teraz? Ból rozwalał mnie od środka! Pary! Gdzie on... Dlaczego znów mi to robi? Mnie i jej. Czym ona zawiniła? Dlaczego ma nie mieć ojca?

W pierwszej kolejności musiałam wejść do maleńkiego pokoju, gdzie dość chłodna osóbką, nie patrząc mi niemal w oczy, wypytała o moją sytuację.

- Nie ma ojca?
- Nie dojechał.
- To co zrobimy?

– Czy mogę córeczkę zarejestrować, a później on przyjedzie i pani go dopisze?

– Mogę wam odroczyć termin, ale czy jest pani pewna? Skoro dziś jest taki problem, to i później będzie podobnie. Jeśli razem ją zarejestrujecie, będziecie o wszystkim decydować oboje. Jeżeli pani straci z nim kontakt, będzie poważny kłopot. Może tak dla pani jest lepiej? Widywałam już takie historie. Dobrze pani radzę.

Patrzyła na mnie jak na kolejny przypadek, podobny do setki innych, ale ja nie byłam jedną ze stu. Byłam jedyna! Wciąż wierzyłam, że sytuacja się zmieni, że moje dziecko będzie miało mamę i tatę.

– A czy ojciec będzie mógł być wpisany później?

– Oczywiście! Do osiemnastego roku życia dziecka może je uznać. Nie tylko on, pani Ingo.

Niczego jeszcze nie rozumiałam z tego, co wtedy mówiła, a że nie byłam pewna, czy Martin kiedykolwiek się w końcu pojawi, zdecydowałam się zrobić to sama.

– To jaka jest decyzja?

– Dobrze. Zarejestruję moją córeczkę sama.

– To zapraszam z tym dokumentem – wręczyła mi jakiś formularz – do trzeciego okienka.

Gdy wyszłam z tego pokoju, poczułam, jak pary oczekujące na swoją kolej patrzą na mnie. Jak to? Ona jest sama? A gdzie on? Puściła się! Dziwka! Tak. Tak się czułam! Jak dziwka, która puściła się, a teraz jej partner nie chce się przyznać do niej i dziecka. Sztywniały mi palce przy wypełnianiu dokumentu i paliły policzki. Nie odwracałam się za siebie, ale i tak nie mogłam znieść ciężaru tych wszystkich oczu. Podałam formularz urzędnikowi w okienku.

– Imię ojca trzeba podać – stwierdził po chwili.

– Jak to? Przecież nie ma tu ojca?

– Wiem. Ale zgodnie z polskim prawem do aktu urodzenia trzeba wpisać ojca, pole nie może być puste. W pani przypadku wpisujemy drugi raz pani nazwisko, a imię można jakies wymyślić. Może być „Jan”, jeśli pani nie wie.

Policzek! Wiem, do cholery!

– A jeżeli pani wie, to i tak nie musi pani podawać prawdziwego imienia. Wystarczy dowolne.

– Martin.

Co za cholernie głupi przepis! Ktoś musi być wpisany, a i tak każdy wie, że nie ma ojca. To znaczy, że ojciec się nie przyznaje. Pieprzony świat!

Dostałam akt urodzenia Lenki i wyszłam z tego piekła. Biegłam do samochodu, bo czułam, że uczucia nie będą już dłużej milczeć. Tak było. Wybuchłam. Płakałam, czując się jak dziwka, która się pogubiła w świecie.

Martin zadzwonił po południu.

– Nie mogłem przyjechać, bo byłem w Niemczech. Teraz wracam.

– Nie mogłeś odebrać, oddzwonić?

– Miałem wyłączony telefon.

– To dlatego przychodziły raporty doręczenia i był sygnał?

– Tak. Bo został w Warszawie.

– Pieprz się! – rozłączyłam się, bo wiedziałam, że kłamie. Nie odbierałam, gdy dzwonił ponownie i ponownie. Nie chciałam słuchać kolejnych kłamstw.

– Masz już od dziś formalnie na imię Lenka – szepnęłam do mojego maleńkiego cudu, tuląc ją mocno w ramionach – i mamę, która postara się też być tatą. Kocham cię bardzo.

Zrozumiałam, że wiara w to, że on zechce być dobrym ojcem to kanał. Mimo to nie zamykałam drzwi ani nie paliłam mostów. Nie chciałam decydować, czy moje dziecko ma mieć ojca czy nie. Nie miałam do tego prawa mimo wszystkiego, co przeżyłam wcześniej. Wierzyłam, że pomimo iż mnie źle potraktował, będzie choćby instynktownie ją kochał. Miałam nadzieję, że ruszy go sumienie i w końcu odda mi jakieś pieniądze. Każde byłyby dobre. Może sprzeda ten samochód. On oczywiście dużo obiecywał, ale rzeczywistość była dalece inna od jego obietnic. Lenka miała około miesiąca, gdy przyszedł trzeci raz ją odwiedzić. Zabawił kilka chwil, podczas których był bardziej zainteresowany mną niż maleńką. Jego największy zryw ojcowskiej miłości skończył się tym, że wziął ją na ręce, ucałował, powiedział coś w swoim dialekcie i pobiegł do lustra w przedpokoju, by

zobaczyć, jak wygląda z nią na rękach. Wtedy też zdarzył się oczekiwany przeze mnie cud. Dał mi pierwszy raz w życiu coś dla niej – pieniądze. Całe pięćdziesiąt złotych. Pięćdziesiąt złotych! Pięćdziesiąt! Co to miało być?! Co miałam za nie kupić!?! Nie odważyłam się podnieść ich ze stołu, na którym je położył. Zerkałam tylko czasem, nie wierząc, że to prawda. Ale one wciąż tam leżały. To była prawda. No dobra, wystarczy na paczkę pieluszek. Wow! Jaki gest!

Z każdym dniem, dzięki jego nieobecności, odzyskiwałam nową odrobinę spokoju i stabilności emocjonalnej. Zaczynałam poznawać kłamstwa i odróżniać je od prawdy. Na razie bardzo nieśmiało, ale jednak. Wiedziałam, że na jego pomoc nie powinnam liczyć, więc już miesiąc po porodzie zaczęłam poszukiwania pracy i przygotowania do pozostawienia Lenki pod opieką babci. Nie miałam innego wyjścia. Choć do szafu doprowadzały mnie płynące zewsząd informacje, że pierwsze miesiące dziecka z matką są niezbędne dla jego poprawnego rozwoju. Artykuły i programy stawiające matki w mojej sytuacji w poczuciu winy sprawiały, że czułam się nie do końca wartościową matką, a miałam być jeszcze ojcem. Ale miłość do mojej Lenki to był bastion wiary, że podołam i dam jej wszystko co najlepsze. I tak wykorzystywałam każdą wolną chwilę, gdy moja córeczka zasypiała na szukanie pracy w dzień, a gdy zasnęła na dłużej – również w nocy.

To właśnie jednego z takich wieczorów zajrzałam znów na stronę Pauline i to, co tam znalazłam, zważyło mnie z nóg. Ta kobieta dwa tygodnie wcześniej urodziła dziecko! Dziecko, które jest o miesiąc młodsze od mojej Lenki! Zaczęłam gorączkowo liczyć, czy to możliwe, by Martin był jego ojcem. Tak! To całkowicie możliwe, jeżeli zaszła w ciążę zaraz po jego przyjeździe do Afryki! Co za potworny ból! Czułam, jak jakieś ogromne ciśnienie przechodzi przez wszystkie moje członki i kieruje się ku górze, by eksplodować czaszką. On zrobił jej dziecko, gdy ja byłam w ciąży?! Wszystkiego się już spodziewałam, ale nie takiego ciosu! Nie wiedziałam nawet, co mnie tak w tym zabolowało. Nie miałam dowodów, że ona jest jego żoną. Fakt! Ale byłam tego w głębi serca pewna! Ja to wiedziałam. Potrzebowałam jedynie czasu, by to udowodnić. Tymczasem ból mnie

paraliżował bardziej i bardziej, gdy patrzyłam na jej zdjęcie wraz z podpisem pod nim: „Jak wyglądam w dwa tygodnie po urodzeniu dziecka?”. Odebrano mi jakby w tym momencie coś w rodzaju radości, że on się naprawdę cieszył wzrostem Lenki w moim brzuchu. Może i się cieszył, ale ta radość była o połowę mniejsza, niż mi się wydawało, bo dzielił ją na pół. A i bez tej wiadomości było jej niewiele. Był ze mną tu w Warszawie i kradł mi pieniądze na kolejne dziecko Pauline! Przypomniałam sobie, jak za pierwszym razem, gdy był u nas, zapytał, czy płaciłam za szpital, bo w jego kraju, jeśli się zapłaci tysiąc złotych na kilka miesięcy wcześniej, to się rodzi jak królowa. Zaraz po tym przypomniałam sobie, jak wymusił ode mnie w grudniu dokładnie tysiąc na szpital dla matki. Mój ostatni w tamtym momencie tysiąc. Czyżby dla niej?! Jak to wszystko boli! Do cholery, jak boli! Czułam, że wybuchnę od naporu uczuć. Jak on mógł? Kim on jest?! Zabrał pieniądze mojemu dziecku i dał innemu. Czyżby było lepsze? Tylko dlatego, że nie było moje?!

Po kilku godzinach, bo tyle było mi potrzebne, by dojść do siebie, zasnąłam z postanowieniem, że zadzwonię z tym newsem do niego.

Rano nie odbierał. Oddzwonił po kilku godzinach.

– Martin, czy Lenka ma o miesiąc młodszego brata?

– Skąd wiesz?

– Z Facebooka.

– Pytam, skąd wiesz, że moja siostra urodziła – poprawił się, orientując się, że popełnił błąd.

– Mówię ci, że z Facebooka.

– Inga, czy ty nie przestaniesz mnie sprawdzać? My już nie jesteśmy razem. Nie masz powodów ani prawa, by to robić.

– Oczywiście, że mam! Jesteś ojcem mojego dziecka i chcę wiedzieć, jaka jest prawda.

– Nie trzeba było mnie wyganiać z domu, to byś miała prawo i byłbym ojcem.

– Tak. To w twoim stylu – obarczać mnie winą. Nie trzeba było mnie okradać!

– Nie okradłem cię. Sama mi dałaś te pieniądze.

– Prawda. Ale za każdym razem mówiłeś mi, że je oddasz i że będę mogła dobrze żyć, jeśli ci je dam.

– To nie moja wina, że miałem kłopoty! – zaczął krzyczeć. – Zresztą, to wszystko przez ciebie, bo nigdy nie dałaś mi ich z serca, a jak tak się daje, to interes nigdy się nie uda.

– Nie zaczynaj. Prawda jest taka, że mnie okradłeś i dałeś wszystkie moje pieniądze swojej żonie oraz dzieciom. Popatrz, co zrobiłeś! Zabrałeś jednemu dziecku ostatnie pieniądze, by dać innym dzieciom i ich matce, która stroi się w coraz to nowsze kreacje, podczas gdy ja nie mam na chleb dla siebie i mleko dla dziecka.

– Ile razy, chora kobieto, mam ci mówić, że to moja siostra? Cała moja rodzina się już z ciebie śmieje.

– Tak? A oni wiedzą, że masz ze mną dziecko?

– Tak.

– To dlaczego nikt nie zadzwoni i nikt o nią nie pyta? Masz matkę i cztery siostry! Dlaczego?

– Bo się boją, bo ty zaraz im wypomnisz pieniądze.

– Kłamstwa! Kłamstwa! Nikt o niej nie wie! Jaka babcia by wytrzymała bez wieści o wnuczce.

– Ja im czasem mówię.

– Co im mówisz? Sam jej nie znasz! Nie wiesz nawet, jak ma na imię.

– Wiem.

– Jak?

– Nena.

– Właśnie! Lena! Twoje dziecko ma na imię L-e-n-a! Martin, obiecuję, że ci udowodnię, że to jest twoja żona i że mnie okradłeś. A wtedy twoje dni w Polsce się skończą. Do tego czasu byłoby lepiej, żebyś mi oddał wszystkie moje pieniądze. I pamiętaj, ona ma na imię Lena!

Rozłączyłam się. Czułam całą sobą, jak rosnę w siłę mimo olbrzymiego bólu. Czułam też, że właśnie coś się zmieniło. Nie chciałam go już więcej widzieć. Może to egoistyczne, ale szczerze wątpiłam, czy kontakt z takim ojcem może być dobry dla mojego dziecka. Nie wierzyłam w jego nawet minimalną miłość do niej. Postanowiłam nie odbierać telefonów i nie

kontaktować się z nim. Uznałam, że miłość ojca powinna być na tyle silna, że mimo iż nie będę ich odbierać, on się postara i coś w końcu zmieni.

Czekałam na jakikolwiek gest, ale nie na puste słowa jak dotąd, a na gest, który pozwoliłby mi uwierzyć, że warto mu dać szansę i pozwolić widywać Lenkę. Walczyłam o dobrego ojca dla niej, a separowałam niszczącego człowieka bez serca.

Tymczasem obserwowałam życie jego rodziny z boku, podglądając je czasem poprzez dwa kontynenty, na Facebooku.

Minęło kilka miesięcy. Lato zagościło na dobre. Od tamtego czasu Martin wpadł do nas znów dwa razy. Raz prosto z lotniska, na kilka minut z informacją, że: „Teraz już tata jest w domu i już wszystko będzie dobrze”. Dodał wtedy, że mi wszystko wyjaśni następnego dnia. Niczego nie wyjaśnił, bo nie pojawił się przez ponad miesiąc. Po tym czasie, jakby nigdy nic, zapukał do drzwi. Gdy otworzyłam i zobaczyłam, że to on, chciałam je szybko zamknąć, ale on włożył nogę między drzwi i wepchnął mnie do środka, po czym wszedł za mną.

– Uspokój się! Wiesz, co musiałem zrobić, by tu do was przyjść?

Nie odpowiadałam.

– Musiałem zabić człowieka.

Na sekundę zmroziły mnie te słowa, ale nie uwierzyłam w nie. Mógł kraść, sprzedawać i przemycać narkotyki, ale nie zabijać. W to nigdy nie uwierzę. I daj Boże, bym się w tym nie myliła. Mimo wszystko czułam, że chce mną znów manipulować. Musiałam to uciąć.

– Czego chcesz?

– Przyszedłem zobaczyć Nene. – Poczulałam, jak krew napływa mi do głowy i zaciskają się pięści.

– Ona ma na imię Lena. Masz nasze pieniądze, by nam oddać?

– Nie mam pieniędzy! Nie zaczynaj znów, materialistko!

– A masz dla niej cokolwiek?

– A co miałbym mieć?

– Cokolwiek! Choćby jedną pieluszkę.

– Dałem ci ostatnio pieniądze.

– I nie wstydzisz się mówić o tym?

– A czego tu się wstydzisz. Inga, uspokój się. Przytul się do mnie. – Złapał mnie w biodrach i próbował przyciągnąć do siebie.

Wyrwałam się.

– Chyba żartujesz? Ta dyskusja nie ma sensu. Wyjdź, proszę.

– Mam prawo być w tym domu, kiedy chcę, bo to dom mojego dziecka. Co za bezczelny typ! A gdzie był ten ojciec, kiedy trzeba było iść do urzędu?!

– Martin, jeśli nie wyjdiesz w tej chwili, zadzwonię na policję.

– I co im powiesz?

– Wszystko co wiem o tobie!

– Wariatka. To nie mogę zobaczyć córki?

– Nie.

Mimo mojej prośby by wyszedł, wpadł najpierw do jednego, później do drugiego pokoju i gdy nie zobaczył Lenki, stanął w drzwiach, rzucając za siebie:

– Wariatka.

I wyszedł.

Zadzwoniłam natychmiast do mamy, która była z Lenką na spacerze. Okazało się, że są bardzo daleko od domu. Uff. Ubrałam się szybko i wybiegłam z domu, by być z nimi. Wtedy poczułam, jak bardzo się boję.

Martin poleciał do Afryki. My szykowałyśmy się do chrzcin Lenki, a on na podobną, jak się później okazało, uroczystość. Dzień przed naszym świętem, przeczytałam na Facebooku, że ich syn, Frank, wraz z obojgiem rodziców będzie następnego dnia obchodził swój pierwszy raz w Kościele, dokładnie tego samego dnia, gdy moja Lenka miała być chrzczona w dalekiej Polsce na rękach matki, bez ojca. Nieprawdopodobne. Zastanawiałam się, jakie jeszcze próby Bóg na mnie ześle, ale nie wykrzykiwałam mu tego, bo tylko dzięki niemu wciąż żyłyśmy, obie zdrowe i gotowe do walki o dalsze życie. Łzy same płynęły z oczu, gdy dostrzegałam, jak wiele ten człowiek jej zabrał. Fakt, dał jej życie, jednak to nie może czynić go ojcem. Bycie ojcem to zdolność do kochania, której on dla Lenki nie miał.

Dzięki Bogu, już od kilku miesięcy pracowałam, bardzo wolno rozkręcając się zawodowo, kradnąc wiele dni Lence i oddając się jej w stu

procentach, gdy tylko byliśmy razem. Różnie nam było, ale nie porzucałam nigdy wiary, że dam radę. I dawałam. Choć czasem było naprawdę ciężko – zarówno psychicznie, jak i, może nawet przede wszystkim, fizycznie.

Bardzo szybko przyszła jesień i to był najdziwniejszy okres od rozstania z Martinem. Ogromnie dużo pracowałam, często wyjeżdżając. Niestety, wielokrotnie na kilka dni, najdłużej dziewięć, ale zazwyczaj wyjeżdżałam na cztery lub pięć. Zdarzało się też, że wracałam na dwa dni do domu i znów wyjazd. Bardzo tęskniłam do Lenki! Bałam się, że coś mnie ominie, na przykład, jak siada samodzielnie, jak zaczyna raczkować i wspinać się na nóżki przy łóżku, ale na szczęście – pewnie znów z pomocą palca Bożego – zawsze byłam przy niej w tych przełomowych momentach w jej życiu. Zasypiałam, myśląc o niej i oglądając jej zdjęcia, których robiłam setki, a może nawet tysiące. Nie martwiłam się, bo wiedziałam, że jest z osobą kochającą ją zaraz po mnie najbardziej na świecie, a może nawet tak samo. Z moją mamą. Drugim aniołem od Boga w tamtym okresie. Jednak tęsknota była bardzo ciężka. Myślałam, że z czasem będzie mi łatwiej. Myśl ta jednak okazała się błędna. Było coraz trudniej, bo z każdym dniem więź pomiędzy mną i moją córeczką rosła. Jednego dnia myślałam, że kocham ją tak, że bardziej się nie da, a następnego czułam, że kocham jeszcze bardziej. Czy to możliwe? Możliwe. Bo taka była właśnie moja miłość do niej.

Przez długi okres Martin się z nami nie kontaktował. Miałam wrażenie, że zdołałam poukładać dzięki temu myśli. Czarne zaczynało być czarne, a białe zdawało się być znów białe. Pogodziłam się z tym, że nie odzyskam pieniędzy i prawie pożegnałam nadzieję, że ojciec mojego dziecka dozna jakiegoś objawienia i spróbuje pełnić swoją funkcję. Słowo „prawie” okazało się jednak mieć duże znaczenie. W kochającym sercu nadzieja umiera ostatnia. A kochałam moją córkę bardzo, dlatego pielęgnowałam w sercu nadzieję, choć rozumowi nie pozwalałam się do tego przyznać nawet przed samą sobą.

Po długiej nieobecności Martin zadzwonił jednak w końcu z zastrzeżonego numeru:

– Cześć. To ja. Nie odkładaj. To ważne.

Słuchałam.

– Udało mi się w końcu. Mam pieniądze. Już jest dobrze.
– I co to znaczy dla nas?
– Zaopiekuję się wami.
– Jak?
– Będę wam pomagał. Kupię ci samochód. Jaki to miał być? Honda accord? Tak. Taki ci kupię. Znów będziesz mnie kochać. I Ifi...
– Lenka.
– ...i Lenka będzie już szczęśliwa, że ma mamę i tatę. Już dobrze. Mam dużo pieniędzy.
– A co robisz? – zapytałam zaniepokojona.
– Nie pytaj. Nie chcesz wiedzieć. Znam cię.
– Coś złego?
– Inga, nie pytaj. To nie ma znaczenia. Zabiłabyś mnie jakbym powiedział. Mogę przyjechać do was jutro?
– Nie. Wyjeżdżam jutro do Szczecina.
– Na długo?
– Na cztery dni.
– Wow! I zostawiasz Lenkę samą?
– A co niby mam robić? Myślisz, że to dla mnie łatwe? Nie oceniaj mnie. Nie masz do tego prawa.
– Pewnie nie. A może mogę pojechać z tobą?
– Po co?
– A nie mogę?
– Ale po co? Co ty chcesz ze mną tam robić?
– Wiesz co. Chcę wszystko naprawić.
– Jeżeli chcesz, możesz zobaczyć córkę, a nie mnie. Możesz ją odwiedzić.
– Nie chcę przyjeżdżać, kiedy ciebie nie ma.
– Ale dlaczego? Po co ja ci jestem potrzebna?
– Inga, wiesz, że byłaś najważniejsza...
– Nie. Nie chcę tego słuchać...
Rozłączyłam się, ale w głowie wciąż dudniły jego słowa. O co tu chodzi? W co on ze mną gra? Znów chce mnie oszukać? Widzi, że jakoś sobie radzę,

mimo tego w jakim miejscu byłam i ponownie chce mnie okraść? Jednak mówił, że ma pieniądze. Nie. To nie może być czyste. Trzymaj się z daleka, Inga! To były rozważania rozumu, tymczasem serce z rozpaloną do czerwoności nadzieją postanowiło przyglądać się temu, co się dzieje. I zaczęła się od nowa huśtawka emocji, mniejsza niż wtedy, gdy byliśmy jeszcze razem, ale trwała i męczyła jak robal. Martin pojawiał się i obiecywał gruszki na wierzbie dokładnie tak, jak tego pierwszego dnia, gdy jechałam do Szczecina, a potem zniknął na miesiąc lub co najmniej kilka tygodni. Namawiał mnie, bym go zaprosiła do hotelu, a gdy się nie zgadzałam, znów zniknął. Lenkę widział w tym okresie dwa, może trzy razy – jakoś mu zawsze było nie po drodze. Każdorazowo z pustą ręką, z małym wyjątkiem, bo kiedyś dał jej dwieście złotych. Pusty gest, zwłaszcza, że za kilka tygodni musiałam zapłacić jego mandat na tysiąc złotych, bo jechał moim samochodem i przyszło kolejne upomnienie, a gdy dzwoniłam, a później pisałam, by go zapłacił, znów zniknął. Gdy milkłam, nacierał z kolejną szarżą na moją naiwność, która jednak już wcale nią nie była. Przestałam być dziewczyną, którą mógł manipulować. Mogło mu się tak wydawać, bo pozwalałam mu na kontakt, będąc ciekawa, czy da mi jakikolwiek powód, bym pozwoliła mu widywać się z córką. Bardzo tego pragnęłam. Jednak było to pragnienie jednego serca, bo Lenka jeszcze niczego nie rozumiała, a on wcale nie pragnął bliskości ze swoim dzieckiem.

Tymczasem na stronach Facebooka Pauline zamieszczała zdjęcia jeepa, którego dostała od męża oraz innych drogich prezentów. Wkurzało mnie to! Wciąż szukałam dowodów na to, że to jego rodzina. Rosło we mnie poczucie niesprawiedliwości i złości na Martina. Każdy psycholog by się ucieszył. Złość to oznaka żegnania się ze smutną przeszłością oraz powrotu do emocjonalnego zdrowia. A ja zaczęłam być wściekła na Martina. Zaczynałam go nienawidzić! Tak. Nie boję się tego słowa. Nienawidziłam i jego, i każdego wspomnienia o nim. Bałam się wcześniej, że to będzie rzutować na uczucie do mojej córki, ale Pan tego mi oszczędził. Zauważyłam, że w jej twarzy nie było podobieństwa do ojca. Patrzyłam na nią i szukałam w niej Martina, ale nie znajdowałam. Nie poczułam ani razu, że ona jest jego krwią. Serce tego nie widziało. Widział czasem umysł, ale jaka matka patrzy na

dziecko umyślem? Tylko serce patrzy na maleńką miłość, która jest częścią matczynego ciała. Znów nie odbierałam telefonów nieznanymi mi i zastrzeżonymi, sprawdzałam przed otwarciem drzwi, kto jest w świetle wizjera. Moją matkę poprosiłam o to samo pod moją nieobecność. Dałam sobie dużo czasu, by przyszykować się do starcia ostatecznego. Potrzebowałam zawalczyć o prawdę. Musiałam zwyciężyć, by ruszyć w dalsze życie.

– Lubisz bitwy? – zapytał Dawid. – Potrzebujesz zwyciężyć?

– Nie. Dla samej walki nie – odpowiedziała Inga, jakby zaskoczona pytaniem – ale tej bitwy i zwycięstwa potrzebowałam dla odzyskania siebie samej, szacunku do siebie i tego, co kocham.

– Jesteś więc gotowa na bitwy w imieniu tego, co kochasz, tak?

– Tak... Raczej tak... Ale o co ci właściwie chodzi? Myślisz, że powinnam była odpuścić i tak po prostu żyć dalej, nie wiedząc nawet, co dokładnie się wydarzyło? Kim był ten człowiek? Odpuścić i udawać, że jestem szczęśliwa, kryjąc pod fałszywym uśmiechem ogromny brak szacunku dla siebie samej?

– Ależ skąd! Przeciwnie! Uważam, że w życiu nigdy nie możemy pozostawać w bylejakości, oddając komuś to, co kochamy. Nigdy nie wolno nam rezygnować z tego, co dla nas ważne – zaśmiał się, słysząc co mówi. – Filozof ze mnie, co?

– Trochę, ale masz rację. Po co nam byle jakie życie?

– Mądra dziewczyna!

Wstał i wyciągnął do niej rękę, jakby prosząc, by i ona wstała.

– Pijesz coś jeszcze? Jeśli nie, to zabieram cię z tego miejsca.

– Dokąd?

– Jak to? Na bitwę!

Zabrzmiało to bardzo intrygująco, ale jego spokój, uśmiech i pewność w tym, co proponuje, sprawiły, że nie pytała. Podała mu rękę, zabrała torebkę i posłusznie wyszła. Na zewnątrz zaczynał z wolna nastawać poranek. Daleko było jeszcze do niego, ale już pierwsze promienie słoneczne mieszały się z nocą. Wszędzie zdawało się być bardzo cicho i martwo. Ta poruszająca się

dwójka nie pasowała zupełnie do chłodnego krajobrazu. Szli około pół godziny w milczeniu. Podczas marszu Inga zaczynała czuć lekki niepokój, nie wiedząc, co ją zaraz spotka, w końcu jest z obcym mężczyzną. Jednak gdy spojrzała na niego, spotkała jego roześmiane i dumne z siebie oczy i niepokój minął.

Dawid przyprowadził ją znów nad Wisłę, ale w miejsce, w którym nigdy dotąd nie była.

– Tu możesz postawić torebkę. – Wskazał kawałek kamienia pośród piasku. – I poczekaj chwilę.

Zrobiła wszystko posłusznie, nie zadając żadnych pytań. Stała na piaszczystej plaży, całkowicie wolnej o tej porze od obcych oddechów. Nad nią widać jeszcze było pojedyncze gwiazdy, obok cicho płynęła woda, a kilkadziesiąt metrów dalej szumiały delikatnie drzewa. Przyjemnie.

– Podoba ci się tu?

– Tak.

– Zamknij oczy i spróbuj to wszystko poczuć.

Znów zrobiła dokładnie tak, jak prosił. Patrzył na nią, gdy stała pośrodku małego wszechświata, delikatnie unosząc ręce ku górze i biorąc głęboki oddech. Piękna jest – pomyślał. Wyciągnął telefon i zaczął czegoś w nim szukać. Znalazł. Tak. Ta będzie dobra – pomyślał.

– Inga, ufasz mi?

– Nie – odpowiedziała stanowczo, ale z lekką przekorą, bo była pewna, że niczego złego jej nie zrobi.

– Ha, ha. A wierzysz, że nie zrobię niczego, czego nie zechcesz i co byłoby złe dla ciebie?

Zastanowiła się chwilę. Wzbudził jej wielką ciekawość, ale i niewielką ekscytację, podszytą stresem. Jednak nie, nie boi się go.

– Wierzę.

– To za nic w świecie nie otwieraj oczu. Obiecuj.

– Dobrze.

– Obiecuj!

– Obiecuję!

Czuła się, stojąc tak pośrodku plaży z zamkniętymi oczami, coraz

bardziej wrażliwa i wyostrzały się jej samoczynnie wszystkie zmysły. Nasłuchiwała, co się będzie działo dalej, aż usłyszała pierwsze, bardzo ciche dźwięki tuż obok. Skąd ta muzyka? Chyba z telefonu. Tak. To musi być telefon. Znam ją. Znam te dźwięki. To *Vamos Ficar Por Aqui*. Nie! On oszalał! Nie! Inga czuła, jak jej nad wyraz wyczulone w tym otoczeniu receptory zaczynają szaleć, a w ciele pojawia się napięcie. Przyjemne i zarazem obezwładniające. Poczowała, jak jej ciało bezwiednie zaczyna drżeć. Ona już nad tym nie zapanuje. Czy otworzyć oczy i uciec? Bitwa! Teraz to rozumie! Walka o to, co kocha! Walczyć czy uciec? Postanowiła, że podejmuje wyzwanie. Drżenie nie ustawało, a ona gorączkowo oczekiwała jakiegoś znaku od Dawida. Gdzie on jest? Co robi? Niczego nie czuje. Niczego nie słyszy? Gdzie jesteś? – poszukiwała go. Jest. Poczowała ciepło tuż za plecami, a chwilę później jego rękę na ramieniu. Jej ciało zaczynało drżeć coraz bardziej, a we wnętrzu zapłonął ogień. Czy da radę? Dawid obszedł ją dookoła, trzymając wciąż delikatnie rękę na ramieniu Ingi. Stał przed nią. Poczował jak drży. Zdało mu się to niezwykle pociągające, była w tym tak bezbronna i niewinna, a ruszała na wojnę. Położył jej ręce na plecach i stał tak jeszcze kilka sekund, czekając na jej krok. Podjęła wyzwanie, podniosła rękę ku górze, opierając je delikatnie na jego barkach. Zdjął jej prawą dłoń i zamknął w swojej. Znow kilka sekund zanim ruszy dalej. Uda mu się to pomimo jej drżenia. Uniósł delikatnie nogę ku górze, a jej noga wciąż tkwiła na piasku. Wykonał kilka takich ruchów obydwoma nogami na przemian. Jest! Jej noga drgnęła wraz z jego ruchem. Teraz kolej na ruch bioder do przodu. Jest! Jest kontakt! Jej biodra również się poruszyły. Czas porwać ją w krok za sobą. Zrobił krok do tyłu, jej noga ruszyła za nim. Cudownie! Bardzo wolno zaczynają poznawać swoje taneczne ciała. Lekko ją przechylił do tyłu, poddała się i ruszyli wolno w ruchu dookoła własnej osi. Jej wciąż drżące ciało poddało się boskiej kizombie. Stopili się w jej ukochanym tańcu. Gdy na nią spojrział, zobaczył jak po jej policzkach spływają łzy. Zatrzymał się i otarł je swoją dłonią.

– Wygrałaś! Jestem z ciebie dumny! Obiecuj mi, że już nigdy więcej nie zabronisz sobie niczego, co kochasz.

– Obiecuję.

– Zrozum, że to był zły człowiek i nie kizomba, a jego manipulacja i twoje piękne, dobre serce dały mu siłę. On nie zasługuje na to, byś przez niego przestała tańczyć, przeciwnie – pokaż mu, że jesteś ponad to.

Zwyciężaj dla tego, co kochasz! A kochasz ten taniec, prawda?

– Tak. Bardzo. Wiedziałaś, że nie tańczę przez niego. Nie tańczę, bo kizomba przechyliła wtedy szalę i bałam się jej.

– Ale to było bardzo dawno. Dużo przeszłaś. Dużo się nauczyłaś. To się więcej nie powtórzy. Tańcz, Inga! Dla Lenki, która musi mieć szczęśliwą mamę, i oczywiście – dla siebie. Już dobrze...

Przytulił ją mocno.

– Już dobrze, moja zwyciężczyni. A jak z tamtą bitwą? Jak ją wygrałaś?

– Wygrałam?

– Tak. Jestem pewien, że wygrałaś.

– No tak. Zwycięstwo może mieć wiele imion. Późno już... albo wcześniej – zaśmiała się – bo zaraz ranek. Chodźmy do centrum, tam złapię taksówkę i opowiem po drodze.

– Dobrze, ale pod jednym warunkiem.

– Jakim?

– Takim, że znów pozwolisz mi poprowadzić cię pod rękę. – Po chwili z uśmiechem dodał: – Bo zimno.

Coraz bardziej go lubiła.

– Dawid, dziękuję ci za dzisiaj i za kizombę.

Uśmiechnął się tylko, wziął jej torebkę, zarzucił ją sobie na ramię i podał Indze rękę. Ruszyli, by po drodze ją poznać – on, a ona – by zmierzyć się z ostatnimi momentami swojej historii.

– Wszystko, co dotąd prezentował swoją postawą Martin, stanowiło dowód na to, że ułudą było liczyć, iż zwróci mi pieniądze albo że w jakikolwiek sposób nam pomoże. Jeszcze bardziej przestałam wierzyć w to, że jest w stanie kochać Lenkę. Jakim jest ojcem ten, kto widział swoje dziecko sześć, może siedem razy od jego narodzin, a zbliżały się już pierwsze urodziny naszej córki. Ktoś może powiedzieć, że nie ilość, a jakość świadczy o miłości. Owszem, to zapewne prawda, ale nie w tym przypadku. Z tych

siedmiu razy ze dwa był trochę dłużej niż godzinę i raz nawet się z nią bawił. Fakt. Jednak zawsze interesowałam go bardziej niż ona. Próbował mnie tulić, całować i robić mi zdjęcia. Raz zrobił zdjęcie małej, mówiąc, że wysła siostrze z Ameryki. Staralam się być sprawiedliwa, może on tylko tak umiał kochać i może tak właśnie wyglądała w jego wykonaniu głęboka miłość, ale ja nie byłam w stanie w nią uwierzyć. Zresztą, później przyszło mi się jeszcze o tym przekonać.

Po długim okresie ciszy i spokoju, gdy poukładałam swoje myśli i uczucia, doszłam do wniosku, że nie pozwolę na takie traktowanie mnie i dziecka. Zdecydowałam, że wnoszę sprawę o ojcostwo i alimenty. Wiedziałam jak on zareaguje i nie chciałam zbyt wielu emocjonalnych kosztów dla siebie, dopuściłam więc możliwość, że jeżeli będzie mi regularnie co miesiąc dawał równowartość alimentów, nie pójdę do sądu. Miałam jego dane, takie jak numer karty pobytu, wpisane w niej imię i nazwisko oraz adres zameldowania, na który została wystawiona. Znałam miejsca, w których bywał, byłam pewna, że złożenie wniosku nie będzie żadnym problemem. Jednak jeszcze bardziej byłam przekonana, że on tego nie zechce i jest szansa na to, bym dostawała od niego pieniądze.

Zadzwoiłam do niego, ale nie odbierał. Napisałam więc esemesa: „Zadzwoń. To bardzo ważne”. Oddzwonił po południu.

- Cześć, to ja.
- Cześć.
- Co się stało?
- Musimy serio porozmawiać.
- O czym?
- O pieniądzach.
- To ma być ważne?! Ty znów swoje?!
- Nie. Tym razem chcę ci oznajmić, co postanowiłam.
- Co ty możesz postanowić w sprawie pieniędzy?
- Idę do sądu i wnoszę sprawę o ojcostwo, a później o alimenty!
- Oszalałaś! Do jakiego sądu?! – zaczął głośno krzyczeć. – Ty masz problemy z głową! Niczego mi nie udowodnią!
- Czego? Tego, że jesteś ojcem małej? Wystarczy twoja krew.

– To nie jest moje dziecko! – wrzasnął.

Prawy sierpowy między oczy. Bardzo zabolalo uslyszeć coś takiego. Nie chciałam dłużej tego ciągnąć.

– Znasz moją decyzję. Dla mnie to koniec rozmowy.

Rozłączyłam się. On jednak się nie poddawał i dzwonił bez ustanku. Odebrałam w końcu któryś z kolei telefon.

– Masz dla mnie jakąś propozycję skoro tak dzwonicz?

– Jesteś skończoną kretynką! Ja nigdy nie chciałem tego dziecka!

Zmusiłaś mnie! Idź do sądu, to im to powiem.

– Na pewno ci uwierzą.

– Uwierzą! Czy myślisz, że tylko tobie będą wierzyć, bo jesteś biała?

– To już na mnie nie działa!

– Ona nie jest moim dzieckiem! Nawet nie chciałaś bym ją zarejestrować w urzędzie!

– Co?

– Nie powiedziałaś mi kiedy! Nawet nie wiesz, jak mi było wtedy smutno, ale wybaczyłem ci to!

– Nie będę tego słuchać! – zaczęłam krzyczeć. – Nawet nie wiesz jak mnie bolało wtedy, gdy stałam w urzędzie i dotarło do mnie, że jej nie kochasz.

– Bo jej nie chciałem, ale gdy już była, zaakceptowałem to!

Drugi raz się rozłączyłam przytłoczona ciężarem tego, co usłyszałam. Jaki trzeba mieć tupet, by opowiadać takie rzeczy. Kim on jest?! Panie, błagam, zatrzymaj tego człowieka z dala ode mnie i mojego dziecka!

Znów dzwonił raz za razem. Nie odbierałam. Napisał wiadomość byśmy się dogadali, obiecując, że nie będzie więcej krzyczeć.

Odebrałam. Taki był mój cel – dogadać się w kwestii pieniędzy.

– Słucham.

– Przepraszam. To nieprawda, co mówiłem.

– To akurat nie jest dla mnie ważne, bo w końcu wiem, co jest prawdą, a co nie.

– Powiedz, co mam zrobić, byś nie poszła do sądu?

– Płacić mi co miesiąc równowartość alimentów.

– A ile to?
– Myślę, że około siedmiuset złotych.
– Co? Nie mam tyle! Trudno mi tu przeżyć.
– Nie chcę tego słuchać. Nie interesujesz mnie ty, tylko moje dziecko.
Albo mi będziesz dawał te pieniądze, albo idę do sądu.
– Dobrze. Dam ci sześćset, okej? Nie mam więcej. Błagam!
– Dobrze, ale pamiętaj, że jeśli choć przez jeden miesiąc ich nie dostanę,
to nie uprzedzając cię, pójdę do sądu.
– Dobrze, obiecuję. A co u ciebie?
– Nieważne! Może zapytaj o córkę?
– Jak Ifi?
– Ona ma inaczej na imię. Pamiętasz jak?
– Nene – powiedział jakby nieśmiało.
– Lena, Martin! Lena!
– Powiedz, co u ciebie. Możemy się spotkać?
– Nie. Po co?
– Tęsknię! Nie brakuje ci seksu?
– Nie!
– Masz kogoś? Wróciłaś do męża? Czy masz kogoś nowego?
– Mam! – skłamałam, by dodać sobie siły.
– Wow! Inga, spotkaj się ze mną. Chcę się z tobą kochać jak dawniej. –
Chyba nie uwierzył. Nigdy nie byłam dobra w kłamaniu. – Hmm. Co ty na
to?
– Jedyne, czego od ciebie chcę, to moich pieniędzy. Absolutnie niczego
więcej. A swoje gierki schowaj sobie do kieszeni, bo na mnie już nie działają.
Nie masz żadnej mocy nade mną.
Minał miesiąc, a pieniędzy nie dostałam. Wolałam opcję bez sądu, bo
czułam, że to nie będzie dla mnie dobre. Byłam wciąż zbyt słaba
emocjonalnie, by przed obcymi ludźmi wyciągać swoje sprawy. Pamiętałam
jak dużo kosztowała mnie rozprawa rozwodowa, choć to była niemal
formalność. Napisałam więc esemesa, dając sobie ostatnią szansę: „Minał
miesiąc. Nie mam pieniędzy. Idę do sądu”.
Oddzwonił natychmiast ze swojego kraju.

– O czym ty mówisz? Mój przyjaciel miał ci je przywieźć. Nie zrobił tego?

– Nie!

– Poczekaj...

Wybrał z drugiego telefonu jakiś numer i prowadził rozmowę tak, bym ją słyszała. Mówił z jakimś mężczyzną. Używał swojego języka, tylko od czasu do czasu – angielskiego. Na koniec rozmówca potwierdził, że Martin dał mu pieniądze.

– Widzisz? – kontynuował, gdy zakończył tamtą rozmowę. – Dałem mu, a on nie przekazał ci ich.

– Nie wierzę. Nie działają już na mnie takie telefony. Nie mam pieniędzy i to koniec dyskusji. Do zobaczenia w sądzie.

– Ale niby gdzie oni mnie znajdą?

– Chociażby, gdy przekroczysz granicę. Chcę jeszcze, żebyś wiedział, że zaraz przesyłam twoje dane do kilku osób i jeżeli mi albo dziecku coś się stanie, to pójdą z tymi danymi i listem o tym, co mi zrobiłeś, na policję.

– Pieprz się!

– Nie mam zamiaru. Miałeś przez ponad rok szansę na zrobienie czegokolwiek. Teraz czas na mnie. Cześć.

Dzwonił jeszcze kilka razy, ale nie chciałam go słuchać z szacunku do samej siebie. Napisałam tylko: „Teraz jest mój czas. Tylko pieniądze na moim koncie mogą cię uratować”. Odpisał, że nie ma i że brak mi serca. Może już go nie miałam, ale to była wyłącznie zasługa Martina. On mi je zabrał i zniszczył swoimi manipulacjami oraz oszustwami. Byłam jak terminator, który rusza na poszukiwanie prawdy, sprawiedliwości i szacunku. Tymczasem na Facebooku Pauline pojawiły się wieści, że mąż kupił jej na urodziny kolejny samochód, tym razem mercedesa. Informacja o tym zadziałała jak zapalnik. Do mnie pisze, że nie ma pieniędzy, a jej kupuje kolejne prezenty. Muszę znaleźć jakiś dowód, że ona jest jego żoną. Ostateczny dowód na to, że to wszystko, co się wydarzyło przez te blisko dwa lata, było jednym wielkim oszustwem – myślałam. Znalazłam kolejne profile na Facebooku – dwóch sióstr Martina. U jednej – bez rewelacji, ale u drugiej już znalazłam co nieco. Zdjęcie Pauline z podpisem: „To żona

mojego brata” oraz zdjęcie jej samej z bratem – Martinem. Znalazło się też zdjęcie dziecka z podpisem: „Dziecko mojego brata”. Był jedynakiem. Tak twierdził. Te informacje mnie przybliżyły, ale wciąż nie mogły być dowodem, bo, jak znałam Martina, powiedziałby, że na Facebooku można napisać wszystko. To prawda. Widziałam, jak on na swoim profilu, który mu założyłam, gdy mnie o to poprosił, wpisywał wierutne kłamstwa na swój temat. Potrafił kłamać bez mrugnięcia okiem. Nieraz, gdy pytałam kim jest Pauline, zaglądałam mu prosto w oczy, by dojrzeć fałsz, a on nigdy się nie pomylił, do samego końca mówił dosłownie, że ona jest „nikim”. Szukałam więc dalej. Stałam się w tym niemal zapalczywa, chcąc mu udowodnić oszustwo. Nie pamiętam, bym taka była kiedykolwiek wcześniej. Ale choć nie lubiłam tego w sobie, dokładnie taka wtedy byłam. Szukałam... Najmniejszy szczegół mógł dać mi jakiś dowód.

I przyszedł dzień urodzin Martina, nie ten z dokumentów tylko ten, o którym mi powiedział, że jest prawdziwy. Dzień ten przyniósł dla mnie prezent. Pauline zrobiła piękny wpis: „Dzisiaj są urodziny mojego męża. Kocham go nad życie”.

To był dla mnie ostateczny dowód, choć wiedziałam, że Martin się nie przyzna. Musiałam to jakoś potwierdzić. Znalazłam w końcu banalny sposób i aż byłam w szoku, że nie zrobiłam tego wcześniej. Wysłałam jej zaproszenie do grona znajomych na Facebooku. Zaakceptowała. Cały dzień zastanawiałam się, co chcę napisać. W końcu skleciłam kilka zdań.

„Witam. Jestem kobietą, która została oszukana przez Pani męża. Mam z nim roczną córkę, która jest o miesiąc starsza od Pani syna, Franka. Pani mąż zabrał mi bardzo dużo pieniędzy i zostawił, gdy już niczego nie miałam, bez żadnej pomocy z maleńkim dzieckiem. Wcześniej chciał się ze mną ożenić, pomimo iż jest już w związku małżeńskim. On jest bardzo złym człowiekiem i dobrym kłamcą. Może mi Pani nie wierzyć, ale piszę to, bo chcę, by Pani wiedziała, kim jest Pani mąż. Właśnie wybieram się do sądu, by uzyskać alimenty. Wiem, że Martin okłamywał polskie urzędy, więc może mieć kłopoty, ale to nie jest moja sprawa.

Jeżeli jest Pani dobrą kobietą, to mi Pani uwierzy. Mam nadzieję, że nie wiedziała Pani o tym wszystkim i że to nie był wasz wspólny sposób na

życie.

Poniżej wysyłam dowód na to, że mówię prawdę. Może Pani pytać o więcej”.

Ten dowód stanowiło zdjęcie Martina z Lenką, zrobione w szpitalu, które wykasował z mojego aparatu na pierwszej wizycie po moim powrocie do domu. Ja jednak zdążyłam już przerzucić je do komputera.

Miałam poczucie, że to, co napisałam może nie przynieść żadnych efektów, ale z niecierpliwością czekałam, co się wydarzy. Przez niemal dobę nie było odzewu, ale w końcu dostałam wiadomość: „Chcę więcej jego zdjęć z tobą i dzieckiem”.

Skąd miałam jej wziąć zdjęcia Martina z dzieckiem skoro widział córkę zaledwie kilka razy, a gdy już był, nie pozwalał im sobie robić? Na szczęście nie pokasowałam w złości naszych wcześniejszych fotek. Zatrzymałam je dla Lenki. Nie wiedziałam jeszcze jak je wykorzystam, ale z pewnością nie zamierzałam ich wykasowywać. To jej ojciec i gdy zapyta o niego, pewnie jej je pokażę. Przysięgłam sobie, że nigdy jej nie okłamię. A jeżeli, gdy już dorośnie, podejmie decyzję, że chce go poznać, to i tego nie zabronię. Te zdjęcia to część jej historii, jej życia. Nie mam prawa ich kasować – myślałam. Bardzo to dla mnie trudne. Oczywiście kusiło mnie, by je wyrzucić i nigdy nie oglądać, ale bardzo ją kochając, czułam, że jedynie prawda będzie dla niej dobra. Dla nas obu i dla naszej miłości również.

Znalazłam wspomniany katalog ze zdjęciami w komputerze i wybrałam pięć z nich. Kilka wspólnych w objęciach i na deser jedno nago w wannie. Uznałam, że tylko takie mocne zdjęcia sprawią, że mi uwierzy.

Chyba zadziałało, bo kilka chwil później zadzwonił telefon z Afryki. To był Martin, który niemal nie dając mi dojść do słowa, wyrzucił z siebie:

– Jak możesz pisać do mojej żony takie durnoty. To dziecko nie jest moje! Nas łączył jedynie biznes! Dość, chora kobieto! Nie zbliżaj się do mnie i mojej żony nigdy więcej!

– A więc: „żony”! – udało mi się wtrącić.

– Same problemy z tobą. Żałuję, że cię poznałem. Przeklinam ten dzień! Przeklinam ciebie i twoje dziecko! – rzucał tnące jak żyletka słowa.

Dotąd nie wiem skąd w odpowiedzi na nie zrodziły się we mnie dwa

krótkie zdania, zupełnie niepodobne do tych, które zwykłam wypowiadać. Silne i tnące powietrze.

– Zniszczę cię. Przysięgam, że cię zniszczę.

Długo nie mogłam zapanować po tej rozmowie nad trzęsącymi się rękoma. A więc to prawda! To wszystko było prawdą! Przyjechał, rozkochał mnie w sobie, namówił na dziecko, zabrał pieniądze i wycisnął jak cytrynę, do ostatniego grosza, do ostatniej emocji, do ostatniego uczucia, a wszystko po to, by zapewnić dobre życie innej kobiecie i jej piątce dzieci. Byłyśmy jednocześnie w ciąży. Jej dawał to, co mi zabrał, a ja zostałam z maleńką kruszyną zdana sama na siebie. Po co on do mnie po tym przyjeżdżał? Nie miałam już niczego więcej! Czemu chciał ze mną wciąż sypiać? Co mogłam mu więcej dać? O matko! On mi po prostu nie wierzył! Widział, że żyłam dalej, a i dziecku niczego nie brakowało, więc miał chrapkę na więcej. Jak bardzo jest okrutny!? – zastanawiałam się. Czułam jak w dreszczach schodzi ze mnie jakieś ciśnienie, a jego miejsce zajmuje inne. Co to było? Czym było to uczucie? Czyżbym chciała zemsty? Co ja mogę? Nie, to nie to! Chyba nie to. Ja chcę tylko odzyskać część swoich pieniędzy, bo wiem, że nie mam szans na wszystkie. Wiem. Ale choćby część będzie dla mnie dobra. Muszę to przemyśleć na spokojnie – mówiłam sobie. Pewnie krzyczał do mnie przy niej, dlatego nie dawał dojść do słowa, musiała nie wiedzieć o mnie. Z kim zatem rozmawiałam wtedy, ponad rok temu? Oj, ależ to pokręcone! Zostawiam to tak, jak jest. Zobaczą jak dalej potoczy się sytuacja.

Po około dwóch godzinach zaczęła pisać Pauline: „No więc czego teraz chcesz?”. Po chwili: „Wiem, co czujesz, ale postaw się na moim miejscu” oraz: „Jesteś tam?”. Byłam, jednak nie miałam pojęcia co odpisać i czy w ogóle. Tymczasem ona nie dawała za wygraną: „Zawsze, gdy chcę zrobić coś głupiego, myślę o moich dzieciach. Jeżeli chcesz zrobić coś nieprzemyślanego, pomyśl, że jest ojcem twojego dziecka”. Nie wytrzymałam: „On nie kocha mojego dziecka”. Szybko odpisała: „Nie mów tak!”. Odpowiedziałam: „Ale to prawda. Mnóstwo razy mi to właściwie powiedział”. Gdy przeczytałam: „Rozumiem cię, ale, błagam, bądź spokojna. Jeżeli chcesz pieniędzy dla swojego dziecka, co z moimi dziećmi?”, poczułam gniew. To jakiś żart?! Przecież on wciąż zabierał mojemu

dziecku dla jej dzieci. Czy ona wstydu nie ma? Zresztą skąd wie, że chcę od niego moich pieniędzy? Musiał jej powiedzieć – myślałam.

A ona pisała dalej: „On ci je da. Powiedział mi”. Odpisałam: „Ty sobie nie zdajesz sprawy z tego, ile to jest pieniędzy!”, co skonkludowała: „Jeżeli wierzysz w Boga, to zostaw to w spokoju w Jego imię”. To brzmi jak szaleństwo! Nie chcę tego więcej czytać!!! – postanowiłam.

Nie pisałam i ona przestała! Nie mogłam zasnąć w nocy, kołatało mi się w głowie tysiące myśli. Co mam robić? Uciec czy zawalczyć? Ucieczka oznacza, że on wygra i być może zrobi to co mi po raz kolejny, tym razem komuś innemu. Niby co mnie to obchodziło, ale ja nie umiałam obok tego przejść obojętnie. Poza tym, czy on nie zasłużył na karę? Na tak małą karę za cierpienia moje i mojego małego dziecka jak zwrot pieniędzy. Nie umiałam tego zostawić. To dziwne uczucie, bo właściwie już dawno się pogodziłam z tą stratą, ale coś mnie ciągnęło, by o te pieniądze walczyć, a przy okazji dać mu nauczkę. Czy to próżne? Może! Ale ja naprawdę tak czułam! A co z kolei zyskam, gdy zawalczę? – rozważałam. Dwie rzeczy jedynie. Moje pieniądze i szacunek do samej siebie. Jakże ważne są dla mnie te dwie rzeczy! Tak. Spróbuję. Będę jednak ostrożna – zdecydowałam.

Długo się zastanawiałam, jakie mam karty przetargowe. Niewiele, żadnych dowodów. Ale dużo o nim wiedziałam. Znałam też nazwisko Elizy i jej adres. On często powtarzał, że nie może jej o mnie powiedzieć, bo byłaby zła na niego i robiłaby mu problemy. Postanowiłam, że muszę ją znaleźć. Miałam nadzieję, że zechce ze mną rozmawiać. A tymczasem zamierzałam postawić Martinowi ultimatum. Boi się sądu jak ognia, więc w to uderzę – uznałam. Napisałam do Pauline, bo on nie odbierał.

„Dużo myślałam o tym wszystkim. Oto moja decyzja. Do końca czerwca chcę dostać z powrotem wszystkie moje pieniądze. Pierwszą część do końca marca. Jeżeli tak nie będzie, to idę do sądu po alimenty. Powiem w sądzie wszystko, co wiem, o tym co robił, ile ma lat i jak się nazywa, że jest w Polsce na fałszywych dokumentach. Ponadto znajdę Elizę i jej o wszystkim powiem, a jeśli tego będzie mało, powiem o tym, co mi zrobił jego przyjaciołom. Daj mi znać jaka jest jego decyzja”.

Chyba działała we mnie jakaś wzburzona krew, bo wszystko pisałam tak,

jakbym miała w ręku olbrzymi oręż, a prawda była taka, że miałam niewiele, chciałam jednak, by się przestraszył. Wiedziałam, że nic mi nie zrobi. Co najwyżej będzie groził. Wiedział dobrze, że jeżeli cokolwiek nam się stanie, moi bliscy i przyjaciele pójdą na policję. Czy zachowywałam się racjonalnie? Nie wiedziałam. Raczej działania dyktowały mi wtedy moje wzburzone emocje. Wcześniej byłam przekonana, że poznanie prawdy mi wystarczy, ale tak się nie stało. Coś mi nie dawało spokoju i chciałam więcej. Zdawać się może, że chciałam zemsty, ale nie! Bóg mi świadkiem, że miałam jedynie nadzieję, iż odzyskam część swoich pieniędzy. Udało mi się do tego czasu spłacić wszystkie długi, ale nie chciałam żyć z dnia na dzień. Potrzebowałam z powrotem moich pieniędzy, by zabezpieczyć sobie najbliższą przyszłość. I nie dla mnie samej! Byłam wtedy ojcem, który odpowiadał za życie nowej, trzyosobowej rodziny, składającej się z matki mojego dziecka, Lenki i jej babci. Jaki ojciec rodziny odpuściłby i nie zawalczył o chleb dla swoich bliskich?

Rano przyszła odpowiedź od Pauline: „Spokojnie, moja droga, on ci zapłaci”, a za chwilę: „Dzień dobry, moja przyjaciółko, jak Lenka – moja córka?”. Czy ona oszalała?! Lenka jest wyłącznie moją córką! Jakaś egoistyczna część mojej miłości do dziecka bardzo się obruszyła na te słowa. Jak ona śmie mówić na nią: „moja córka”? Za kogo ona się uważa? Jakiś chłód przeszedł przez moje członki i podpowiadał: „Nie ufaj jej, nie ufaj...”. Odpisałam, że Lenka jest moją córką i że wszystko, co napisałam wcześniej jest absolutnie serio. Dodałam na koniec, że nie jestem pewna, czy mogę jej ufać.

Jej odpowiedź całkowicie zniszczyła odrobinę ufności, którą do niej miałam. Napisała, że mam się uspokoić, że on w swoim kraju nie pracuje, więc musi wrócić do Polski, by mi oddać pieniądze, a jeśli zrobię coś głupiego, to wszystkim nam zaszkodzi. Jeżeli powiem Elizie lub komukolwiek innemu, zrobię z siebie idiotkę – wszyscy będą się ze mnie śmiali. Wystawię się na pośmiewisko, bo ludzie w Polsce wiedzą, że Martin jest teraz z nią, a nie ze mną. Później dodała, że ona go nie kocha! Jak mogłaby go kochać, skoro ją zdradza i będzie zdradzał. Przysięgała na rany Chrystusa, że kocha jedynie swoje dzieci i Boga. Pisała, że nie mam żadnych

dowodów na potwierdzenie moich słów. Zresztą wszyscy wiedzą, że to ja go wygoniłam... – kończyła. Te słowa brzmiały dokładnie tak, jakby je napisał Martin. Wiedziałam, że on nie umie tak dobrze i tak szybko pisać po angielsku, więc nie on wystukiwał litery, ale całym sercem czułam, że dyktował żonie. Skąd ona niby miałaby wiedzieć, co myślą ludzie w Polsce, a tekst o wystawianiu się na pośmiewisko był jego starą manipulacyjną śpiewką. Czyżby ona wiedziała o wszystkim wcześniej? Czyżby razem brali udział w tym oszustwie? Nie rozumiałam, jak mogłaby się godzić na to, by sypiał z inną. A może nie wiedziała wszystkiego? Zresztą jakie to ma znaczenie?! Wiem jedno! Nie ufam jej! Za grosz nie ufam! Uciekam – zdecydowałam. Napisałam ostatnią wiadomość.

„Nie dbam o to, czy ludzie się ze mnie śmieją. Mogą się śmiać! Mojej decyzji nie zmienię. Czekał do końca marca na pierwsze pieniądze i dwa dni na decyzję jak Martin zamierza mi je oddać. Inaczej zrobię tak jak obiecałam. Poza tym nie ufam ci, bo mówisz jego słowami. Pewnie ci dyktuje za plecami. Zastanawiam się jaką kobietą jesteś. I do twojej wiadomości – nikt w Polsce nie wie, że on ma żonę w Afryce i piątkę dzieci. Czekał na decyzję. Niech Martin z nią do mnie zadzwoni”.

Nie chciałam więcej pisać, ale nie wytrzymałam. Kto powiedział, że człowiek ma być zawsze mądry, roztropny i ułożony? Istota ludzka ma prawo do okazywania emocji i nawet do pomyłek. Tylko dlatego, że jest z krwi i kości człowiekiem. Ja też byłam i stosownie do tego reagowałam. Po około trzech godzinach Pauline po raz pierwszy zamieściła na Facebooku swoje zdjęcia z Martinem. Na jednym przytulali się, na innym trzymali za ręce, ona siedziała na jego kolanach, a na jeszcze innym on tulił swoje najmłodsze dziecko. To zdjęcie mnie najbardziej zabolowało. Nie mogłam zapanować nad bólem wynikającym z tego, że mojej córki ojciec nigdy tak nie przytulił i nie przytuli. Lenka znów była jakby gorsza. Nie mogłam na to pozwolić! Pod wpływem impulsu wstawiłam komentarze pod tymi zdjęciami – „złodziej”, „oszust”, „kłamca” – ale jakaś siła, chyba nakaz kultury osobistej, kazała mi je usunąć. Usunęłam i zastąpiłam smutną buzią. Po czym napisałam do Pauline, że nie mogę patrzeć na te zdjęcia. Szukam Elizy i ruszam do sądu. Po czym usunęłam ją z grona znajomych z Facebooka. Chciałam się ochronić

przed ogromem manipulacji, jaki mi groził z ich strony.

Faktycznie, postanowiłam poszukać Elizy. Miałam jej stary numer, ale nie odpowiadał. Mimo to napisałam esemesa, że proszę o kontakt. Postanowiłam, że gdy tylko wrócę, bo przyjechałam wówczas do Krakowa na kilka dni do pracy, pojedę pod jej znany mi adres w nadziei, że może ją spotkam. Intuicyjnie czułam, że muszę ją poznać.

Trochę płakałam tej nocy w cichej samotności w hotelu. Dotarło do mnie, że znalazłam prawdę, której szukałam, i że ta prawda jest, tak jak podejrzewałam, bardzo okrutna. Synonimem tej prawdy stał się obraz Martina tulącego nie moje dziecko. Nikt nie powinien przeżywać takiego bólu. Nikomu tego nie życzę. Zmuszałam się do snu, bo następnego dnia od rana pracowałam, ale on długo nie chciał mnie od tych smutnych obrazów wybawić.

Obudziłam się więc z bolącą głową i ruszyłam pod prysznic. Zabawiłam tam bardzo długo, by się ożywić i zdobyć nieco energii na tak aktywny dzień. Podczas śniadania walczyłam, by nie zaglądać do Internetu, bo musiałam być w pełni skupiona. Zaczynałam tego dnia nowy projekt i nie mogłam sobie pozwolić na słabość. Nie zajrzałam. Dumna z siebie, wsiadłam do samochodu i ruszyłam, by zdobyć Kraków. Gdy jeszcze widziałam mój hotel we wstecznym lusterku, usłyszałam sygnał z Facebooka w telefonie. Czyżby znów pisała Pauline? Zajrzałam. Nie. To nie ona. Dostałam zaproszenie do znajomych? Od kogo? Eli Eliza. Od razu wiedziałam kto to. Ucieszyłam się i zdziwiłam jednocześnie. Skąd ona wie, że jej szukam? To musi być sprawka Boga! Zaakceptowałam natychmiast. Za chwilę dostałam od niej wiadomość: „Chyba mamy coś wspólnego. Mogę zadzwonić?”. Zatrzymałam się i odpisałam, że tak, podając numer telefonu, po czym szybko nałożyłam słuchawkę bluetooth i ruszyłam dalej, bo miałam stosunkowo niedużo czasu. Po chwili zadzwonił telefon.

– Tak. Słucham.

– Cześć – odezwał się bardzo miły i ciepły głos z drugiej strony. Aż przez chwilę pomyślałam, że się pomyliłam. To nie mogła być Eliza. Ona jest złą żoną, która wciąż krzyczy na swoje dziecko i ma bardzo mściwe i złe usposobienie. Taki jej obraz wymalował przecież w mojej głowie Martin. –

Wiesz kim jestem? – ciągnęła dalej wciąż tym zaskakująco miłym głosem.

– Tak. Jesteś mamą Sary. Tak?

– Tak. Jestem w szoku, że wiesz, kim jestem. Wiesz o Sarze?

– Tak. O Sarze i o tobie. A wiesz kim ja jestem?

– Nie mam pojęcia.

– Skąd więc ten kontakt?

– Wczoraj wieczorem zadzwoniła do mnie Kama i powiedziała, że jest chyba jeszcze jedna.

– „Jeszcze jedna”?! Co to znaczy?!

– To ty niczego nie wiesz...

– Nie wiem, co miałabym wiedzieć. Dużo wiem, ale czuję, że nie wszystko.

– Kama to mama siostry Sary.

– Kogo?

– Sara ma siostrę w Anglii i chyba jeszcze jedną w Polsce, czy tak?

– Nie wiem. Chyba niewiele rozumiem. Albo rozumiem, co mówisz, ale nie wierzę.

– Też bym była w szoku na twoim miejscu. Zacznijmy od początku.

Martin, bo z jego powodu rozmawiamy, ma jeszcze jedno dziecko w Anglii.

Dziewczynka ma na imię

Noemi i ma piętnaście lat, a jej mama to Kama. Ty masz na imię Inga, tak?

– Tak.

– A jak ma na imię twoja córeczka? Bo to chyba też jego córka?

– Tak. Jego. Lenka.

– Niewiele piszesz na Facebooku, ale Kama znalazła jedno zdjęcie Lenki z tobą i rozważałyśmy przez cały wieczór, czy to możliwe, by była ona siostrzyczką dziewczynek. Kama twierdzi, że jest zupełnie niepodobna, a ja z kolei uważam, że wygląda jak Sara.

– Wiesz, że dziewczyny mają jeszcze piątkę rodzeństwa w Afryce?

– No właśnie! Podejrzewałyśmy to, ale nie miałyśmy dowodów aż do wczoraj. Pierwszy raz od tylu lat Pauline zamieściła ich wspólne zdjęcia na Facebooku, z czego wynika, że to chyba prawda. Coś czuję, że maczałaś w

tym palce. To jest jego żona?

– Tak. Powiedziała jej, że nikt w Polsce o niej i jej dzieciach nie wie.

Po trzech godzinach zamieściła te zdjęcia.

– To ty z nią rozmawiałaś?

– Tak. To znaczy pisałam. Ale jak mnie znalazłyście?

– Wstawiłaś komentarz pod ich zdjęciem.

– Ach! Rozumiem.

– Powiedz, skąd wiedziałaś, że to jego żona?

– Nie wiedziałam. Podejrzywałam. Zaryzykowałam jednak i wysłałam jej zdjęcie Martina z Lenką. On zaraz oddzwonił i złościł się, jak mogę pisać do jego żony.

– Żartujesz?! Powiedział: „do żony”?!

– Tak.

– Niezła jesteś. Ja tyle lat szukam dowodu. A długo się znaliście?

– Dwa lata temu się poznaliśmy.

– Jestem w szoku, że ci o mnie powiedział. I godziłaś się na to?

– Na co?

– By być z żonatym facetem?

– Ale on się nie przyznawał, że ona jest jego żoną. Twierdził, że siostrą.

– A! To oczywiste! Mnie też tak oszukiwał. Ale ja pytam o mnie.

– Nie rozumiem.

– Nie przeszkadzało ci to, że jestem jego żoną?

– Byłaś. Nie. Ja też jestem po rozwodzie.

– Jak to: „byłam”?

– Przecież wzięliście rozwód dwa lata temu.

– Co? Skądże. Nie mamy rozwodu! Od kilku lat go o niego proszę, ale on mi go nie chce dać. Wciąż mnie prosi, bym się z nim nie rozwodziła, a że mam dobre serce, to ciągle daję mu szansę, ale on zawodzi.

– Ale dlaczego on to robi? Wy jesteście razem? Nic z tego nie rozumiem.

– Jesteśmy małżeństwem tylko na papierze. Wygoniłam go w końcu, bo mnie wykorzystywał. Mieliśmy dziecko i było mi ciężko przez lata z tym skończyć. Chyba to rozumiesz. Też masz z nim dziecko. W końcu jednak już nie mogłam wytrzymać i go pogoniłam. Wciąż jednak nie mamy rozwodu, bo

mnie prosi, bym się z nim nie rozwodziła. Zresztą jeszcze dwa tygodnie temu prosił, bym przyjechała do niego do Afryki, bo tęskni.

– Ale dlaczego nie chce dać ci rozwodu?

– Może boi się, że wtedy straci kartę pobytu. Nie wiem. Nie zdążyłam się dotąd zorientować w tych przepisach.

– Możesz mieć rację – przyznałam, choć też nie znałam tych przepisów. – Eliza, jestem teraz w Krakowie. Za pół godziny zaczynam spotkanie. Możemy jeszcze chwilę mówić, ale muszę się zaraz przygotować. Jestem trochę oszołomiona tymi wieściami.

– My też z Kamą jesteśmy od wczoraj w szoku. Wiesz, nagle z naszej małej rodzinki dwóch sióstr zrobiła się ósemka. Istnienie tamtej piątki podejrzewałyśmy, ale o tobie i Lence nie wiedziałyśmy.

– On mi zawsze mówił, że musi ukrywać nasz związek przed tobą, bo robiłabyś mu problemy z zazdrości.

– Co??? Cieszyłabym się, że mam spokój.

– No tak. Ja mu powiedziałam, że nigdy za niego nie wyjdę, więc musiał cię zatrzymać przy sobie. Wszystko powoli staje się jasne. – Przypomniałam sobie z jaką pewnością wpisywał imię i nazwisko Elizy do dokumentów o obywatelstwo.

– On jest mistrzem w prowadzeniu kilku żyć na raz.

– Wiesz... wstyd mi bardzo, że dałam się tak zmanipulować.

– Pewnie straciłaś trochę pieniędzy i zostałaś bez pomocy z małym dzieckiem?

– Dokładnie. Ale to chyba znany scenariusz.

– Tak. My wszystkie też go znamy.

– Wszystkie? – zaintrygowała mnie ta liczba mnoga.

– A! A słyszałaś o Agacie?

– Agacie? Mówił, że miał przed tobą żonę o takim imieniu, ale ponoć godziłaś się na to, bo to było tylko dla papierów.

– Co? Jak on śmiał?! Co ci o niej powiedział?

– Powiedział, że za pieniądze zgodziła się być jego żoną, bo potrzebował polskich papierów.

– Cham! Po prostu cham!

- Rozumiem, że to nieprawda?
- Skąd! Agata cierpi po rozstaniu z nim do dzisiaj.
- Ale z nią nie ma dziecka?
- Nie. Na szczęście. Jednak nie wykluczam, że znajdzie się jeszcze kilkoro jego dzieci.
- Może w Szwecji z niejaką Lizą – przypomniałam sobie taką kobietę.
- Co masz na myśli?
- Kiedyś, gdy byłam w Hiszpanii, dał mi swój telefon, bym mogła do niego taniej dzwonić z Lycamobile. Nie wykasował wiadomości roboczych. Był tam esemes do Lizy, w którym pytał o dziecko. Nie mam więcej informacji na ten temat.
- Jestem pewna, że o wielu rzeczach nie wiemy, ale to co wiemy, to i tak aż za dużo. Każda z nas cierpiała.
- W międzyczasie rozpakowałam komputer, przygotowałam prezentację, miejsca, materiały dla uczestników i nie mogłam zakończyć rozmowy, bo paliła mnie ciekawość, ale czas mijał nieubłaganie. Uczestnicy spotkania już zajmowali miejsca, wyszłam więc na korytarz, popatrzyłam na zegarek – jeszcze cztery minuty.
- Zdawało mi się, że już wszystkiego się mogę po nim spodziewać, ale to, czego się dowiedziałam od ciebie, trochę mnie zaskoczyło.
- Wyobrażam sobie. My też jesteśmy zaskoczone. Kama się pewnie również z tobą skontaktuje. Ona sama opowie ci swoją historię. Powiedz mi jeszcze, czy Pauline także potwierdziła, że jest jego żoną?
- Dosłownie nie, ale przyznała, że ma z nim dzieci i że jest z nim od lat. Na Facebooku mówi o nim jako o mężu, a w grudniu obchodzili dziesiątą rocznicę ślubu. Myślę, że w Afryce raczej nie mają piątki dzieci bez ślubu, ale ja już niczego nie jestem pewna.
- Ale rozmawiałaś z nią. Tak? I nie zaprzeczała?
- Nie. Pisała, że go już nie kocha, bo ją od dawna zdradza. Jednak to trochę dziwne, bo wciąż pisze w Internecie o tym, jak kocha Martina i tęskni oraz jakim jest cudownym mężem. Fakt, to może być na pokaz, dla ludzi, ale ja jej nie wierzę.
- Trzymaj się od niej z daleka. Rozmawiałam z nią kilka razy i mówiła

mi, że jest jego siostrą oraz pytała o Sarę. Oni są w zмовie.

– Chyba nie do końca. Ona coś wie – fakt – ale nie wszystko. Ja myślę, że on nią manipuluje i robi jej wodę z mózgu, tak jak było ze mną. Chociaż tego nie jestem pewna.

– To możliwe. On jest mistrzem kłamstwa!

Zajrzałam do sali. Wszystkie miejsca były zajęte, a na zegarku zaledwie pół minuty do dziesiątej, więc już wchodząc, rzuciłam:

– Eliza, jest dziesiąta, muszę kończyć. Zdzwońmy się wieczorem.

Rozłączyłam się, a gdy podniosłam wzrok, zobaczyłam kilkanaście par oczu zwróconych na mnie.

– Witam Państwa... – zaczęłam i ruszyłam w wir swojego zadania. Do dziś nie wiem jak je zrealizowałam, i to z dużym powodzeniem. Zwłaszcza, że w przerwach czytałam mnóstwo wiadomości i wykonałam kilka telefonów.

Nieprawdopodobnym wprost zbiegiem okoliczności tego dnia do Elizy zadzwoniła mama, że była u nich policja, pytając o Martina. Gdy powiedziała, że od dawna u nich nie mieszka, nie chcieli powiedzieć o co chodzi. Opcji było kilka: wywiad w sprawie o obywatelstwo, zaległy niespłacany kredyt, którym chyba zajął się już komornik albo coś grubszego, o czym nie wiedziałyśmy. Eliza zadzwoniła do Martina, by mu o tym powiedzieć. Zgodziłam się, żeby go zawiadomiła, że wie o mnie i o tym, że Pauline jest jego żoną. Opowiedział jej historyjkę o mojej chorobie psychicznej, o tym, że zmusiłam go do dziecka, bo jestem już stara, dałam mu pieniądze na biznes, który nie wyszedł, a było to osiem razy mniej pieniędzy, niż mówi. Poradził, by się trzymała ode mnie z daleka, bo ją w coś wciągnę. Nie wiem, co w końcu powiedział jej o Pauline, ale chyba nie mógł się nie przyznać, choć, znając go, mógł iść w zaparte.

Szalony dzień! Pełen zaskoczeń, ale z każdą minutą przynosił mi jakieś nienazwane wewnętrzne spełnienie. Tak, jakbym zbliżała się do tego, by móc powiedzieć: „Dokonało się”. Chyba takiej prawdy poszukiwałam. Miotalam się dotąd, bo czułam, że jeszcze wszystkiego nie wiem.

Wieczór przyniósł kolejne puzzle układanki.

Pierwszą z „nas” była Kama. Poznał ją, gdy była bardzo młoda. Miała

dziewiętnaście lat. Rozkochał ją w sobie. Bardzo szybko zaszła w ciążę. Gdy była w odmiennym stanie, dowiadywała się o zdradach, ale była młoda i właśnie w ciąży, więc wybaczała. Gdy Noemi miała kilka miesięcy, Kama dowiedziała się o Agacie, bo Martin miał wypadek samochodowy, gdy z nią jechał. I tę zdradę, nie wiedząc jeszcze wszystkiego, wybaczyła mu, bo mówił, że kocha. Byli dalej razem tylko teraz w innych miastach, więc on nadal zdradzał i nie miał czasu dla niej oraz dziecka. Pojawiał się, gdy czegoś potrzebował albo gdy, jak ona mówi, po prostu był chwilowo sam. Kiedy Noemi miała półtora roku, jej mama nie wytrzymała. Zabrała dziecko i wyjechała do Anglii. Wciąż jednak kochała Martina na zabój. Gdy tylko zadzwonił, rozplływała się w uczuciu i nadziei – trwało to jeszcze kilka lat. O Agacie wiedziałam najmniej, ale wystarczyło mi to, że gdy straciła zdrowie po wypadku, nawet na nią nie popatrzył. Zostawił ją jakby była niepotrzebna, wrócił po kilku latach, gdy już stała na nogach i wzięli ślub. Dziewczyny mówią, że Agata kochała go najmocniej, bo kocha chyba nadal. Tymczasem na świecie była już Sara i on żył z tymi dwoma kobietami jednocześnie, jeżdżąc od jednej do drugiej, licząc na wsparcie i drogie prezenty. Doskonale umiał wzbudzać poczucie winy i manipulować kobietą tak, że oddawała mu wszystko. Nawet się tego nie wstydził, bo przecież opowiadał mi, jak za pieniądze Elizy wybudował dom w Afryce i wyprawił pogrzeb ojcu, a, jak mówił, w Afryce to wielka biba. Gdy Eliza dowiedziała się o Agacie, zmusiła go, by wziął z nią rozwód w imię ich miłości. Zrobił to bez wahania, ale dopiero kilka lat temu. Wtedy wzięli ślub. Wygoniła go jednak po kilku latach z domu, bo nic nie robił i zdradził ją z własną bratową. Przebrała się miarka. Poznał wtedy czarnoskórą modelkę, o której wiem tylko tyle, że wyprowadziła się do Francji i tam wzięła ślub. W czasie, gdy był jeszcze z Elizą, wziął ślub z Pauline, jakieś dziesięć lat temu.

Po tym wszystkim kolejną ofiarą wampira byłam ja.

Zdradzone przez niego były również dziewczynki. Naomi go znienawidziła. Wykrzyczała mu nieraz, że nie jest jej ojcem, miała jednak szczęście, że była daleko. Sara czuła się całkowicie zagubiona pomiędzy miłością do ojca a jego manipulacjami. Wypłakała tysiące łez, gdy czekała na niego, bo obiecywał, a nie przychodził, gdy zabierał jej pieniądze i nie chciał

oddać, gdy kazał okłamywać inne kobiety, gdy nie wiedziała, czy właściwie ma ojca. Bardzo się bałam, że moja Lenka mogłaby mieć takiego ojca i tak bardzo przez niego cierpieć.

Dużo, bardzo dużo informacji jak na tak krótki okres. I choć to wydaje się niemożliwe, one przynosiły spokój. Może po części dawało go poczucie, że nie jestem sama, a dokładniej, że nie tylko mnie oszukał. Okrutne? Może. Jednak ta myśl przywracała mi nieco utraconego poczucia wartości, a chciałam trzymać się każdej myśli, która pozwoliłaby mi siebie odzyskać.

Zasnęłam w końcu w hotelowym łóżku, zmęczona po tej dawce newsów. Bardzo wcześnie jednak, bo o piątej rano, obudził mnie telefon z Afryki.

– Cześć. To ja.

Nie wierzyłam, że śmie do mnie dzwonić.

– Kto? – zapytałam, myśląc, że się mylę.

– Martin.

– Czego chcesz?

– Chcę ci wszystko wytłumaczyć. – Milczałam. – Mówiłem ci, że mój brat umarł, Pauline była jego żoną. Ojciec mnie z nią ożenił i zacząłem mieć z nią dzieci. – Czy można mówić o swojej rodzinie bardziej przedmiotowo? – Nie mogłem ci o tym powiedzieć, bo byś nie zrozumiała. Nie miałem innego wyjścia. Nie kocham jej.

– Dzieci też nie kochasz?

– Dzieci kocham. To moja krew.

– Dlatego przysięgałeś na wszystkie świętości, że masz tylko Sarę? A co z Noemi? Co powiesz o Kamie i Agacie?

– To było dawno! Nie rozumiem, czego one wciąż ode mnie chcą.

– Nie rozumiesz, bo nigdy nie kochałeś.

– Kochałem ciebie.

– Przestań natychmiast! Czego ode mnie chcesz?

– Chcę się dogadać. Potrzebuję czasu. Przysięgam, że gdy wrócę do Polski, będę ci płacił co miesiąc aż oddam całość. Wyślij mi swój numer konta, a prześlę ci za dwa dni jakieś pieniądze. Nie mam dużo.

– Możesz sprzedać samochód.

– Nie mogę. Nikt tu takiego nie kupi.

– Śmieszny jesteś.

– Inga, daj mi szansę. Daj ją nam. Obiecuję, że będę najlepszym ojcem na świecie.

– Ciekawe jak często obiecywałeś to pozostałym dziewczynom. Mówiły, że nigdy nie dostały od ciebie nawet złotówki.

– One kłamią! Nie słuchaj ich! Jedna chce zemsty, bo jest wciąż zakochana, a druga jest zazdrosna. Nie rozmawiaj z Elizą, dobrze ci radzę. To zła kobieta.

– Dobra. Nie chcę tego więcej słuchać. Jestem zmęczona tymi kłamstwami i tobą. Chcę jeszcze spać. Cześć.

– Poczekaj! Dasz mi szansę?

– Prześlij pieniądze.

Tej nocy zadzwonił również do Elizy, próbując nas obie urobić. Zadzwoniła do mnie już o siódmej rano, by mi o tym powiedzieć oraz o tym, że Sara powiedziała jej, że tato ostatnio spotykał się z jeszcze jedną panią. Pamiętała jej imię i nazwisko. Postanowiłyśmy ją znaleźć, by delikatnie ją wypytać, czy są razem oraz ostrzec przed Martinem.

Udało się. Umówiłyśmy się na spotkanie w Warszawie po moim powrocie. Z Elizą spotkałam się chwilę wcześniej, zabrałam Lenkę, bo bardzo chciała ją zobaczyć. Zależało jej też, by zobaczyła ją Sara, którą odbierała z tańców po spotkaniu, dlatego też umówiłyśmy się w kawiarence przy tej szkole tańca. Byłam bardzo ciekawa jak wglądają i jakie są. Rzeczywistość ogromnie mnie zaskoczyła, bo zupełnie inaczej wyobrażałam sobie Elizę, pomimo iż widziałam ją kilka razy na zdjęciach. Nie umiem powiedzieć, czy na plus czy na minus – ona była zupełnie inna. Jedno było pewne, nie mogła być taką ostrą i złą kobietą jak opowiadał Martin, a do tego ten jej głos! Zmiękczał coś we mnie. Rozmawiałyśmy trochę. Opowiadała o sobie, o swoim obecnym facecie, o problemach z Martinem, o Sarze. Gdy mówiła o swojej córce, to jakby się przenosiła na inną planetę. Planetę o nazwie: „Bezgraniczna miłość”. Mówiła, że ją ta sprawa z Martinem już nie kosztuje emocjonalnie, bo miała dużo czasu, by ochłonąć. Może tak było, ale ja czułam, że wciąż pozostawała pod jego wpływem. Wiedziałam jak jest mocny. Pewnie dlatego nie rozwiodła się dotąd. To nic złego przyznać się do

słabości. Wtedy to zrozumiałam. Każda z nas taka była. Eliza zdecydowała wtedy, wiedząc już, jak bardzo Martin ją okłamywał i okłamuje, że szybko się z nim rozwiedzie. Wiem, że rozmawiali jeszcze później i bardzo się pokłócili. Nie chciała mówić, o co poszło. Nie zapytałam jej ani wtedy, ani nigdy potem, czym się zajmuje. Nie było już dla mnie istotne, czy faktycznie tańczy striptiz. Nie miałam prawa, by ją oceniać, a pytanie o to byłoby swoistą oceną. Nie chciałam tego. Widziałam po prostu przed sobą dobrą kobietę.

Za jakiś czas przyszła Marzena – tak miała na imię ostatnia kobieta Martina. Była zupełnie inna niż my wszystkie, bardzo szczupła, a Martin zawsze mówił, że nie znosi tak szczupłych kobiet. Ale cóż znaczyły jego słowa? To tylko zlepek liter, któremu nie można było ufać. Zdawała się być stanowcza i silna, ale pod skórą czułam jej strach. Strach, który rósł we mnie z każdą chwilą w jej obecności. Bardzo dziwne uczucie. Ta kobieta się go panicznie bała. Co on właściwie jej zrobił? Powiedziała, że ją śledził, że siedział w krzakach po drugiej stronie ulicy przez całą noc pod jej oknem, że wszedł przez balkon. Czułam, że za tym strachem kryje się coś więcej, ale może bała się mówić, a może to było moje mylne wrażenie. To, co powiedziała wystarczyło być może, by się bać. Strach to uczucie, które zagościło od spotkania z nią w moim sercu na dość długi czas.

Okazało się, że był z nią zaraz po tym, jak wyprowadził się ode mnie. Była z Pruszkowa. Domyśliłam się natychmiast, że to ta dziewczyna, którą poznał mniej więcej w tym czasie, gdy my się poznaliśmy. Nie powiedziała mi tego, ale myślę, że się spotykali, kiedy jeszcze był ze mną, bo jakoś musiał utrzymać z nią kontakt przez cały ten czas. Zresztą była bardzo zdziwiona, gdy jej powiedziałam, że wyprowadził się w grudniu. Nie wiedziała o Lence ani o Naomi. O mnie mówił jej, że jestem zakochaną wariatką, która nie chce mu dać spokoju, dlatego piszę i dzwonię, a moje wiadomości były wodą na jego młyn. Nie miała pojęcia jaka była prawda i jak bardzo walczyłam wtedy o życie i prawdę. Zaręczyli się. Namawiał ją, by miała z nim dzieci. Nie śpieszyła się, bo miała już jedno swoje. Dla równowagi poznał ją z Sarą, by czuła się pewniej, wiedząc, że i on ma jedyne, ukochane dziecko. Córce kazał kłamać, że jej mama się z nim

rozwiódła i że kupił jej psa, który nie miał z nim nic wspólnego. Marzena jednak zerwała z nim zaręczyny, choć później wrócili do siebie. Okazało się, że samochód, który dał Pauline, był prezentem na przeprosiny dla niej – oddała mu go, gdy się znów rozstali. Jeszcze większe obrzydzenie brało mnie na myśl o tych wszystkich jego próbach zdobycia siłą pocałunków i propozycjach łóżkowych składanych mi, gdy byli razem z Marzeną.

Tego dnia, gdy dzwonił do mnie i Elizy, zadzwonił też do niej. Roztaczał wizje pięknej miłości i zmiękła. Zgodziła się, by wrócił do niej. To dlatego nie przesłał mi obiecanych wówczas pieniędzy. Znalazł inny bastion. Wyglądało więc na to, że są znów razem. Nie da się opisać tego szoku i strachu, jaki poczułam od Marzeny, gdy powiedziałyśmy jej prawdę. Naszą na wskroś nasyconą emocjami dyskusję przerwała jednak Sara, która wpadła do kawiarenki z koleżanką po zajęciach. Przywitała się z mamą i Marzeną, bo się znały. Powiedziała grzecznie do mnie: „Dzień dobry” i podeszła do Lenki.

– O! Kędziorki!

Wzięła na ręce moje maleństwo i przyjrzała się jej uważnie.

– Jesteś śliczna, wiesz? Pobawisz się ze mną?

Zajęła się Lenką. Wzięła na barana. Biegała i podskakiwała, ku wielkiemu zadowoleniu mojej córeczki. W końcu przytuliła jej twarz do swojej i wyszeptowała:

– Nauczę cię tańczyć, gdy podrośniesz.

Piękny obraz. Widzące się pierwszy raz dwie śliczne siostry. Czułam jak coś więźnie mi w gardle, ale starałam się nie okazywać wzruszenia. Sara niczego przecież o nas nie wiedziała. Miała dopiero jedenaście lat. Dowie się w odpowiednim czasie. Jej mama znajdzie okazję, by jej o tym powiedzieć.

Okazało się, że Eliza nie musiała jednak tej okazji szukać, bo ta bardzo mądra dziewczynka domyśliła się, kim jest Lenka, gdy tylko zobaczyła jej loki. Nie chciała o tym mówić przy koleżance, ale gdy tylko odwiozły ją do domu, zapytała matkę:

– Co? Ojciec spłodził następne dziecko? Śliczna jest i wesoła. Chcę ją jeszcze spotkać.

Smutne jest to, że w wieku jedenastu lat musiała w pewien sposób

szybciej dorosnąć. Tak bardzo chcę przed tym chronić moją Lenkę – pomyślałam.

Gdy wracałam ze spotkania z dziewczynami, na dobre rozszalał się we mnie strach, który obudziła Marzena. Ona w sumie nie powiedziała nic znaczącego, ale ja niemal panicznie zaczęłam się bać o siebie, ale przede wszystkim o moje dziecko. Wciąż czułam ten strach, który płynął w jej krwi i jakby podczas jakiejś magicznej transfuzji został przetoczony do mojego krwiobiegu. Zanim jeszcze dojechałam do domu, zadzwoniłam do mamy z pytaniem, czy zgodzi się pojechać z małą do naszego rodzinnego domu. Ja znów wyjeżdżałam za dwa dni. Nie chciałam zostawić moich dziewczyn samych. Podczas ich nieobecności zamierzałam poszukać nowego mieszkania i zmienić telefony. Mama zgodziła się, oczywiście. Ranek jednak przyniósł nieco spokoju. W końcu Martin był jeszcze tam, w Afryce, ze swoją rodziną. Mówił Elizie, że nie ma zamiaru szybko wracać. Udzieliłam mamie instruktażu, jak ma się zachowywać podczas mojej nieobecności i zdecydowałyśmy, że zostajemy, dopóki nie dowiemy się, że wrócił, a może wcześniej uda nam się zmienić mieszkanie. Trochę trudne zadanie, bo ten miesiąc miałam bardzo nasyceny wyjazdami, ale nawzajem dodawałyśmy sobie otuchy, że nam się uda.

Tymczasem wciąż byłyśmy na czymś w rodzaju gorącej linii z dziewczynami. Początkowo chciałyśmy iść na policję, Agata i Kama wyraziły gotowość do pójścia z nami. W piątce siła. Jednak każda z nas miała za dowód tylko poszlaki i rozmowy telefoniczne. Dysponowałyśmy dwoma starymi paszportami i kserokopią karty pobytu, wszystko na nowe dane – żadnych więcej dowodów oprócz naszych słów. Eliza skontaktowała się z adwokatem, między innymi w sprawie rozwodu i dowiedziała się, że w takiej sytuacji będzie ciężko. Co więcej, to nowe uczucie strachu kładło się cieniem na naszych poczynaniach. On mógł się mścić, jeśli go podamy na policję. A gdy zrobimy to anonimowo, to nikt się tym z kolei nie zajmie. Gdybym była sama, to może bym zaryzykowała, ale ja odpowiadałam również za jeszcze jedno życie. Lenka ma tylko mnie. Jej ojciec był po drugiej stronie barykady. Zastanawiałam się, co na tym zyskam. Okazało się, że nic, bo jeśli pójdzie do więzienia, to już na pewno nie odzyskam pieniędzy. Poza tym, czy ja mam

odwagę przyłożyć rękę do tego, by ojciec mojego dziecka siedział w więzieniu? Jak ona by z tym żyła? – zastanawiałam się. Lepiej, by żadna z nas już nigdy go nie spotkała. Najbardziej wtedy pragnęłam takiej wolności. Choć miałam pod skórą coś w rodzaju złości, że on nie odpowie za to, co nam zrobił, gdy na szali znalazły się bezpieczeństwo i wolność oraz złość, ta ostatnia przegrywała. Dziewczyny chciały tego samego. Ustaliśmy plan, jak go nieco przestraszyć naszą siłą. Marzena dotąd udawała, że niczego o nas nie wie, by się nie domyślił, że planujemy coś za jego plecami. Dzwonił do niej bardzo często jakby czuł, że coś może się wydarzyć. Kontrolował, czy już coś wie, a ona mimo trudności wciąż grała zakochaną.

Opracowaliśmy plan, że spotykamy się, wtedy Marzena na WhatsApp wysyła mu zdjęcia Pauline, dzieci, samochodu, moje i dziecka z informacją, że wszystko wie. Kolejny krok to telefon zdenerwowanego Martina do niej, wtedy mówi mu, że jesteśmy wszystkie trzy, popiera nas pozostała dwójka dziewczyn i przekazujemy mu nasze oczekiwania, których głównym przesłaniem jest to, że znika z naszego życia.

Zrobiliśmy dokładnie tak, jak ustaliliśmy. Zdjęcia poszły. Kilka sekund oczekiwania i przychodzi odpowiedź Martina: „I?”. Tylko tyle?! No tak! To przecież taka błahostka! On chyba naprawdę nie jest zdolny do odczuwania. Co mamy napisać? Chciałyśmy, by zadzwonił. Więc to mu trzeba było napisać: „Chcę o tym porozmawiać. Zadzwon do mnie”. Jednak telefon nie dzwonił przez jakieś trzy minuty. Zaczęłyśmy się zastanawiać, co zrobić dalej, gdy zadzwoniła komórka w mojej torebce. Martin! No tak, dzwoni, by na mnie wrzeszczeć! Jak śmiem rozmawiać z jego dziewczyną! Albo też wy badać, czy ja maczałam w tym palce, by wiedzieć, co jej mówić i znów zakręcić Marzeną. Ale cała nasza! Tego chciałyśmy. Podałam telefon Marzenie. Odebrała. Mogę sobie tylko wyobrazić jego zaskoczenie.

– Cześć. Tu Marzena.

– Jaka Marzena?

– Ta Marzena. Posłuchaj i nie przerywaj mi. Jestem tu z dziewczynami – Ingą i Elizą, a w kontakcie z Agatą i Kamą. Wiem wszystko o tym, co zrobiłaś każdej z nas. Chcę, byś wiedział, że jesteśmy wszystkie razem i wszystkie razem wiemy o tobie bardzo dużo. Każda z nas chce, byś zniknął z

jej życia na zawsze. Ja żądam, żebyś nigdy więcej do mnie nie dzwonił, nie zbliżał się do mojego domu, do mojej córki ani do mojego życia. Mój były mąż również wie o wszystkim, jeśli mi choć włos z głowy spadnie, on cię zabije. Jedyne, czego chcę od ciebie, to tego, byś się trzymał ode mnie z daleka na co najmniej kilkadziesiąt kilometrów. Nie chcę cię więcej w życiu spotkać. – Mówiła coraz bardziej podniesionym tonem, a na całej jej twarzy było widać maksymalne wzburzenie, jednak starała się nie dać tego po sobie poznać. – Eliza składa pozew o rozwód. Masz go podpisać i nie robić jej problemów. Ona nie chce cię już więcej widzieć. Nie zgadza się, byś się zbliżał do Sary. Inga nie chce cię więcej słyszeć i widzieć. Mówi, że nie życzy sobie, byś jej jeszcze kiedykolwiek dotknął, tak samo jej dziecka. Ponadto czeka do końca lipca na całość pieniędzy. Możesz sobie robić dalej w życiu, co zechcesz. Jesteś wolny! Ale musisz zrobić to, o co prosimy. Jeżeli tak nie będzie, pamiętaj, że jest w nas pięciu wielka siła i jesteśmy teraz razem. Rozumiesz?

– Okej – zabrzmiała krótka odpowiedź, po której się rozłączył.

Dziwne uczucie. Wypełniło się. To już koniec. Czułam, że nie odzyskam swoich pieniędzy, ale odzyskałam wolność, szacunek do siebie i pewność, że już nigdy mną nie będzie manipulował.

Do końca miesiąca zmieniłam adres zamieszkania. Nie wie o nim nawet żadna z dziewczyn i nikt z jego środowiska. Zmieniłam samochód. Nie muszę się martwić, że rozpozna go na ulicy. Zmieniłam mamy telefon. Mój pozostał, bo był już znany w moim środowisku zawodowym. Nie odbieram połączeń od zastrzeżonych i podejrzanych numerów. Martin kilka razy dzwonił. Nie odbierałam. Choć z zastrzeżonego dwa razy na początku mnie złapał. Zapytałam, czy chce oddać mi pieniądze, a jeśli nie, to się rozłączam. Nie wiem więc za bardzo czego chciał, ale to mnie nie obchodzi. Fakt – czasem po tym, jak zadzwoni numer zastrzeżony jestem jeszcze pobudzona, ale czuję, że to już z wolna historia. Moja Lenka zyskała dwie siostry. Mam nadzieję, że jak podrośnie poznają się i przynajmniej polubią.

A Martin? Martin do dziś, choć minęło pół roku od tych wydarzeń, siedzi w Afryce. Myślę, że boi się wrócić do Polski i wcale mnie to nie dziwi. Wiem to, bo zerkam czasem na stronę Pauline. Wybudował dla swojej

rodziny w Afryce wielki dom, ciekawe, swoją drogą, za czyje pieniądze oprócz moich. Jest kochającym, niemal wzorowym mężem, który tęskni, nawet, gdy jego żona wychodzi na kilka godzin do znajomych. Cudowny ojciec dzieciom i mąż żonie. Ciekawe, jak długo ta sielanka potrwa i co zrobi, gdy mu się skończą pieniądze. Ale to już nie mój problem. Znam prawdę, umiem ją na nowo odróżnić od kłamstwa. Odnalazłam szacunek i wiarę w siebie. A serce wypełnia najpiękniejsza z miłości. Miłość do mojego dziecka, która jest nagrodą za całe moje cierpienie i przysięgam na wszystko, że zrobię, co w mojej mocy, by ją przed tym cierpieniem ochronić.

Przysięgę tę składała, patrząc w niebo z ławki na przystanku autobusowym przy skrzyżowaniu Marszałkowskiej i Alej Jerozolimskich. Dawid zauważył, że zawsze, gdy mówi o córce, zapalają się w jej smutnych i zmęczonych już teraz oczach ogniki.

– Kochasz bardzo swoją córeczkę, prawda?

– O-o-o! „Bardzo” to chyba zbyt słabo powiedziane.

– Nie obraż się, ale ciekawi mnie, czy ona jest czarna?

– Obrażę? Skądże! Czy to coś złego być czarnym według ciebie?

– Nie. Nie, ale ciekawy jestem jak wygląda.

– To interesujące w nas... Niby nam nie przeszkadza inny kolor skóry, ale jednak ma on znaczenie i, patrząc przez ten pryzmat, przyklejamy innym łatki.

– Inga, nie złość się. Nie chciałem ci sprawić przykrości, tylko byłem ciekaw jak wygląda Lenka, ale nie musisz mówić, jeżeli nie chcesz.

– Chcę. Nie sprawiasz mi przykrości. Jestem bardzo dumna z Lenki, a jej kolor skóry jest tak dla mnie nieistotny, że czasem zaskakują mnie pytania o to. Dla mnie jest po prostu ślicznym dzieckiem. Faktycznie, jest typową mulatką, choć to się ponoć z wiekiem zmienia, i ma coraz większą gęstwinę słodkich jasnobrązowych loków na głowie. Jest najpiękniejsza!

– Nie boisz się, że będzie jej trudno w Polsce? Mulatka, w dodatku bez ojca.

– Z początku myślałam o tym. Ale powiedz, czy ktoś, kto ma odrobinę rozumu w głowie, może ją za to właśnie, że nie ma ojca, winić? Owszem, ludzie bywają okrutni i oceniają, nie znając historii, która się ukrywa pod

każdą kartą z kalendarza, którą przyszło nam przeżyć, ale wierzę w świat. Wierzę w dobro ludzi. Wierzę, że każdy będzie kochał ją za to, jakim jest dzieckiem, później człowiekiem, a nie za to, jaki jest stopień jasności jej skóry. A jest pięknym dzieckiem, kochającym życie i ludzi. Kocha tańczyć, śpiewać i lgnie do świata. Wierzę, że jej dobre serce jest i będzie ważniejsze dla innych niż ilość pigmentu w jej skórze. Nie boję się więc, bo mimo wszystko wierzę w ludzi i wierzę w nią.

– A ty? Nie boisz się, że ludzie cię oceniają? Jesteś samotną matką z ciemnoskórym dzieckiem. Przepraszam za te pytania, ale bardzo jestem ciekawy jak wygląda twoje życie.

– A ty, co o mnie myślisz?

– Szczerze?

– No tak. Oczywiście, że szczerze. Ale wyobraź sobie, że wiesz o mnie tylko to, że mam Lenkę i samotnie ją wychowuję.

Dawid chwilę się zamyślił, po czym jakby lekko zmieszany odpowiedział:

– Trochę wstyd mi się do tego przyznać, ale gdybym usłyszał, że masz z czarnoskórym mężczyzną dziecko, zanim poznałem całą twoją historię, pomyślałbym, że się puściłaś z czarnym, bo wiesz, co o nich mówią...

– Co?

– No, że są dobrzy w łóżku...

– A. To! A co myślisz o mnie teraz, kiedy już znasz moją historię?

– Myślę, że jesteś silną, odważną, dobrą i wrażliwą kobietą, która trafiła na niewłaściwego faceta.

– No widzisz. Wierzę, że ci, którzy mnie znają, nie myślą o mnie źle, bo nie zrobiłam niczego złego. Fakt, bardzo się wstydzę, że dałam sobą tak manipulować i przepadłam na kilka długich miesięcy, ale nie skrzywdziłam nikogo, więc dlaczego ludzie mieliby o mnie źle myśleć? Jeżeli jednak mają odwagę oceniać, choć nie znają mojej historii, to po prostu są w błędzie. Nie mam zamiaru z nimi walczyć. To jest zawsze kwestia sumienia tego, kto na podstawie zewnętrznych przesłanek feruje wyroki. Dopóki nie robi tym krzywdy mnie i mojej córce, może dalej żyć w błędzie. Jeżeli jednak ktokolwiek przekroczy bezpieczne dla mnie lub Lenki granice, jak lwica będę

znów walczyć o prawdę. Już teraz wiem, że ona zawsze zwycięży.

– A miałaś jakieś nieprzyjemne sytuacje z tym związane?

– Nie! Na szczęście moja wiara w ludzi okazuje się zasadna. Czasem pytają, skąd jest jej tata i gdzie jest teraz. Gdy odpowiadam, widzę czasem lekceważący uśmiech, ale to są niegroźne przypadki.

– Swoją drogą, to z jakiego kraju jest Martin? Nie wspomniałaś o tym. Mówiłaś jedynie, że z Afryki.

– Ale po co chcesz to wiedzieć?

– Znów ciekawość. Dlaczego nie chcesz o tym mówić, to jakiś wstyd? – zdziwił się Dawid.

– Skądże! Chodzi mi o to, że boję się, iż jeśli ci powiem z jakiego jest kraju, możesz myśleć, że tam mieszkają tylko źli ludzie. Tak działa nasza percepcja. Boję się, że już teraz myślisz o czarnoskórych mężczyznach, że to złodzieje, przemytnicy narkotyków i oszuści. Ale Dawid – nie! Oni tacy nie są! Martin to był po prostu zły człowiek, niezależnie od koloru skóry i kraju, z którego pochodzi! Obiecuj mi, że po tej historii nigdy tak nie pomyślisz! Obiecuj, że najpierw poznasz historię człowieka, a później wystawisz mu notę. Obiecuj, że nie będziesz widział w każdym czarnoskórym Martina. Obiecuj! Proszę...

– Obiecuję!

– Dziękuję!

– A ty? Co czujesz, gdy widzisz teraz czarnoskórych? Nie czujesz żalu, złości?

– Niestety, wciąż przypominają mi tę historię. I wiesz... boję się. Boję się za każdym razem, kiedy zobaczę z daleka sylwetkę podobną do sylwetki Martina, połączoną z ciemnym kolorem skóry. Boję się, że to on. Wciąż się obawiam, że go jeszcze spotkam, choć tyle już minęło czasu.

– Myślisz, że wróci w końcu do Polski?

– Tego nie mogę wiedzieć. Ale czuję, że jeszcze się w życiu spotkamy. Na razie doświadczam niepokoju na myśl o spotkaniu z nim, ale mam nadzieję, że gdy do tego dojdzie, będę już na tyle zdrowa i silna, by stawić mu czoła.

– Powiedziałaś, że chcesz pozwolić Lence się z nim spotkać. Naprawdę

tak myślisz?

– Chcę?! Skądże! Ale zgodzę się, jeżeli tylko ona tego zapragnie. Masz ojca?

– Mam.

– Umiesz sobie wyobrazić, co byś czuł, gdybyś go nigdy nie spotkał?

– Chyba czułbym pustkę. Taką, jakbym nie znał części siebie.

– Ładnie to nazwałeś. Ja po prostu nie mogę zabronić Lence, by poznawała siebie. On jest jej częścią, więc jeżeli tylko zechce go poznać, będę przy niej i pomogę jej go znaleźć. Oczywiście przygotuję ją na to i zadbam, by jak najmniej cierpiała. Jestem przekonana, że aby tak było, od pierwszego jej pytania o tatę nie mogę skłamać. Jednocześnie muszę być uważna i adekwatnie do jej wieku dawkować informacje. Uda nam się. Wiem to!

– Więc tak będzie! – zawtórował Indze Dawid

– Wiesz... gdy zastanawiałam się co dla Lenki jest dobre w tej kwestii, poznałam dziewczynę o przepięknych, hipnotyzujących czarnych oczach. Nie mogłam się powstrzymać od skomplementowania ich urody. Podziękowała i powiedziała, że to po ojcu, który jest z Półwyspu Arabskiego. Nie pamiętam dokładnie skąd. Zaintrygowało mnie to. Zapytałam, czy ją wychowywał. Okazało się, że gdy była malutka, zostawił ją i jej mamę. Zniknął na kilkanaście lat. Ona zawsze była ciekawa, kim jest jej ojciec. Czuła, że chce go poznać, ale nie miała żadnego punktu zaczepienia do poszukiwań. W końcu, gdy miała już dziewiętnaście lat, odnalazł się. Sam ją znalazł. Spotkali się. Obiecywał jej złote góry. Mówił, że zawsze ją kochał. Pokochała go naturalną miłością córki do ojca. Po niecałym roku powiedział jej, że nie ma dla niej czasu, bo ma swoje nowe życie. Płakała. Bardzo bolało to, że znów straciła ojca. Ona jednak mówi, że nie żałuje, że go poznała. Zobaczyła, jak wygląda część jej samej i wie już, że ten człowiek nie umie jej kochać. Kilkunastoletnia tęsknota umarła. Powiedziała mi, że wie, iż nie chce go więcej w życiu spotkać. Nie potrzebuje tego. Zawiódł ją, ale przynajmniej dowiedziała się, kim jest. Bolało bardzo, ale nie będzie tęsknić do kogoś, kto na to nie zasługuje, do końca życia.

Myślę, że podobnie może czuć Lenka. Może chce go poznać. A ja ją

przygotuję, pokażę zdjęcia, opowiem o nim i wtedy, gdy przyjdzie ten moment, będę obok niej. Może się też okazać, że on stanie wtedy na wysokości zadania, i choć w ogóle w to nie wierzę, szczerze jej tego życzę.

– Jesteś naprawdę silna.

– Tak ci się tylko wydaje, bo bardzo się tego dnia boję, ale na szczęście mam jeszcze trochę czasu, by się na to przygotować.

– A co z rodzeństwem?

– Z Sarą i Naomi? Bardzo chcę, by o sobie widziały, i jeśli się polubią, choć Lenka jest dużo młodsza, to niech będą siostrami.

– Pytam o to rodzeństwo z Afryki...

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Tamte dzieci niczego złego mi nie zrobiły. Wyobrażam sobie, że dla nich wielkim szokiem byłoby poznanie prawdy. Ja im tego nie zrobię. Pozostawiam to decyzji Lenki, ale zrobię co mogę, by była w tym delikatna i ostrożna.

Siedzieli już dłuższą chwilę na ławce. Na przystanku zbierało się coraz więcej osób. Autobusy przejeżdżały już jeden za drugim, ale im nie było jakoś w głowach wsiadać. Dawidowi wyczerpał się rezerwuar pytań i milczeli teraz oboje, siedząc o pół metra od siebie. On myślał o niej, a ona była myślami gdzieś daleko, na innym lądzie. Po kilku minutach takiego milczenia Dawid sięgnął do kieszeni, by sprawdzić, która godzina, ale rozładował mu się telefon.

– Masz zegarek, Inga? Która godzina?

– Piętnaście po siódmej. Co? Czas już się rozstać? Chcesz wracać?

– Tak. Trzeba by było się wyspać, ale zanim wskoczę do mojego łóżeczka, muszę coś zjeść. Zapraszam cię do Charlotte na placu Zbawiciela, dają tam pyszne śniadania od siódmej.

– Nie wiem czy to dobry pomysł... Już dawno powinnam być w domu z maleńką.

– Zgódź się, proszę. Jestem pewien, że Lenka się nie pogniewa. Zaraz do niej zadzwonię.

– Ha, ha. Ona jeszcze nie mówi, a poza tym rozładował ci się telefon.

– No tak. I dotąd jeszcze nie dostałem do niej numeru.

– Bo ona jeszcze go nie ma, a telefon ma tylko zabawkowy. Chodź.

Zróbmy sobie jeszcze ostatnią wspólną godzinę – dla odmiany we francuskim nastroju.

Wskoczyli do autobusu, by przejechać jeden przystanek, a resztę przeszli na piechotę. Ku ich zaskoczeniu, w Charlotte było już sporo ludzi. Znaleźli jednak miejsce wewnątrz, bo trochę przemarzli w nocy. Zamówili koszyk pieczywa z konfiturą, do tego croissanty i pyszne cappuccino. Właściwie nie mówili już o przeszłości, prowadzili rozmowę jak para starych znajomych. Inga dawno nie spędziła tak miłego śniadania.

– W końcu śmieją się te twoje oczy! – skomentował po jakiejś miłej wymianie słów Dawid.

– Często się przecież śmieję.

– Tak. Pewnie tak, ale masz generalnie bardzo smutne oczy. Zawsze tak było czy to przez te ostatnie wydarzenia? Myślisz, że to się kiedyś zmieni?

– Nie wiem, jednak wierzę, że będą wkrótce choć trochę radosne, takie jak bywały kiedyś. Czuję, że potrzebuję na to jeszcze trochę czasu. Bo wiesz – oczy są zwierciadłem duszy, a dusza ma korzenie w sercu. Moje serce zostało mocno posiekane sztyletem namoczonym w soku z oszustw, matactw i manipulacji. Obroniłam je od ponownych ataków, zaszyłam dziury i krew zaczęła na nowo krążyć, ale są na nim blizny, które uwierają, ciągną i pieką. Choć moje serce funkcjonuje już niemal normalnie, nigdy nie będzie takie jak wcześniej. Zawsze, gdy na nie spojrzę, będę widziała blizny, z których każda jest podpisana imieniem Martina. Miną lata, a one wciąż będą mi o nim przypominać. Będą pewnie mniejsze i nie tak bolesne, ale zostaną już na zawsze, więc i w moich oczach pewnie zawsze będzie można dostrzec smutek.

– Mam nadzieję, że z każdym dniem będzie go coraz mniej.

– Dziękuję. Ja też mam taką nadzieję. – Nie patrząc nawet na zegarek, dodała: – Na mnie już czas. Będę się zbierać.

– Rozumiem. Inga, kiedy się jeszcze spotkamy? – chwycił ją za rękę.

Ona jednak spokojnie wyjęła ją z jego uścisku.

– Nie spotkamy się. Mówiłam ci. Nie ma sensu marnować czasu na tak zmęczone serce.

Wstała od stolika i dodała:

– Dziękuję, że mnie wysłuchałeś. To był dla mnie bardzo duży dar – móc opowiedzieć to w całości. Dziękuję też za kizombę. Obiecuję, że jej nie stracę. – Spojrzała w jego coraz bardziej smutne oczy. – Żegnaj.

I wyszła. Tak po prostu wyszła.

Dawid poczuł wielki smutek, ale rozumiał jej stanowczość i wiedział, że nie warto błagać jej o kontakt. Zatopił wzrok w stoliku, może walczył ze łzą, która cisnęła się do oka. I już po wszystkim. Żegnaj, Inga. Nie wiedział dlaczego mu tak smutno i pusto bez jej towarzystwa. Przecież był na to gotowy. Od początku zastrzegła, że odejdzie i nie spotkają się więcej.

Uregulował rachunek i po kilku minutach ruszył w stronę wyjścia. Gdy się do niego zbliżał, zobaczył Inge. Ona sama była zaskoczona tym, co robi. Podała mu karteczkę i z lekkim uśmiechem rzuciła:

– Co wtorek zamierzam być na kizombie.

I znów wyszła. Spojrzał na kartkę, którą trzymał w dłoni. To była dokładnie ta sama kartka, na której zapisał dla niej swój numer telefonu, a na której odwrocie, bardzo ładnym kobiecym pismem, był zapisany inny, nieznany mu dotąd numer.

Zadzwonię – pomyślał i ruszył do domu.



Przypisy

- [1] *Hola. Cómo estás?* (hisz.) – Cześć. Jak się masz?
- [2] *Muy bien* (hisz.) – Bardzo dobrze.
- [3] *Oh! How do you do?* (ang.) – Och! Jak się masz?
- [4] *Fine* (ang.) – W porządku.
- [5] *Sami swoi* (1967), *Nie ma mocnych* (1974) (reż. Sylwester Chęciński).
- [6] Kayah, *Jestem kamieniem* (album *Kamień*, 1995).